

ALEX FLINN

bestia



Alex Flinn

BESTIA



Alex Flinn

BESTIA

Jestem bestią.

Bestia. Nie jakimś tam wilk czy niedźwiedź, goryl albo pies ale okropne całkiem nowe, dwunożne stworzenie— stworzenie z kłami, ostrymi pazurami i włosami, które pokrywają prawie każdy cal mojego ciała. Jestem potworem.

Myślisz, że opowiadam bajki? Chciałbym. To dzieje się tym czasie. W tym miejscu. W Nowym Jorku. To nie jest żadna deformacja, żadna choroba. I pozostanę taki na zawsze — zniszczony— chyba, że przełamie kłatwę.

Tak, kłatwę. Tę, którą rzuciła na mnie wiedźma z lekcji angielskiego. Dlaczego przemieniła mnie w zwierzę, które chowa się w dzień i wychodzi tylko nocą? Powiem ci. Powiem ci jaki byłem, ja - Kyle Kingsbury, facet którym chciałbyś być, lecz nie będziesz, z pieniędzmi, perfekcyjnym wyglądem i perfekcyjnym życiem. I wtedy powiem ci, jak stałem się perfekcyjną. . . bestią.

Prolog

Mr. Anderson: Witam na pierwszym czatowym spotkaniu Niespodziewane Zmiany.

Mr. Anderson: Jest tu kto? Czy raczej powinienem zapytać: przyzna się ktoś, że tu jest? BeastNYC¹ dołączył do czatu.

Mr. Anderson: Witaj, BeastNYC.

Mr. Anderson: Halo? Wiem, że tam jesteś BeastNYC. Chcesz się przedstawić?

BeastNYC: Nie chcę pierwszy mówić... Jest tutaj jeszcze ktoś?

Mr. Anderson: Tak, mamy tu kilka zaczajonych osób, które dołączyły do czatu przed tobą.

BeastNYC: Niech więc mówią pierwsi.

Mr. Anderson: Chce ktoś przywitać się z BeastNYC?

SilentMaid²: Witaj, BeastNYC. Możemy nazywać cię Bestią?

BeastNYC: Jak chcecie. Nie ma to dla mnie znaczenia.

Mr. Anderson: Dziękuję, że cię odezwałaś, Silent – upss, przepraszam³. Jakim typem stworzenia jesteś?

SilentMaid: Syreną.

Mr. Anderson: Zostałaś przemieniona w syrenę?

SilentMaid: Właściwie, ja JESTEM syreną, ale rozważam transformację⁴. Pomyślałam, że ten czat pomoże mi podjąć decyzje.

Mr. Anderson: Właśnie o tym będziemy rozmawiać dzisiaj wieczoru – doświadczenia z transformacji, jak stałaś się tym, kim jesteś.

Froggie: Zstałaś mieniny, Andy?

Mr. Anderson: Cóż, nie. Ale stworzyłem ten czat by wam pomóc.

BeastNYC: Jesteś dziewczyną, SilentMaid? To znaczy mam na myśli, żeńską, ee, rybą?

Froggie: Jak moesz nm moc, jeli nwet ni wies jak to jet?

SilentMaid: Tak, Beast. Ale zastanawiam się nad byciem ludzką dziewczyną.

Mr. Anderson: Froggie, studiowałem takie przypadki jak twój. Szczegółowo. Napisałem pracę naukową pt. „Prawdziwa miłość - efektem transformacji” bazując na opowiadaniach Braci Grimm, LePrince de Beaumont'a, Aksakova, Quiller-Couch'a i Walta Disneya...

BeastNYC: Gdzie mieszkasz, Silent?

SilentMaid: Jestem pewna, że masz odpowiednie kwalifikacje, Andy. To miło z twojej strony, że założyłeś taki czat.

Mr. Anderson: Dziękuję, Silent.

SilentMaid: Beast, jestem w Danii. Dokładniej, nad Oceanem Atlantyckim, blisko Danii.

BeastNYC: Danii?

Froggie: ybach, ze zaptalem, ale trudn jet isac, gdy mas blony miedz ngami.

SilentMaid: Dania. To w Europie.

Froggie: Mialm na mysl PALCAMI.

Mr. Anderson: Zrozumiałem, Froggie. Myślę, że dobrze wam zrobi chłopcy – i dziewczyno – zebrać się razem od czasu do czasu i porozmawiać,

Grizzlyguy⁵ dołączył do czatu,

Grizzlyguy: Chciałbym porozmawiać o dwóch dziewczynach, które widziałem.

BeastNYC: Wiem, gdzie leży Dania. Od kiedy zostałem przeklęty, miałem dużo czasu do nauki, ze względu na to, że nie mam żadnego życia w cywilizowanym świecie.

Mr. Anderson: Słuszna uwaga, BeastNYC. O tym również będziemy mówić. O zmianach jakie zaszły w waszym życiu po transformacji.

BeastNYC: Zimno tam, Silent!

SilentMaid: Tak, to prawda. Brr. Ale pod wodą jest ciepło.

Grizzlyguy: Chcę porozmawiać o tym dwóch dziewczynach!

BeastNYC: Jesteś singlem, Silent?

Grizzlyguy: Te dwie dziewczyny – pierwsza to RoseRed⁶ i jest naprawdę gorącaaaa!!!

SilentMaid: Tak jakby, Beast. Chyba wiem, do czego zmierzasz...

Froggie: Najtrudniejszy czas jest jdzienie much.

Grizzlyguy: Tą drugą jest SnowWhite

SilentMaid: Jestem samotna, ale jest pewien chłopak... marynarz.

Grizzlyguy: Nie TA SnowWhite. Inna – siostra RoseRed. Ona też jest fajna.

Froggie: Nie lubie muh

BeastNYC: Rzecz w tym, Silent, że szukam dziewczyny, dziewczyny, która mogłaby mnie pokochać.

SilentMaid: Schlebiasz mi, Beast, ale już mam kogoś, kogo kocham. To chłopak, którego widziałam na żagłowie. Uratowałam go od utonięcia.

Mr. Anderson: Moglibyśmy nie rozmawiać wszyscy JEDNOCZEŚNIE?

BeastNYC: Ale zazwyczaj nie mamy nikogo z kim moglibyśmy porozmawiać.

Froggie: Samtny psrod zab, poniewa w rzeczwistoci nie jetes jedn z nich.

Mr. Anderson: Rozumiem. Lecz musimy ustalić jakąś kolejność, żeby się nie pogubić. To jest pierwsza sesja, więc myślałem, że moglibyśmy porozmawiać o tym jak staliście się tym, czym jesteście – jak zostaliście przemienieni.

Froggie: Ponewz wkurzłem wiedzme

BeastNYC: To samo.

SilentMaid: Zawarłam umowę z wiedźmą. Wodną wiedźmą. Mój głos za ludzkie nogi. Dlatego jestem Silent – Milcząca.

BeastNYC: Genialny pomysł, Silent.

SilentMaid: Dzięki, Beast. Ale ja przynajmniej mam palce, a nie pazury.

Mr. Anderson: Beast, może opowiesz nam o swojej przemianie?

BeastNYC: Dzięki, ale nie.

Mr. Anderson: Jesteś pośród przyjaciół, Beast.

Grizzlyguy: Tak, śmiało, żebym mógł w końcu powiedzieć o tych dwóch laskach.

BeastNYC: Znasz DWIE dziewczyny, Prince⁷ ??? Gdzie mieszkasz?

Mr. Anderson: To nie jest serwis radkowy, Beast.

BeastNYC: Cóż, mógłbym jedną pożyczyć. Trudno jest spotykać się z dziewczynami, gdy wyglądasz jak Chewbacca⁸. I muszę spotkać tylko jedną, żeby moja klątwa znikła.

Mr. Anderson: Potrzebujesz również wsparcia. Dlatego założyłem ten czat.

SilentMaid: Proszę, porozmawiaj z nami. Jesteś wśród znajomych.

BeastNYC: Okej, okej. Pierwszą rzeczą jaką musicie o mnie wiedzieć to to, że jestem bestią.

Froggie: Dziek z oswicinie.

Mr. Anderson: Bez sarkazmu, Froggie.

BeastNYC: Tak, jasne. Ale był czas kiedy na grubą dziewczynę powiedziałbym, „Ona jest bestią”. A ja nie jestem bestią w tym znaczeniu. Jestem zwierzęciem. Futro, pazury, nazwijcie to jak chcecie. Wszystko jest zwierzęce oprócz tego, co jest we mnie. W środku dalej jestem człowiekiem.

Grizzlyguy: To samo tu.

BeastNYC: To dla mnie bardzo trudne, bo zanim stałem się bestią byłem... no cóż, przystojny. Piękny, popularny, bogaty. W szkole przyjaciele wybrali mnie ich Księciem.

Grizzlyguy: Wybrali? Księciem?

Froggie: Ksążę nie jet wybirany, Beast. Ja bylm ksiecim

BeastNYC: To długa historia.

Froggie: Ja byłe ksiciem.

Mr. Anderson: Nie mamy nic poza czasem, Beast. Mów dalej.

BeastNYC: Ehh, ok. Wszystko zaczęło się przez wiedźmę.

Froggie: One wszystkie tak czynja.

~Książę i Wiedźma~

~ ~ I ~ ~

Czułem na sobie ich spojrzenia, ale przywykłem do tego. Mój tata nauczył mnie jednego, by zawsze zachowywać się tak jakby nic mnie nie obchodziło. Kiedy jesteś specjalny, tak jak my, ludzie to z pewnością zauważą.

To był ostatni miesiąc do zakończenia dziewiątej klasy. Nauczyciel na zastępstwie rozdawał nam karty głosowań na Bal Wiosenny, coś co normalnie uważałbym za żalosne.

- Hej, Kyle, na tym jest twoje imię.- Mój przyjaciel Trey Parker szturchnął mnie w ramię.

- Tak, uh. - Kiedy odwróciłem się w stronę Treya, dziewczyna koło niego – Anna, a może Hannah – spojrzała w dół. Heh. Gapiła się na mnie.

Spojrzałem na kartę głosowań. Widniało na niej nie tylko moje nazwisko - Kyle Kingsburg - jednak to, że zostanę księciem dziewiątych klas było pewne. Nikt nie mógł współzawodniczyć z moim wyglądem i kasą mego ojca.

Nauczyciel był nowy, mógł więc być pod mylnym wrażeniem, że skoro Tuttle była typem szkoły, która miała w kafeterii własny bar sałatkowy, menu oferowało wschodnie dania, itp., a poważni, zamożni ludzie z Nowego Jorku wysyłali tu swoje dzieci – nie będziemy go zadrećcać tak, jak wyrzutki w szkołach publicznych. Wielki błąd. Nic, o czym mówił nie miało być na egzaminie, więc staraliśmy się wymyślić, jak czytanie kart głosowań i zaznaczanie na nich naszych kandydatów mogłoby zająć całą 50-minutową lekcję. Przynajmniej większość z nas próbowała. Reszta była zajęta pisaniem wiadomości. Zauważyłem, że jeden uczeń wybierając kandydata na karcie głosowań spojrzał na mnie. Uśmiechnąłem się. Ktoś inny pewnie spuściłby wzrok starając się wyglądać na onieśmiałonego i skromnego, jakby się wstydził, że jego imię znalazło się na karcie – ale nie ma sensu, by zaprzeczać temu co oczywiste.

- Moje imię też tu jest. - Trey znowu szturchnął mnie w ramię.

- Hej, uważaj! - Potarłem moją rękę.

- Sam uważaj. Masz ten głupi, szeroki uśmiech na swojej twarzy jakbyś już wygrał i teraz dawał paparazzim szansę, by strzelili ci zdjęcie.

- I to jest niewłaściwe? - Uśmiechnąłem się szerzej, by go wkurzyć i skinąłem lekko ręką, jak ludzie na paradach. W tym samym momencie usłyszeliśmy pstryknięcie czyjegoś aparatu w telefonie.

- Powinni zabronić ci żyć - powiedział Trey.

- Cóż, dziękuję. - Pomyślałem, żeby zagłosować na Treya, tak tylko żeby myć miłym. Trey był dobry w rozmieszaniu ludzi, ale nie w skupianiu na sobie ich spojrzeń i uwagi. Jego rodzina nie była specjalnie wyjątkowa — jego tata był doktorem czy coś takiego.

Mogliby umieścić wyniki głosowania w szkolnej gazecie, a to dość zawstydziłoby Treya, jeżeli byłby ostatni albo nie dostał ani jednego głosu.

Z drugiej strony, to byłoby ekstra, jeżeli dostałbym dwa, albo trzy razy więcej głosów niż ktoś, kto znajdzie się za mną. Poza tym, Trey mnie podziwiał. Prawdziwy przyjaciel chciałby, bym wygrał w wielkim stylu. To jest następna rzecz, którą mój tata zawsze powtarzał:

- Nie bądź frajerem, Kyle i nie rób rzeczy z miłości lub przyjaźni. Ponieważ na końcu zawsze dowiesz się, że jedyną osobą, która naprawdę cię kocha jesteś Ty.

Miałem siedem albo osiem lat gdy powiedział mi to po raz pierwszy, więc zapytałem:

- A co z Tobą, tato?

- Co?

- Kochasz ... - Mnie. - Nas. Swoją rodzinę?

Przypatrywał mi się dłuższą chwilę zanim w końcu odpowiedział:

- To jest coś innego, Kyle.

Nigdy go powtórnie nie spytałem, czy mnie kocha. Wiedziałem, że powiedział prawdę za pierwszym razem.

Złożyłem moją kartę głosowań, by Trey nie zauważył, że zagłosowałem na siebie. Oczywiście wiedziałem, że on również zagłosował na siebie, ale to było co innego.

Właśnie wtedy usłyszeliśmy głos z końca sali.

- To jest wstrętne!

Wszyscy się obrócili.

- Być może ktoś zostawił kozę pod jej biurkiem - szepnął Trey .
- To byłeś ty? - Spytałem.
- Już tego nie robię.
- Obrzydliwe - powtórzył ktoś. Przestałem rozmawiać z Treyem i spojrzałem w kierunku, z którego pochodził głos, czyli w stronę Gotki siedzące na tyłach. Była tłustą laską, ubraną w powiewające, czarne ciuchy, które zazwyczaj możesz zobaczyć tylko na wieźmach albo terrorystach (w Tuttle nie mamy mundurków; niezdolność do kupowania swoim dzieciom Dolce & Gabbana⁹ nieźle wkurzyłaby rodziców) a jej włosy były zielone. Oczywiście obraz rozpaczy. Niesamowitą rzeczą było jednak to, że nigdy wcześniej jej nie zauważyłem. Większość siedzących tu ludzi znałem całe moje życie.

Nauczyciel był zbyt głupi, by ją zignorować.

- Co jest wstrętne, panno ... panno ...
- Hilferty - odpowiedziała. - Hilferty Kendra.
- Kendra, czy z twoją ławką jest coś nie tak?
- Coś nie tak to jest z tym światem. - Mówiąc to stała, jakby wygłaszała mowę.
- Coś jest bardzo nie tak, jeśli mamy XXI wiek i ten rodzaj elitarniej trawestacji nadal jest kontynuowany. - W ręce trzymała swoją kartę głosowań. Ludzie zachichotali.
- To jest kartka wyborów na Wiosenny Bal - zgłosił się na ochotnika Trey. - Aby wybrać królewską parę.
- No właśnie - powiedziała dziewczyna. - Kim są ci ludzie? Dlaczego powinni być traktowani po królewsku? Bazując na ... czym? Ludzie na tej karcie zostali wybrani na jednej i tylko jednej podstawie — wyglądu zewnętrznego.

- Jak dla mnie brzmi to jak dobry argument - powiedziałem do Treya niezbyt cicho. Wstałem. - To jest BS. Każdy głosował i to są osoby, które oni wybrali. To jest demokratyczny proces.

Wokół mnie podniósł się lekki harmider, usłyszałem kilka przytakiwań Tak, dobrze mówi, szczególnie od Anny albo Hannah. Ale zauważyłem, że dużo ludzi, głównie brzydkich ludzi, siedziało cicho.

Dziewczyna zrobiła kilka kroków w moją stronę.

- Oni są jak owce idące za stadem. Głosują na tak zwanych popularnych ludzi, ponieważ jest to najprostsze wyjście. Piękną twarz, blond włosy, niebieskie oczy — patrzyła na mnie — zawsze jest łatwo zauważyć. Ale, jeżeli ktoś jest odważniejszy, silniejszy, inteligentniejszy, to trudniej to dostrzec.

Wkurzyła mnie, więc na nią naskoczyłem.

- Jeżeli ktoś jest taki inteligentny, to sam powinien wpaść na to, jak może mieć lepszy wygląd. Mogłabyś stracić na wadze, iść na operację plastyczną, nawet wygładzić swoją twarz i wybielić zęby.

Mówiłem celowo w taki sposób, by nie miała wątpliwości, że zwracam się bezpośrednio do niej.

-Mój tata jest prezenterem telewizyjnym. Według niego ludzie nie powinni być zmuszani do patrzenia na brzydkich ludzi.

- Naprawdę tak myślisz? - Uniosła ciemną brew. -Że powinniśmy zupełnie się zmienić, żebyśmy byli tacy jakich ty chciałbyś nas wiedzieć, Kyle Kingsbury?

Zwróciłem uwagę na to, że użyła mojego imienia. Byłem pewny, że nigdy przedtem jej nie widziałem. Ale oczywiście ona znała mnie. Każdy znał. Prawdopodobnie się we mnie zadurzyła. Żałosne.

- Tak, - powiedziałem. - Tak. Właśnie tak myślę. To jest coś co wiem.

Stała naprzeciwko mnie. Jej oczy były jasno zielone, a nos miała długi i zakrzywiony w dół.

- W takim razie módl się, żebyś nigdy nie był brzydki, Kyle. Chociaż już jesteś brzydki tam, gdzie ma to największe znaczenie, w środku. I jeśli kiedyś stracisz swój piękny wygląd, mogę się założyć, że nie będziesz na tyle mądry czy silny by go odzyskać. Jesteś bestią, Kyle Kingsbury.

Bestia. Słowo pochodzące z innego miejsca i czasu. Nasuwało mi na myśl legendy i bajki. Czułem również dziwne skwierczenie, jakby włosy na moich rękach zapaliły się od ognia w jej oczach. Zlekceważyłem to.

~ ~ II ~ ~

Bestia.

- Ta gotycka laska z angielskiego była dziwna, - powiedziałem do Treya, kiedy przebieraliśmy się na w-f.

- Tak, naprawdę cię wystraszyła - zgodził się.

- Po dziesięciu latach patrzenia na twoją brzydką gębę, nic już mnie nie przestraszy.

- Och, w porządku, więc to nie jest powód, przez który byłeś taki nerwowy, odkąd tylko wyszliśmy z angielskiego?

- Oczywiście, że nie. - Ale prawda była inna. Kiedy dziewczyna powiedziała, że lepiej bym nigdy nie stał się brzydki, kiedy spojrzała na mnie ten ostatni raz, to

było jakby wszystko o mnie wiedziała, jak płakałem, kiedy moja mama się wymykała ponieważ myślałem, że nigdy więcej jej nie zobaczę (co nie odbiega dużo od tego, co się później wydarzyło). Ale to było niedorzeczne.

Ona nic nie wiedziała.

- Jak sobie chcesz - powiedział Trey.

- To było przerażające, w porządku - zgodziłem się. - Przerażające, że tacy ludzie w ogóle istnieją.

- I przyjeżdżają do takiej podobno ekskluzywnej szkoły by zburzyć naturalny porządek rzeczy .

- Tak. Ktoś powinien coś z nią zrobić.

Naprawdę w to wierzyłem. Mógłbym zachowywać się jakby nic się nie stało, poczekać do balu, do wyborów królewskiej pary i tak dalej, ale było inaczej. Ten dzień powinien być dla mnie wspaniały, ale ta wiedźma musiała wszystko zrujnować.

Tak o niej myślałem: wiedźma. Zazwyczaj, użyłbym innego słowa, słowa które rymowało się z wiedźmą – suka¹⁰. Ale coś w tej dziewczynie, w sposobie jaki na mnie patrzyła tymi dziwnymi oczami o zielonym kolorze, którego nigdy wcześniej nie widziałem, zmusiło mnie do myślenia o niej jako wiedźmie. Wiedźma całkowicie ją obraża.

Później, znów ją widziałem na sali gimnastycznej. Wszyscy, oprócz niej, robili rozgrzewkę biegając wokół bieżni. Ona nie była nawet przebrana. Dalej nosiła te dziwne, powłóczyste, czarne ciuchy co wcześniej. Usiadła na ławce pod zadaszeniem. Niebo wokół niej było ciemne. Zapowiadało się na deszcz.

- Ktoś musi dać jej lekcję. - W głowie ciągle miałem jej słowa: Już jesteś brzydki tam, gdzie ma to największe znaczenie, w środku... jesteś bestią... Całkowita bzdura. Ona jest taka sama jak wszyscy. Jeżeli mogłaby znaleźć się w naszej elicie, zrobiłaby to. Każdy by zrobił.

W tej sekundzie już wiedziałem, co muszę zrobić.

Zwiększyłem moje tempo. Musieliśmy zrobić pięć okrążeń dookoła bieżni i zwykle robiłem to w spokojnym tempie, ponieważ gdy skończyłeś, Trener wyznaczał ci kolejne ćwiczenia. To było śmieszne, że musiałem uczyć się na w-f kiedy byłem w dwóch szkolnych drużynach. Ale wiedziałem, że Trener myślał tak samo, więc zwykle mogłem się stąd wydostać. Jeżeli posłałeś Trenerowi wzrok pełen respektu - typ spojrzenia, które przypominało mu o czekach napisanych przez twojego ojca dla stowarzyszenia atletycznego, by nadrobić swoją nieobecność – uchodziło ci to płazem.

Nawet zwolnionym tempem skończyłem okrążenia przed resztą uczniów i ruszyłem w stronę ławki na której siedziała wiedźma, oglądając coś co leżało na jej kolanach.

- Kingsbury! - wrzasnął Trener. - Jeżeli skończyłeś, możesz wyjąć piłki do kosza.

- W porządku, Trenerze. - Powiedziałem i zacząłem iść w kierunku piłek jak bym miał zamiar rzeczywiście je wyjąć, po czym nagle się skrzywiłem. - Och, mam skurcz, muszę odpocząć. Czy mogę pójść rozciągnąć mięśnie? Nie chciałbym nabawić się kontuzji.

Poślij spojrzenie pełne respektu.

- Ach, idź. - Zaśmiał się Trener. - I tak jesteś dużo do przodu od innych.

Zadziało.

- Rządzisz, Trenerze!

Zaśmiał się.

Kulałem, póki się nie odwrócił, wtedy skierowałem się w stronę ławki na której siedziała wiedźma i zacząłem rozciągać mięśnie.

- Jesteś naprawdę dobry w manipulowaniu dorosłymi, nieprawdaż? - powiedziała.

- Jestem w tym doskonały.- Uśmiechnąłem się do niej.

- Hej.- Zobaczyłem przedmiot na jej kolanach. To było lustro, jedno z tych staromodnych z uchwytem, jak w Królowie Śnieżce. Kiedy zobaczyła, że na nie patrzę, szybko schowała je do plecaka.

- Po co jest to lustro? - Spytałem, myśląc że to dziwne, iż tak brzydka laska nosiła ze sobą tak duże lustro. Zresztą w ogóle było to dziwne.

Zignorowała moje pytanie.

- Jak twoja noga?

- Co?- Zatrzymałem się w połowie rozciągania. - Och, właściwie jest dobrze. Świetnie. Tak naprawdę

to tylko przyszedłem, by z tobą porozmawiać.

Podniosła brew.

- Czym sobie zasłużyłam na taki honor?

- Nie powiedziałbym, że jest to honor. Tak sobie tylko ... myślę.

- To musiało być dla ciebie całkiem nowe doświadczenie.

Zignorowałem jej uwagę.

- Myślałem o tym, co powiedziałaś w klasie. I doszedłem do wniosku, że masz rację.

- Naprawdę?- zamrugowała kilka razy, jak szczur wychodzący ze swojej ciemnej nory.

- Tak, naprawdę. Osądzamy ludzi przez pryzmat tego, jak został wykreowany przez innych. Ktoś taki jak ja ...powinien stawić temu czoło, a że jestem przystojny, jest mi dużo łatwiej niż...

- Mnie?

Wzruszyłem ramionami.

- Nie zamierzałem być taki bezpośredni. Mój tata jest prezydentem, więc wiem jak to jest. W tym biznesie, jeśli stracisz swój wygląd to stracisz swoją pracę.

- I to według ciebie jest sprawiedliwe?

- Nigdy nie musiałem o tym myśleć, wiesz? Mam na myśli, nie masz wpływu na to, jaki się rodzisz.

- Interesujące - powiedziała.

Uśmiechnąłem się do niej w sposób, w jaki się uśmiecham do dziewczyn, które mi się podobają i przybliżyłem się, mimo, że byłem bliski porzucenia mojego pomysłu odegrania się na wiedźmie. Ale ona ciągnęła dalej.

- Jesteś dość interesujący sam w sobie.

- Przez interesujący, masz na myśli dziwny?

- Możesz być dziwny w dobry sposób, nieprawdaż?

Spojrzała na zegarek, jakby się dokądś śpieszyła, a my nie bylibyśmy uwięzieni jak szczury na w-fie.

- A więc co takiego chciałeś mi powiedzieć?

Wiedźma.

- Nie, właściwie to nic takiego. Myślałem nad tym, co mi powiedziałaś i zastanawiam się, czy może nie czas poszerzyć swoje horyzonty- To była gadka Taty. Zawsze powtarzał, że powinienem poszerzać swoje horyzonty, co w rzeczywistości oznaczało więcej pracy do zrobienia.

- Wiesz, spotkać innych ludzi.

- Brzydkich ludzi?

- Interesujących ludzi. Ludzi, których nigdy wcześniej nie spotkałem .

- Takich jak ja?

- Dokładnie. Więc zastanawiałem się, um, czy może poszłabyś ze mną na tańce w przyszłym tygodniu. Myślę, że moglibyśmy się razem nieźle bawić.

Gapiała się na mnie jakbym postradał rozum, a zielone oczy strzelały iskrami znad jej chudego nosa. Niemożliwe. Nagle uśmiechnęła się. To był dziwny rodzaj uśmiechu, jeden z tych tajemniczych.

- Tak. Tak, chętnie z tobą pójdę.

Oczywiście, że tak.

~ ~ III ~ ~

Minęły dopiero dwie minuty odkąd wyszedłem z domu, a Hagen Sloane, typowa lala, uzależniona od BlackBerry¹¹ i wody Evian¹², tleniona blondynka, wypindrzona córeczka tatusia – prezesa i moja prawdziwa partnerka na bal wiosenny, zadzwoniła na moją komórkę. Postanowiłem ją zignorować. Więc zadzwoniła znowu. I znowu. W końcu poddałem się.

- Jakaś gotycka laska mówi wszystkim dookoła, że jest twoją partnerką na bal! - wrzasnęła.

Zachowaj zimną krew. Spodziewałeś się tego.

- Czy twoim zdaniem jest możliwe, bym zaprosił taką niezdarę i łamagę na bal?

- W takim razie czemu wszystkim mówi, że to zrobiłeś?

- Nie jestem w stanie kontrolować wszystkiego, co mówią na mój temat tacy niezrównoważeni ludzie jak ta gotka.

- Więc się jej nie spytałeś?

- Oszalałaś? Dlaczego miałbym pytać jaką dziwaczkę, skoro chodzę z najgorętszą dziewczyną w szkole? - I dodałem moim przeznaczonym "tylko dla Sloane" głosem. - Jesteśmy doskonałą parą,

dziecinko.

Zachichotała.

- Właśnie tak myślałam. Powiem wszystkim, że jest pomyłona.

- Nie, nie rób tego.

- Dlaczego nie? - Znowu była podejrzliwa.

- Cóż, to jest poniekąd zabawne, nie sądzisz? Jakaś nieudacznica mówi wszystkim, że idzie na największe wydarzenie roku – Bal Wiosenny – z twoim chłopakiem.

- Możliwe, że masz rację.

- Wyobraź to sobie. Skoro mówi każdemu, że jestem jej partnerem, to może rzeczywiście w to wierzy i ubierze się w jakąś śmieszna sukienkę. Wtedy ja się tam z Tobą pojawię. To będzie wydarzenie!

- Kocham cię, Kyle. – Zachichotał Sloane. - Jesteś tak zły.

- Masz nasz myśli mój diaboliczny geniusz. - Zaniósłem się dzikim śmiechem jak złe charaktery w kreskówkach. - Więc, co o tym sądzisz?

- Kiedy masz rację, to masz rację. Będzie na co popatrzeć.

- Dokładnie. Więc musisz zrobić tylko jedną rzecz, by wszystko się udało - trzymaj swoją buzię zamkniętą.

- Oczywiście. Ale Kyle?

- Tak?

- Ze mną lepiej nie próbuj takich numerów. Nie jestem aż taka głupia, żeby się nabrać na takie sztuczki.

Nie byłem tego taki pewny ale powiedziałem, - Oczywiście, Sloane - posłuszny jak labrador.

- I Kyle?

- Tak, słucham?

- Moja sukienka jest czarna z bardzo cienkiego materiału.

- Hmm. Brzmi nieźle.

- I tak wygląda. Dlatego chciałabym, by wiązanka była z orchidei. Fioletowych.

- Oczywiście, - powiedziałem myśląc, że to było najlepszą rzeczą w Sloane. Właściwie, u większości osób, które znałem. Jeżeli mogli dostać od ciebie to czego chcieli, w zamian dawali ci to, co ty chciałeś od nich.

Gdy wreszcie skończyłem rozmowę, zajrzałem do szkolnych rejestrów w poszukiwaniu tej dziewczyny, Kendry. Nie uwierzyłem Sloane, gdy powiedziała, że niczego jej nie powie, więc postanowiłem, że zadzwonię do gotki by przedsięwziąć pewne środki ostrożności.

Ale kiedy spojrzałem do rejestru pod literę H, nie znalazłem tam żadnej Kendry Hilferty. Więc przejrzałem po kolei wszystkie nazwiska, od A do Z, a potem jeszcze raz i wciąż nie widziałem tam nazwiska Kendry. Próbowałem sobie przypomnieć, czy chodziła tu od początku roku, ale zrezygnowałem. Dziewczyna taka jak ona nie zaliczała się do grona lasek na moim radarze.

Gdy około dziewiątej wieczorem oglądałem Jankesów, usłyszałem jak do domu wchodzi mój ojciec. To było dziwne.

Większość nocy, póki nie poszedłem spać, był poza domem. W sumie to mógłbym oglądać telewizję w swoim pokoju, ale plazma była jedynie w salonie. Dodatkowo chciałem mu powiedzieć o tej całej sprawie wyborów pary królewskiej na Balu Wiosennym. Nie, żeby to była jakaś duża sprawa, ale mógł to być jedyny rodzaj rzeczy, która choć na chwilę przyciągałaby jego uwagę.

- Hej, zgadnij co się stało. - Powiedziałem.

- Co? Przepraszam, Aaron. Nie usłyszałem cię. Ktoś coś do mnie mówił. – Pomachał w moją stronę ręką nakazując milczenie i posłał wzrok typu „Przymknij się!” Używał Bluetootha. Zawsze uważałem, że ludzie, którzy tego używają wyglądają totalnie idiotycznie, jakby rozmawiali sami ze sobą. Poszedł do kuchni i mówił dalej. Myślałem o podkręcaniu dźwięku, ale wiedziałem, że znikuje. Kiedyś powiedział, że włączony telewizor podczas prowadzenia rozmowy telefonicznej jest równoznaczny z brakiem klasy. Problem był w tym, że on zawsze rozmawiał.

Nareszcie skończył. Usłyszałem jak buszuje w Sub-Zero (tak, odkąd pamiętam, nazywał lodówkę) w poszukiwaniu posiłku, który zostawiła służąca. Później usłyszałem, jak kuchenka mikrofalowa otwiera się i zamyka. Wiedziałem, że za chwilę się tu zjawi, ponieważ miał dokładnie trzy minuty nim jedzenie będzie gotowe, więc by zabić czas przyjdzie ze mną porozmawiać.

Bingo.

- Jak było dzisiaj w szkole?

Było świetnie. Trey i ja przeprowadziliśmy wszystkie druty przez teren naszej szkoły by ją jutro wysadzić w powietrze. Musimy jeszcze tylko skombinować karabiny maszynowe tak, byś się o niczym nie dowiedział. Nie powinno być trudno zważając na to, że nigdy cię nie ma. Wczoraj ukradłem twoją kartę kredytową. Pomyślałem, że nie będziesz miał nic przeciwko. Ani, że nic nie zauważysz.

- Dobrze. Typowali dzisiaj ludzi, którzy mogliby zostać królem i królową podczas Wiosennego Balu i znalazłem się wśród wybranych. Ludzie mówią, że prawdopodobnie wygram.

- To wspaniale, Kyle. – Rzucił okien na wyświetlacz telefonu.

Zastanawiałem się, czy gdybym powiedział coś innego to jego odpowiedź i tak brzmiałaby: "To wspaniale, Kyle."

Spróbowałem innej strategii by zwrócić na siebie uwagę. Podziękował. – Jakieś wieści od mamy? - Odeszła gdy miałem jedenaście lat ponieważ "gdzieś tam musi być coś więcej", cokolwiek miałyby to oznaczać. Zakończyła swoje małżeństwo by związać się z chirurgiem plastycznym i wyprowadzić się do Miami, gdzie mogła zażywać kąpieli słonecznych i nigdy nie przejmować się starzeniem.

Lub rozmową ze mną.

- Co? Och, prawdopodobnie praży się gdzieś na słońcu.- Spojrzał w kierunku kuchni, jakby chciał popędzić kuchenkę mikrofalową, by szybciej podgrzewała. - Wylali dzisiaj Jessicę Silver. - Jessica była jego współpracownikiem, więc rozmowa zmierzała do jego ulubionego tematu: niego.

- Dlaczego? - Spytałem.

- Oficjalna wersja jest taka, że były niedociągnięcia w jej reportażu na temat tego incydentu Karmer. Nie miałem zielonego pojęcia o jakim incydencie mowa.

Tata ciągnął dalej. - ... ale tak między nami, gdyby zrzuciła parę kilo po tym jak zaszła w ciążę, lub gdyby w ogóle nie zwracała sobie głowy zachodzeniem w nią i nie stawiała dziecka na pierwszym miejscu – dalej by miała tę pracę.

Zacząłem myśleć nad tym, co powiedziała Kendra. No, ale litości! Ludzie chcieli patrzeć na kogoś, kto jest gorący, a nie na kogoś, kto wygląda jak pączek z nadzieniem. To była ludzka natura. Co w tym złego?

- Babka jest totalnie świrnięta,- zgodziłem się. Znów spojrzał w stronę kuchni, więc dodałem - Jankesi skopują tyłek swoim rywalom.

W tym samym czasie zabrzęczała mikrofalówka.

- Co? - spytał tata. Skupił się na telewizorze może przez dziesięć sekund. - Och, mam jeszcze dużo pracy, Kyle.

Wziął do sypialni talerz z jedzeniem i zamknął drzwi.

~ ~ IV ~ ~

W porządku, może Sloane nie powiedziała Kendrze, że jest moją partnerką na Bal Wiosenny, ale za to na pewno powiedziała to każdej innej osobie. Skąd takie przypuszczenie? Kiedy przyjechałem do szkoły, dwie dziewczyny, które skrycie marzyły o tym bym je zaprosił, zignorowały mnie, a Trey znalazł się przy mnie jak tylko dotarłem do drzwi.

- Sloane Hagen - podniósł do góry swoją dłoń czekając aż mu przybije piątkę. - Nieźle.

- Całkiem nieźle.

- Całkiem nieźle - przedrzeźniał mnie. - Jest najgorętsza laską w tej szkole!

- Wiem, bo dlaczego miałbym się zadowalać gorąco laską skoro mogę mieć najgorętszą?

Pogodziłem się z faktem, że plotki, zresztą prawdziwe, już pewnie dotarły do uszu Kendry, więc zdziwiłem się niezmiernie, kiedy podeszła do mnie na przerwie między lekcjami.

- Hej - złapała mnie pod ramię.

- Witaj - starałem się nie wyszarpnąć ręki, ani nie myśleć o tych wszystkich, którzy mogą mnie teraz zobaczyć z tym wybrykiem przyczepionym do mojego ramienia.

- Próbowałem do ciebie zadzwonić ubiegłej nocy.

Pierwszy raz to ona wyglądała na podenerwowaną. - Nie jestem w katalogu. Jestem ... hm, nowa w tym roku. Niedawno się przeniosłam.

- Domyśliłem się - dalej na mnie wisiła. Jacyś moim przyjaciele przechodzili właśnie obok nas, więc automatycznie spróbowałem wyplątać się z jej uścisku.

- Aua! - jeden z jej paznokci wbił się moją dłoń.

- Przepraszam – spojrzała na mnie niewinnie.

- Czy dalej jesteśmy umówieni na bal?

- Pewnie. Dlaczego mielibyśmy nie być?

Przyglądała mi się.

Miałem właśnie zacząć wkręcać jej gadkę o tym, że musimy spotkać się na miejscu, ponieważ mój ojciec nie będzie mógł urwać się wcześniej z pracy, kiedy ona powiedziała:

- Myślę, że powinniśmy spotkać się już na balu.

- Naprawdę? Większość dziewczyn życzy sobie królewskiej eskorty. Wiesz, limuzyna i te sprawy.

- Nooo. Może to dziwne, a moja mama jest już wystarczająco wstrząśnięta tym, że idę na bal z chłopakiem.

A kogo się spodziewała? Wilkołaka?

To brzmiało zbyt pięknie, by mogło być prawdziwe.

- W porządku. Kupię ci bilet i zobaczymy się na miejscu.

- Do zobaczenia - zaczęła odchodzić.

Nagle przypomniałem sobie co mówiła Sloane o bukietku. Zdecydowałem, że ją również muszę o niego zapytać, skoro miało to wyglądać prawdziwie.

- Kendra, jakiego koloru będzie twoja sukienka? Mój tata mówił, że załatwi bukietek.

- Och, jeszcze nie zdecydowałam co założyć. Coś czarnego – to mój kolor rozpoznawczy. Ale pojedyncza biała róża pasuje do wszystkiego, nie sądzisz? I symbolizuje czystość.

Ona była tak niewiarygodnie brzydka, że wyobraziłem sobie na chwilę jakby to wyglądało: ja zabierający ją na bal, pochylam się przy przypięciu jej bukietek i widzę jej krzywe zęby, haczykowaty nos i te dziwne zielone oczy, a wszyscy moi przyjaciele stoją i śmieją się ze mnie. Przez sekundę pomyślałem, czy aby na pewno nie było wiedźmą. Niemożliwe. Nie istniało na świecie nic takiego jak wiedźma.

- Okej - powiedziałem. - Więc do zobaczenia na balu?

- To będzie noc, której nigdy nie zapomnisz.

~ ~ V ~ ~

W dniu balu, dostałem od Magdy nowej służącej, smoking wypożyczony na kartę kredytową mojego ojca.

pozytywną stroną w posiadaniu ojca, którego nigdy nie ma w pobliżu jest to, że kupi ci wszystko co chcesz, ponieważ jest to łatwiejsze i zajmuje mniej czasu niż jakakolwiek kłótnia.

Dla przykładu, rodzice Treya są strasznie oszczędni i stanowczy – powiedzieli mi, że musi wybrać pomiędzy Xbox¹³ i Wii¹⁴. Martwili się, że go "rozpieszczą" czy coś takiego. Mój tata natomiast kupił mi obie. Czekaając na limuzynę - sponsorowaną przez ojca - wyciągnąłem komórkę - od... ojca - i wybrałem numer Treya. W międzyczasie zajrzałem do lodówki, by sprawdzić czy jest tam kotylion, który Magda miała odebrać z kwaciarni. Sloane powiedziała mi, piętnaście albo szesnaście razy, że jej sukienka jest „czarna i naprawdę boska” i że nie pożaluję, jeśli dam jej kotylion z orchidei. Tak więc, oczywiście, powiedziałem Magdzie co ma zamówić.

- Pomyślałeś kiedykolwiek o tym, że szkolne bale są formą zalegalizowanej prostytucji? - powiedziałem do Treya przez telefon.

Zaśmiał się.

- Co masz na myśli?

- Mam na myśli – a tak naprawdę na myśli ma to mój ojciec – że wydając pięć stów na smoking, limuzynę, bilety i kotylion dostajesz coś w zamian. Na co ci to wygląda?

Trey parsknął.

- Klasyka.

Zajrzałem na tyły lodówki.

- Gdzie -

- O co chodzi ?

- O nic. Muszę kończyć

Przeszukałem lodówkę wzdłuż i wszerz, ale nie znalazłem żadnego śladu po kotylionie z orchidei. Jedyne kwiaty, jakie się tam znajdowały, to pojedyncza biała róża.

- Magda! - wrzasnąłem. - Gdzie do diabła jest kotylion z orchidei, który miałaś załatwić? I co do cholery ma znaczyć ta róża? – mimo wszystko wiedziałem, że róże są o wiele tańsze od orchidei.

- Magda!

Zero odpowiedzi.

W końcu znalazłem ją w pralni, wylewającą detergent na kołnierz jednej z koszul ojca. Jeśli ktoś by mnie pytał to jest to bardzo ciepła i wygodna posadka. Ojciec pracował 24/7 więc prawie w ogóle nie robił bałaganu. Ja natomiast większość czasu byłem w szkole, a jeśli nie, to trzymałem się z dala od domu jak tylko było to możliwe. Więc zasadniczo dostawała pensję i mogła swobodnie używać naszego apartamentu, a wszystko co musiała robić to pranie, odkurzenie, oglądanie oper mydlanych i zbijanie bąków.

To i jeszcze kilka prostych spraw, których nawet nie mogła prawidłowo wykonać.

- Co to jest? – spytałem, podstawiając jej pod nos plastikowe pudełko. Właściwie, to nie było dokładnie to co naprawdę powiedziałem. Dodałem kilka nieocenzurowanych słów, których i tak prawdopodobnie nawet nie zrozumiała.

Cofnęła się przed moją ręką. Wszystkie naszyjniki dookoła jej szyi zadzwoniły.

- Piękny, nieprawdaż?

- Piękny? To jest róża. A ja powiedziałem orchideę. ORCHIDEĘ. Jesteś aż tak głupia, że nie wiesz czym jest orchidea?

Nie zareagowała na słowo głupia, co tylko jeszcze bardziej potwierdziło jak głupia jest naprawdę. Pracowała tutaj dopiero kilka tygodni, ale była nawet głupsza niż nasza ostatnia gospodyni, która została przyłapana na praniu jej taniej czerwonej koszulki z naszymi rzeczami. Magda nie przestała składać prania, ale jednocześnie dalej gapiła się na różę, jak na święta krowę.

- Wiem, czym jest orchidea, Paniczu Kyle. Dumny, próżny kwiat. Natomiast róża... Nie umiesz dostrzec jak piękny jest ten kwiat?

Spojrzałem na niego. Był koloru czystej bieli i wydawał się prawie urosnąć przed moimi oczami. Odwróciłem wzrok. Wszystko co mogłem w tej chwili zobaczyć to twarz Sloane po tym jak pojawiłem się z niewłaściwym bukietem. Moje nadzieje na pikantną noc legły w gruzach i to wszystko z powodu Magdy. Głupia róża, głupia Magda.

- Róże są tanie - powiedziałem.

- Piękna rzecz jest cenna, bez względu na cenę. Ci, którzy nie wiedzą jak dostrzec cenne rzeczy w ich życiu, nigdy nie będą szczęśliwi. Życzę ci, byś był szczęśliwy, Paniczu Kyle.

Tak i najlepsze rzeczy w życiu są za darmo, prawda? Ale czego można się spodziewać po kimś kto zarabia na jedzenie praniem cudzych portek?

- Moim zdaniem jest brzydka - powiedziałem.

Odłożyła pranie, które własne trzymała i nim zdążyłem się zorientować wyrwała mi różę z rąk.

- Więc daj mi ją.

- Brałaś coś? – spróbowałem odebrać jej pudełko. Spadło na podłogę. – Tak to sobie zaplanowałaś, co? Zamówisz zły kotylion, ja powiem, że go nie chce i dam tobie. Nie wydaje mi się.

Spojrzała na różę leżącą na podłodze.

- Żal mi ciebie, Paniczu Kyle.

- Żal ci mnie? - zaśmiałem się. - Jak możesz mnie żałować? Jesteś służącą.

Nic nie odpowiedziała, tylko sięgnęła po następną koszulę ojca jakby nigdy nie przerwała robionego prania.

Znowu się zaśmiałem.

- Powinnaś się mnie obawiać. Trząść tyłkiem ze strachu. Jeżeli powiem ojcu w jaki sposób marnujesz jego pieniądze, od razu wylecisz. Prawdopodobnie nawet cię deportuje. Powinnaś się mnie bać.

Dalej składała pranie. Prawdopodobnie nie rozumiała angielskiego na tyle, by załapać co do niej mówiłem przez cały ten czas.

Zrezygnowałem. Nie chciałem podnosić bukietu, ponieważ to oznaczałoby, że mam zamiar dać go Sloane. Ale jaki miałem wybór? Podniosłem kotylion z kąta w którym leżał. Pudełko było pęknięte, więc róża wypadła na podłogę, biały pojedynczy płatek oddzielił się od reszty. Tani rupieć. Wetkałem luźny płatek do tylnej kieszeni spodni i ułożyłem resztę kotylionu do pudełka najlepiej jak potrafiłem. Ruszyłem do wyjścia.

Właśnie wtedy Magda powiedziała – nieskazitelnym angielskim, tak przy okazji:

- Nie boję się ciebie, Kyle. Boję się o ciebie.

- Jak chcesz – wyszedłem.

~ ~ VI ~ ~

Zaplanowałem, że w wieczór balu przyjadę po Sloane wypożyczoną limuzyną, dam jej kotylion i, korzystając ze sprzyjającej atmosfery, postaram się naprawić zaistniałą pomyłkę. Mimo wszystko mój ojciec wydał dużo kasy, a na dodatek miała to być najważniejsza noc w moim życiu. Ufałem, że tytuł księcia mi w tym pomoże, w końcu od czegoś on jest.

Jednak nie pomógł.

Gdy Sloane zobaczyła kotylion, ze złości zrobiła się cała czerwona. A przynajmniej tak mi się wydawało, ponieważ spod tapety, którą miała na twarzy nic nie można było dojrzeć.

- Jesteś ślepy?! – zapytała z krzykiem, a jej dłonie zacisnęły się w pięści. - Powiedziałam, że moja sukienka jest czarna. Niby jak ma pasować.

Spojrzałem na kotylion.

- Jest biały.

- Jest wyłącznie biały! Uhh.

Nie wiedziałem jak wyłącznie biały mógłby nie pasować do czegokolwiek. Ale jeśli na coś od niej liczyłem tego wieczoru, to musiałem trzymać głowę na kłódce.

- Posłuchaj - powiedziałem. – To nie moja wina, tylko mojej służącej.

- Służącej? Nawet nie poświęciłeś się na tyle by sam pójść go kupić?

- Kto teraz sam kupuje rzeczy? Kupię ci kwiaty następnym razem. - Wyciągnąłem pudełko z kotylionem. - Jest ładny.

- I tani. – Wytrąciła go z mojej ręki. - To nie jest to, o co poprosiłam.

Gapiłem się na pudełko z bukietem leżące na podłodze. Chciałem po prostu stąd odejść. Ale w tym momencie pojawiła się mama Sloane z wysoce zaawansowanym urządzeniem dzisiejszej technologii, by koniecznie zrobić zdjęcia Sloane z mojej lewej strony, Sloane z mojej prawej strony i Sloane tuż przede mną. W tym samym czasie nagrywała nas kamera ustawiona w holu a pani Hagen, który była samotną matką i prawdopodobnie nie pogardziłaby wprowadzeniem się do mojego taty, gruchała:

- Oto przyszły księżę i księżniczka.

Zrobiłem więc to, co robi syn Roba Kingsbury. Kopnąłem tani kotylion na bok by usunąć go z pola widzenia i uśmiechnąłem się czarująco do aparatu fotograficznego, mówiąc te wszystkie uprzejme rzeczy, o pięknym wyglądzie Sloane, jak wspomniały na pewno będzie bal, bla, bla, bla.

Po wszystkim z jakiegoś powodu podniosłem kotylion z podłogi. Odleciał następny płatek, który jak poprzedni również schowałem do kieszeni, a pudełko wzięłem ze sobą.

Bal był w Plazie. Kiedy przyjechaliśmy na miejsce wręczyłem bilety dziewczynie, która je sprawdzała.

Popatrzyła na kotylion.

- Piękny bukiet - powiedziała.

Spojrzałem na nią myśląc, że mnie nabiera. Nie robiła tego. Była prawdopodobnie w mojej klasie. Typ szarej myszki z dwoma czerwonymi kucykami i piegami. Od razu było widać, że tu nie pasuje, nie do Plazy. Musiała tu być dzięki stypendium, ponieważ wszyscy ci ludzie muszą odważać takie beznadziejne prace jak na przykład sprawdzanie biletów. Oczywiście, nikt nie zaprosił jej na tańce, ani nie kupił jej bukietu. Nawet najtańszej, zwiędniętej róży.

Zerknąłem na Sloane. Prowadziła ożywioną rozmowę z pięćdziesięcioma bliskimi przyjaciółmi, których nie widziała od wczoraj, odkąd wszystkie dziewczyny urwały się ze szkoły by iść na pedicure i inne zabiegi spa.

Większą część jazdy Sloane spędziła narzekając na kotylion - nie tak to sobie planowałem – po czym odmówiła jego założenia.

- Hej, chcesz go? - powiedziałem do dziewczyny.

- To nie jest miłe, - odpowiedziała.

- Co? - spróbowałem sobie przypomnieć czy kiedykolwiek się jej czepiałem. Neee. Nie była wystarczająco brzydka by zawracać sobie nią głowę. Zwykłe zero, nie warte mojej uwagi.

- Żartujesz sobie ze mnie. Udasz, że chce mi go dać, a później zabierzesz z powrotem.

- Nie miałem zamiaru udawać. Możesz go wziąć - to było dziwne, że obchodziła ją jakaś głupia róża. – Jej kolor nie pasuje do sukienki mojej dziewczyny czy coś takiego, więc jej nie założę. I tak zwiędnie, więc równie dobrze możesz ją wziąć.

Wyciągnąłem pudełko w jej stronę.

- Skoro tak wygląda sytuacja...- uśmiechnęła się, odbierając ode mnie pudełko. Spróbowałem nie zauważyć jej krzywych zębów.

Dlaczego nie załatwi sobie aparatu na zęby.

- Dzięki. Jest śliczna.

- Proszę bardzo.

Odszedłem z czymś w rodzaju uśmiechu na twarzy. Dlaczego to zrobiłem? Przecież na pewno nie było w moim zwyczaju robienie dobrych uczynków dla brzydotek. Zastanawiałem się, czy wszyscy biedni ludzie ekscytują cię takimi duperelami. Nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz ja się czymkolwiek ekscytowałem. W każdym razie, to byłoby śmieszne, gdyby Sloane w końcu przestała jęczeć i stwierdziła, że chce różę z powrotem a ja musiałbym powiedzieć, że już jej nie mam.

Rozejrzałem się za Kendrą. Prawie o niej zapomniałem, ale moja synchronizacja była, jak zwykle, doskonała, ponieważ dostrzegłem ją w momencie jak zmierzała do wejścia. Miała na sobie czarno-purpurową sukienkę, która wyglądała jak kostium z serii Harry Potter Idzie na Bal. Szukała mnie.

- Hej, gdzie jest twój bilet? – spytał się jeden od stypendystów.

- Och ... nie mam ... szukam kogoś.

Widziałem błysk litości na twarzy osoby sprawdzającej bilety, jakby dokładnie wiedziała o co chodziło, ofiara losu z ofiara losu, trafił swój na swego.

Ale opowiedziała:

- Przepraszam. Nie mogę cię wpuścić bez biletu.

- Czekam na mojego partnera.

Kolejne litościwe spojrzenie.

- W porządku,- odpowiedziała stypendystka. – Tylko stań sobie troszkę z tyłu.

- Jasne.

Poszedłem do Sloane. Wskazałem głową w miejsce gdzie stała Kendra.

- Showtime.

W tym momencie Kendra zauważyła mnie.

Sloane wiedziała co ma robić. Mimo, że była na mnie wkurzona, była też typem osoby, która nigdy nie zmarnuje okazji by zniszczyć, życie innej dziewczynie. Albo uczynić je gorszym. Złapała mnie i pocałowała głęboko.

- Kocham cię, Kyle.

Słodko. Oddałem jej pocałunek nie powtarzając słów, które wypowiedziała.

Kiedy skończyliśmy, Kendra gapiła się na nas. Ruszyłem w jej stronę.

- Na co patrzysz, Maszkaro?

Oczekiwałem, że się rozplacze. To było zabawne, wyzywać się na głupkach, sprawiać by płakali, a wtedy powyzywać się na nich jeszcze bardziej. Na tą chwilę czekałem prawie cały wieczór. Wynagrodziłoby mi to również aferę z kotylionem.

Ale ona odpowiedziała tylko:

- Naprawdę to zrobiłeś.

- Zrobiłem co? – spytałem.

- Popatrz na nią - zachichotała Sloane. – Naprawdę założyła tą obrzydliwą sukienkę. Wygląda w niej nawet na o wiele grubszą.

- Tak, gdzie ją znalazłaś? – powiedziałem. – W stercie śmieci?

- Należała do mojej babci – odparła Kendra.

- Nie wiem czy wiesz, ale ludzie tutaj, na bal kupują nowe sukienki. - Zaśmiałem się.

- Tak... a więc, naprawdę to zrobiłeś, tak? - powiedziała. - Naprawdę zaprosiłeś mnie na bal, chociaż miałeś już inną partnerkę, tylko po to bym, że bym wyszła na idiotkę?

Znów się zaśmiałem.

- Naprawdę myślałaś, że ktoś taki jak ja, weźmie kogoś takiego jak ty na bal?

- Nie, nie myślałam. Ale nie spodziewałam się, iż nie sprawisz, że podjęcie mojej decyzji stanie się tak dziecinnie proste.

- Jakiej decyzji?

Za mną rechotała Sloane, wykrzykując „Przeegrany”. Osoby zgromadzone w pomieszczeniu zaczęły przyglądać się zaistniałej sytuacji aż w końcu cały hol rozbrzmiewał od podniesionych głosów, wskutek czego ledwie mogłem jasno myśleć.

Patrzyłem na dziewczynę, Kendrę. Nie płakała. Nie wyglądała również za zakłopotaną. W jej spojrzeniu znów dostrzegłem tajemniczy błysk, jak u tej laski w starym filmie Stephena Kinga, który raz widziałem – Carrie - gdzie dziewczyna odkryła w sobie moce telekinety i wybiła wszystkich swoich wrogów. Czekałem, aż Kendra zacznie robić to samo - zabijać ludzi wzrokiem.

Ale zamiast tego powiedziała tak cicho, że tylko ja mogłem ją usłyszeć:

- Dowiesz się.

I wyszła.

~ ~ VII ~ ~

Wieczór minął w mgnieniu oka. Typowy obraz balu, kulawa muzyka, nauczyciele próbujący powstrzymać nas od obściskiwania się na parkiecie. Wszystkie rodzaje zachowań na przed-impresie w wyczekiwaniu na kulminację wieczoru. Lecz w moich uszach dalej dźwięczały słowa Kendry: Dowiesz się. Sloane przestała się bocyć, a gdy zostaliśmy ogłoszeni królem i królową balu stała się naprawdę miła. Popularność i władza, które idą w parze, dla niektórych dziewczyn to pewnego rodzaju afrodyzjak. Sloane była jedną z nich.

Staliśmy na scenie, czekając na koronację. Nachyliła się do mnie.

- Moja mama jest dzisiaj poza domem - wzięła moją rękę i położyła na swoim tyłku.

Zabrałem ją.

- Świetnie.

Dowiesz się.

Niezrażona kontynuowała, napierając na mnie. Czułem jej gorący oddech na moim uchu.

- Poszła do opery – trzy i pół godziny. Zadzwoiłam, by się dowiedzieć. Później zwykle idzie na kolację. Nie wróci przynajmniej do pierwszej... więc jeśli chciałbyś wpaść na chwilkę. - Jej ręka ześlizgnęła się w dół mojego brzucha zbliżając się do Niebezpiecznej Strefy.

Nieprawdopodobne. Obmacywała mnie na oczach całej szkoły?

Odsunąłem się.

- Mam limuzynę tylko do północy.

Brett Davies, król ubiegłego roku, podszedł do mnie z koroną. Schyliłem głowę by ułatwić mu zadanie.

- Używaj tego mądrze, - powiedział Brett.

- Skąpiec – narzekała Sloane. - Nie jestem aż tyle warta byś miał brać taksówkę? To miałaś na myśli?

Co miało znaczyć „dowiesz się”? I Sloane i Brett byli zbyt blisko, odcinali mi powietrze. Rzeczy i ludzie zaczęli na mnie napierać ze wszystkich stron. Nie mogłem jasno myśleć.

- Odpowiedz mi, Kyle Kingsbury.

- Możesz się ode mnie odwalić?! - wybuchłem.

Gdy to powiedziałem odniosłem wrażenie, że wszystko i wszyscy zamarli.

- Ty draniu – powiedziała Sloane.

- Spadam do domu - powiedziałem. – Zostajesz czy jedziesz limuzyną?

Dowiesz się.- Myślisz, że możesz mnie tu tak zostawić? Mnie?! – szepnęła Sloane, lecz na tyle głośno, że usłyszeli ją wszyscy w promieniu dziesięciu mil¹⁵.

- Jeżeli teraz odjedziesz, to będzie to ostatnia rzecz jaką kiedykolwiek zrobisz. Więc, uśmiechnij się i ze mną zatańcz. Nie pozwolę ci na zrujnowanie mojego wieczoru, Kyle.

A więc to właśnie zrobiłem. Uśmiechałem się i tańczyłem. Po wszystkim, zabrałem ją do domu i piłem wódkę Absolut, zwędzoną z barku jej rodziców („Królewski Absolut"! wzniosła toast Sloane) i robiłem wszystko, czego oczekiwała i ona i ja, a w międzyczasie próbowałem zapomnieć o głosie w mojej głowie, głosie, który mówił „dowiesz się” w kółko i w kółko. W końcu, o jedenastej czterdzieści pięć, wymknąłem się.

Kiedy dostałem się do domu, światło w mojej sypialni było włączone. Dziwne. Pewnie Magda tam sprzątała i zapomniała zgasić.

Ale kiedy otworzyłem drzwi, na moim łóżku siedziała wiedźma.

~ ~ VIII ~ ~

- Co tutaj robisz? – spytałem na tyle głośno by ukryć fakt, że mój głos drży, pot oblewa całe moje ciało, a tętno przyspieszyło jakbym właśnie przebiegł maraton. Jednak mimo wszystko nie mogłem powiedzieć, że jej obecność mnie zaskoczyła. Czekałem na to od czasu balu. Nie wiedziałem tylko, kiedy

ją spotkam i jak.

Gapiła się na mnie. Znów zwróciłem uwagę na jej oczy, o tym samym butelkowym kolorze jak włosy i naszła mnie ta niesamowita myśl:

A co, jeśli kolor włosów jak i oczu jest naturalny? Jeżeli już się z takimi urodziła?

Szaleństwo.

- Co robisz w moim domu? - powtórzyłem. Uśmiechnęła się. Dopiero teraz zauważyłem, że trzyma lustro, to samo które miała tamtego dnia na w-fie. Spojrzała w nie i zaczęła intonować:

- Zemsta. Poetycka sprawiedliwość. Zasłużona kara. Comeuppance.

Gapiałem się. W momencie gdy mówiła, nie wyglądała na tak brzydką jak ją zapamiętałem. Te oczy, te błyszczące zielone oczy. Jej skóra również jaśniała.

- Co znaczy, comeuppance?

- Jest w słowniku, Kyle. Powinieneś je znać – zasłużona kara. Nie martw się, wkrótce na własnej skórze poznasz jego znaczenie.

Kara. Przez te wszystkie lata wiele gospodyń i moich nauczycieli, karę stosowało jako groźbę, która nigdy nie została spełniona. Zwykle urzekałem ich moim wdziękiem albo płacił im mój ojciec.

Ale co, jeżeli ona była jakimś rodzajem zwariowanego szaleńca, który zwiął z oddziału zamkniętego?

- Posłuchaj - powiedziałem. – Co do dzisiejszego wieczoru - przepraszam . Nie myślałem, że naprawdę się pojawisz. Wiedziałem, że i tak mnie nie lubisz, więc doszedłem do wniosku, że nie zranię twoich uczuć.

Musiałem być miły. Ona rzeczywiście była wariatką.

A co jeśli pod tymi połami ubrań chowała broń?

- Masz rację.

- Mam rację w czym?

- Że cię nie lubię. I że moje uczucia nie zostały zranione.

- Och. - Rzuciłem jej spojrzenie, które zwykle posyłam nauczycielom, "jestem grzecznym chłopcem", spójrz. Kiedy to zrobiłem, zauważyłem coś dziwnego. Jej nos, który brałem za długi i wiedźmowaty wcale taki nie był. To musiała być gra cieni.

- Dobrze, więc jesteśmy kwita?

- Nie zraniłeś moich uczuć, ponieważ wiedziałam, że mnie wystawisz, Kyle. Wiedziałam, że jesteś okrutny i bezwzględny i to daje ci sposobność to zranienie kogoś... Tak jak to zrobiłeś.

Nasze oczy spotkały się. Jej rzęsy wyglądały na inne. Dłuższe. Potrząsnąłem głową.

- To nie dlatego.

- Więc dlaczego? – Jej wargi były czerwone, koloru krwi.

- O co tutaj chodzi?

- Mówiłam ci. Comeuppance. Dowiesz się jak to jest nie być tym najpiękniejszym, ale być brzydkim na zewnątrz tak samo jak jesteś w środku. Jeśli zrozumiesz i wyciągniesz wnioski z tej lekcji, możesz być w stanie złamać mój czar. Jeżeli nie, będziesz żył ze swoją karą na zawsze.

Gdy mówiła, jej policzki poczerwieniły. Zrzuciła płaszcz i zobaczyłem, że była seksowną – chociaż zielono-włosą laską. Ale coś było nie tak - jak mogła się tak zmienić? Zacząłem świrować, ale nie mogłem się wycofać. Nie mogłem pokazać, że się jej boję. Spróbowałem jeszcze raz. Gdzie urok nie dawał rady, kasa mojego taty zawsze działała.

- Wiesz, że mój ojciec ma dużo forsy – i znajomości.

Każdy czegoś pragnie, Kyle.

- Czyli...?

- Domyślam się, jak musi ci być ciężko. Żyć jedynie ze stypendium w szkole takiej jak Tuttle, ale mój tata może wszystko załatwić, dostaniesz to, czego chcesz. Pieniądze. Dodatkowo świadczenie na studia, nawet występ w wieczornych wiadomościach, jeśli go o to poproszę. Co to było za przebranie? Jesteś przecież całkiem ładna. Nadawałabyś się do telewizji.

- Naprawdę tak uważasz?

- Pewnie ... ja ...- zamilkłem. Ona się śmiała.

- Nie chodzę do Tuttle - powiedziała. – Nie chodzę do żadnej szkoły. Nie żyję tutaj, ani gdziekolwiek indziej. Jestem tak stara jak świat i tak młoda jako świt. Istoty należącej do innego świata nie można przykupić.

Och.

- Więc mówisz, że jesteś ... wiedźmą?

Jej włosy spływające dookoła twarzy wydawały się raz zielone, raz purpurowe, raz czarne, jak neonowe światła. Uświadomiłem sobie, że wstrzymuje oddech, czekając na jej odpowiedź.

- Tak.

- Dobrze - powiedziałem rozumiejąc. Ona była naprawdę szalona.

- Kyle Kingsbury, to co zrobiłeś było brzydkie. I to nie był pierwszy raz. Przez całe swoje życie jesteś traktowany ulgowo ze względu na swoją urodę, lecz ty

używałeś tego piękna by być okrutnym dla tych, którzy nie mieli tyle szczęścia.

- To nieprawda.

- Druga klasa - powiedziałaś Terry Fisher, że ma kanciastą głowę dlatego, że gdy była mała, jej matka przytrzasnęła ją drzwiami od samochodu. Płakała przez godzinę.

- Byłem wtedy nierozgarniętym dzieckiem.

- Być może. Ale w szóstej klasie zorganizowałaś przyjęcie w Gameworks i zaprosiłaś całą klasę – z wyjątkiem dwójki dzieci, Lary Ritter i Davida Sweeney. Powiedziałaś im, że są zbyt brzydki by mogli wejść.

Popatrzyła na mnie.

- Według ciebie to jest zabawne?

Tak. W pewnym sensie.

Ale powiedziałem:

- To było dawno temu. Miałem wtedy problemy. To był rok w którym odeszła moja matka.

Kendra wydawała się znacznie wyższa.

- Ubiegłego roku, Wimberly Sawyer zakochała się w tobie. Poprosiłaś o jej numer, tylko po to by twoi przyjaciele mogli ją zamęczać nieprzyzwoitymi rozmowami telefonicznymi, do czasu aż jej rodzice nie zmienili numeru. Wiesz, jakie to było dla niej zawstydzające? Pomyśl o tym.

Na jedną sekundę wyobraziłem sobie jakby to było być Wimberly, mówiącą swojemu tacie, że wszyscy w szkole jej nienawidzą, jak ja to mówię. I właśnie nawet na tą jedną sekundę nie mogłem znieść takiej myśli. Wimberly nie tylko zmieniła swój numer, pod koniec roku przeniosła się do innej szkoły.

- Masz rację - powiedziałem. - Byłem dupkiem. Już więcej tego nie zrobię.

Prawie w to uwierzyłem. Ona miała rację. Powinienem być miłszy. Nie wiedziałem, dlaczego czasami byłem taki podły i okrutny.

Czasami mówiłem sobie, że będę miłszy dla ludzi. Ale zawsze, po godzinie lub coś koło tego zapomniałem, bo uczucie przewyższania ich pod każdym względem było zbyt wspaniałe. Być może psycholog, jeden z tych facetów z TV, powiedziałby, że robiłem to, by czuć się kimś wyjątkowym, ponieważ moi rodzice nie poświęcali mi wystarczającej uwagi, czy coś takiego. Ale to nie o to chodziło, nie naprawdę. Tak po prostu było i nic nie mogłem na to poradzić. Taki byłem.

W pokoju dziennym zegar dziadka zaczął wybijać północ.

- Masz rację - powiedziała wiedźma, rozciągając stawy w rękach. – Już więcej tego nie zrobisz. W niektórych krajach kiedy człowiek coś ukradnie, za karę odcinają mu rękę. Jeżeli zgwałci, kastrują go... W ten sposób usuwają narzędzie zbrodni tym, którzy je popełnili.

Zegar nadal wybijał godzinę. Dziewięć. Dziesięć.

Pokój zaczął jaśnieć i prawie że wirować.

- Zwariowałaś?! – Spojrzałem na jej ręce w obawie, że trzyma w nich nóż, którym chciałaby mi coś odciąć. Pomyślałem, że musiałem naprawdę dużo wypić, ponieważ to nie mogło się dziać naprawdę. Nie mogła mieć żadnych magicznych mocy. To jest to. To musiało być pijacką halucynacją.

Zegar skończył uderzać. Kendra dotknęła mojego ramienia, odwracając mnie od siebie w stronę lustra stojącego na moim sekretarzyku.

- Poznaj Kyla Kingsbury'ego.

Obróciłem się i z przerażeniem spojrzałem w miejsce, gdzie powinny znajdować się moje oczy.

- Co ty ze mną zrobiłaś?! – Kiedy to powiedziałem, mój głos zabrzmiał inaczej. Jak ryk..

Pomachała ręką, z której wyleciała fontanna iskier.

- Zmieniłam cię w kogoś, kim jesteś naprawdę. W prawdziwszego siebie.

Byłem bestią.

--Pan Anderson: Cieszę się, że tak wielu z was pojawiło się tu ponownie. Dzisiaj będziemy mówić o reakcji waszej rodziny i przyjaciół na waszą przemianę.

BeastNYC: <- Nie mam zamiaru ponownego omawiania tego tematu. Poprzednim razem powiedziałem wystarczająco dużo.

Pan Anderson: Dlaczego jesteś taki rozgniewany, Beast?

BeastNYC: A ty nie byłbyś tak rozgniewany, jeśli byłbyś mną? Rozgniewany to delikatne słowo.

Pan Anderson: Próbowałbym znaleźć wyjście z zaistniałej sytuacji.

BeastNYC: Nie ma żadnego wyjścia.

Pan Anderson: Zawsze jest jakieś wyjście. Żadna klątwa nie jest rzucona bez powodu.

BeastNYC: Bierzesz stronę WIEDZMY???

Pan Anderson: Tego nie powiedziałem.

BeastNYC: Poza tym, jak możesz być tak pewny, że jest jakieś wyjście?

Pan Anderson: Po prostu jestem.

BeastNYC: Skąd możesz wiedzieć czy gdzieś tam nie żyje dużo ryb, ptaków, pajaków, które zostały przeklęte i **nigdy** nie wróciły do swojej pierwotnej postaci?

SilentMaid: Jestem pewna, że nie ma żadnej ryby. Wiedziałabym o tym.

BeastNYC: Masz jakiś rodzaj magicznych mocy, które cię o tym informują? Bo jeśli tak, to użyj swoich mocy, by zmieniły mnie w osobę którą byłem.

Pan Anderson: Beast ...

SilentMaid: Czy mogę coś powiedzieć?

BeastNYC: Proszę, Silent. Może w końcu zostawi mnie w spokoju.

SilentMaid: Ja tylko chciałabym pomówić o dzisiejszym temacie zamiast słuchać narzekań Beast. Rozważam przejście transformacji i najbardziej czym jestem zaniepokojona, to reakcja mojej rodziny.

Pan Anderson: Interesujące. Dlaczego tak jest, Silent?

SilentMaid: To powinno być oczywiste. W przeciwieństwie do innych chcę to zrobić dobrowolnie i w najlepszym wypadku zostanę nie tylko odrzucona przez moją rodzinę, ale i mój gatunek.

Pan Anderson: Opowiedz coś więcej, Silent.

SilentMaid: Cóż, kocham tego faceta, tego któremu uratowałam życie, a mogłabym stać się człowiekiem i spotkać się z nim, jeżeli w zamian poświęciłabym mój głos. A gdy on się we mnie zakocha = będziemy żyć długo i szczęśliwie. Lecz jeśli tego nie zrobi ... cóż zawsze jest jakieś ryzyko.

BeastNYC: Skąd wiesz, że to jest prawdziwa miłość?

Grizzlyguy: Zawsze jest jakieś ryzyko, jeśli osoby z którymi się zadajemy to perswazyjne wiedźmy.

SilentMaid: Miłość jest z mojej strony, Beast.

Grizzlyguy: <- myśli, że Silent nie powinna ryzykować.

BeastNYC: <- nie wierzy w miłość.

Froggie: Moe cos powidziec? I mozie na mne chile poczkac? Bo pisaie wolno mi idze.

SilentMaid: Jasne, Froggie. poczekamy.

Froggie: Byce zaba było dla mne trudn, ponewaz mja rodzin nigy mnie niewidzila pod ta potacia. Ni mglem z nimi porozmwiac. Mysleli, z zniknlem, lecz to

niepawda. Moja siosra zobacyla mnie w pierwszm dni mojej przmiany. Brzydzialsi moim widokem i wyzucila mni na zewntrz d blota. Wyrzucla mni!! Niemoznoc powiedzena im, csie stalo, strasnie boli.

SilentMaid: To jest straszne, Frog. Tak mi przykro. {{{{{{ Froggie }}}}}

BeastNYC: Dużo nie tracisz, nie mogąc z nimi rozmawiać, Froggie.

Grizzlyguy: Nie wiesz jak to jest, Beast. Ty możesz mówić.

SilentMaid: Bądź bardziej miły, Beast. Bądź choć trochę człowiekiem.

BeastNYC: Ja NIE MOGĘ BYĆ CZŁOWIEKIEM!

Pan Anderson: Nie wrzeszczymy, Beast.

Froggie: Ta tylko mowis, al nie wisz jak to jet, ni moc uż nigdy wiecj prozmawic ze swoj rodzna.

BeastNYC: Nie, Frog. Mówię tak, ponieważ wiem, jak to jest rozmawiać ze swoją rodziną ze

świadomością, że nie chcą mieć już z tobą nic wspólnego, że się ciebie wstydzą.

SilentMaid: Wow, Beast, brzmi okropnie.

Grizzlyguy: Tak, przykro mi. Opowiedz nam o tym.

BeastNYC: Nie chcę o tym mówić!

SilentMaid: Porozmawiaj z nami, Beast.

Pan Anderson: Sam zacząłeś ten temat, więc myślę, że tak naprawdę chcesz o tym porozmawiać.

BeastNYC: NIE, NIE CHCE!

Pan Anderson: Krzyczysz, Beast. Jeżeli zrobisz to jeszcze raz, będę cię musiał wyprosić.

BeastNYC: Przepraszam. Zaciął mi się Caps Lock. Ciężko jest pisać pazurami.

BeastNYC: Hej, Grizz, tak na marginesie jakim cudem niedźwiedź ma dostęp do Internetu? Albo żaba?

Pan Anderson: Proszę nie zmieniaj tematu, Beast.

Froggie: By uzc komputea zakradem si do zamku.

Grizzlyguy: Zabrałem ze sobą mojego laptopa. Wi - Fi jest teraz wszędzie, nawet w lesie.

Pan Anderson: Chciałbym się dowiedzieć więcej o twojej rodzinie, Beast.

BeastNYC: Tylko mój ojciec. Mam tylko ojca. Miałem ojca.

Pan Anderson: Przepraszam. Mów dalej.

BeastNYC: Nie chcę mówić o moim ojcu. Zmieńmy temat.

SilentMaid: Założę się, że to boli zbyt mocno, żeby można było o tym rozmawiać. {{{{{{ Beast }}}}}

BeastNYC: Tego nie powiedziałem.

SilentMaid: Nie, nie powiedziałaś. Nie musiałeś.

BeastNYC: Świetnie. OK.. To boli zbyt mocno, więc nie chcę o tym rozmawiać. Boohoo. Wszyscy teraz zadowoleni? Czy możemy w końcu porozmawiać o czym innym?

SilentMaid: Przeeeepraszam!

Rozdział 2

~Bestia~

~~ I ~~

Byłem bestią.

Wpatrywałem się w lustro. Byłem zwierzęciem – nie jakimś wilkiem, niedźwiedziem, gorylem czy psem, ale całkiem nowym, okropnym tworem, o pionowej postawie jak u człowieka, choć nie do końca.

Z moich ust wystawały kły, palce były zakończone ostrymi pazurami, a całe moje ciało pokrywało futro. Ja, który patrzyłem z góry na ludzi z cuchnącym oddechem lub zezem, byłem potworem.

- Pozwalam światu, by ujrzał ciebie takim jakim jesteś naprawdę - powiedziała Kendra. – Bestią.

I wtedy rzuciłem się na nią, moje pazury wbiły się w skórę na jej szyi. Byłem zwierzęciem i mój zwierzęcy głos nie formował słów, lecz jedynie dźwięki, których nigdy wcześniej nie słyszałem. Zwierzęce pazury darły jej ubranie, później jej ciało.

Czułem krew i wiedziałem nawet bez wypowiedania słów, że mogłoby ją zabić to zwierzę, którym byłem.

Ale jakaś ludzka część mnie zdołała powiedzieć:

- Co zrobiłaś?! Zmień mnie z powrotem! Zmień mnie, albo cię zabiję!

Mój głos był nie do rozpoznania, jakbym wył.

- Zabiję cię.

Wtedy, nagle, poczułem, że mnie podnosi. Zobaczyłem jak jej skóra się zrasta, ubrania znowu są całe, jakby zdarzenia z ostatnich kilku minut nigdy się nie wydarzyły.

- Nie możesz mnie zabić - powiedziała. - Po prostu przyjmę nową formę, być może ptaka albo ryby lub jaszczurki. A przemienienie cię z powrotem nie zależy ode mnie. To zależy od ciebie.

Mam halucynacje. Mam halucynacje. Halucynacje! Takiego typu rzeczy nie zdarzają się prawdziwym ludziom. To musiał być sen, koszmar spowodowany zbyt częstym oglądaniem Into the Woods¹⁶ i bajek

Disneya. Byłem zmęczony, a cały Absolut, który wypilem ze Sloane tylko pogorszył sytuację. Kiedy się obudzę, będę znowu piękny. Muszę się tylko obudzić!

- Nie jesteś prawdziwa - powiedziałem.

Ale halucynacja zignorowała mnie.

- Wiodłeś swoje życie będąc okrutnym. Jednak kilka godzin przed transformacją zrobiłeś mały, ale dobry uczynek. I z powodu tej jednej rzeczy, dam ci drugą szansę, z powodu róży.

Wiedziałem o czym mówiła. Róża. Różany kotylion, który dałem na balu dziewczynie od biletów. Zrobiłem to tylko dlatego, że nie wiedziałem, co mam z nim zrobić. Czy to się liczy? To była jedyna miła rzecz jaką kiedykolwiek dla kogoś zrobiłem? Jeśli tak, to było to dosyć żałosne.

Odpowiedziała na nieme pytanie:

- Nie, nie było tego zbyt dużo. Dlatego nie dam ci zbyt dużej drugiej szansy, ale małą. W swojej kieszeni znajdziesz płatki.

Sięgnąłem do mojej kieszeni. Były tam dwa płatki, które wsadziłem, gdy odpadły z kotylionu. Nie mogła o tym wiedzieć, co by dowodziło, że wszystko dzieje się jedynie w moim umyśle, ale powiedziałem:

- Więc?

- Dwa płatki- dwa lata, by znaleźć kogoś, kto spojrzy poza potwora którym jesteś i ujrzy w tobie kogoś dobrego, kogoś, kogo można pokochać. Jeśli odwzajemnisz jej uczucie, a ona przypiecztuje je pocałunkiem, klątwa zostanie przełamana, a ty znowu będziesz przystojnym sobą. Jeśli ci się nie uda, na zawsze pozostaniesz bestią.

- Nie mam zbyt dużych szans. - Halucynacja, sen. Być może podała mi jakiś narkotyk?

Ale jak we wszystkich snach grałem dalej. Co innego mogłem robić, póki się nie obudzę?

- Niemożliwe, żeby ktoś się teraz we mnie zakochał.

- Nie wierzysz, że ktoś mógłby cię pokochać, skoro nie jesteś piękny?

- Nie wierzę, że ktoś mógłby pokochać potwora.

Wiedźma uśmiechnęła się.

- Wolałbyś być raczej trzygłowym, uskrzydłonym wężem? Stworzeniem z dziobem orła, nogami konia i garbami jak u wielbłąda? Lwem, a może bawołem? Hej, przynajmniej możesz pionowo chodzić.

- Chcę być taki, jaki byłem.

- Wtedy musiałbyś się modlić, żeby znaleźć kogoś lepszego od siebie i zdobyć jej miłość swoją dobrocią.

Zaśmiałem się.

- Tak, dobroć. Dziewczyny naprawdę myślą, że dobroć jest gorąca.

Kendra zignorowała mnie.

- Ona musi cię kochać mimo twojego wyglądu. Nie tak jak ty, nieprawdaż? I zapamiętaj, ty w zamian również musisz ją pokochać – to będzie dla ciebie najtrudniejsze - i przypiecztować to wszystko pocałunkiem.

Pocałunek, jasne.

- Tak, to była naprawdę świetna zabawa, a teraz zmień mnie z powrotem jakkolwiek to zrobiłaś. To nie jest bajka dla dzieci – to jest Nowy Jork.

Potrząsnęła głową.

- Masz dwa lata.

I później już jej nie było.

To miało miejsce dwa dni temu. Teraz wiedziałem, że było prawdziwe, nie jakiś sen czy halucynacja. Rzeczywistość.

- Kyle, otwórz drzwi!

Mój ojciec. Unikałem go przez cały weekend, Magdy także, obozując w moim pokoju, żywiąc się tym, co zgromadziłem.

Teraz rozejrzałem się wokół. Prawie każdy przedmiot, który mógłby zostać rozbity - był. Rozpocząłem od lustra, z oczywistych powodów. Później przeszedłem do budzików, mojego trofeum z hokeja i każdego ubrania w szafie – i tak nic na mnie nie pasowało. Podniosłem kawałek szkła i wpatrywałem się w nie. Okropność. Przyłożyłem odłamek do ręki, rozważając jeden szybki ruch, wzdłuż głównej żyły, który by to wszystko zakończył. Nigdy nie musiałbym stanąć przed przyjaciółmi, ojcem.

Nigdy nie musiałbym żyć jako potwór, którym się stałem.

- Kyle!

Jego głos mnie zaskoczył i upuściłem szkło na podłogę. Szok był tym, czego potrzebowałem, by do siebie dojść. Ojciec mógłby to naprawić. Był bogatym człowiekiem. Znał chirurgów plastycznych, dermatologów – najlepszych w Nowym Jorku.

On by to naprawił.

A jeśli by nie zdołał, nadal było dużo czasu dla innych, którzy mogliby to zrobić.

Ruszyłem do drzwi.

Raz, kiedy byłem małym dzieckiem, szedłem z moją nianią po Times Square. Gdy podniosłem głowę zobaczyłem ojca na JumboTron¹⁷ w górze ponad wszystkimi. Niania ponaglała mnie bym szedł dalej, ale nie mogłem przestać się w niego wpatrywać i zauważyłem innych ludzi, którzy również spoglądali w górę, na ekran, na mojego ojca.

Następnego ranka ojciec rozmawiał w szlafroku z moją matką o jakiejś dużej sprawie, która sprawiła, że poprzedniego wieczoru wszyscy ludzie oglądali go w wiadomościach. Byłem przerażony. Przerażony samym patrzeniem na niego. Nadal miałem przed oczami jego obraz, większy niż wszystko inne, wysoko nade mną, za linią horyzontu niczym bóstwo. Bałem się go. Tego samego dnia w szkole powiedziałem, że mój ojciec jest najważniejszym człowiekiem w świecie.

To było dawno temu. Teraz wiedziałem, że Tata nie był doskonały, nie był Bogiem. Poszedłem po nim do łazienki i także śmierdziało.

Ale tym razem, gdy zbliżałem się do drzwi, strach powrócił. Zatrzymałem się, sięgnąłem do klamki, a moja owłosiona ręka odcinała się na tle drewna.

- Jestem tutaj - powiedziałem bardzo miękko. – Zamierzam otworzyć drzwi.

- Więc je otwórz.

Pociągnąłem za klamkę. Miałem wrażenie jakby wszystkie odgłosy na Manhattanie zamarły, poczułem się jak w lesie i mogłem dokładnie usłyszeć drzwi przesuwające się po dywanie, mój oddech, bicie serca.

Nie mogłem przestać wyobrażać sobie, co robi mój ojciec, jak zareaguje na to, że jego syn stał się potworem.

A on spojrzał ... rozdrażniony.

- Co ... dlaczego jesteś tak ubrany? Dlaczego nie jesteś w szkole?

Oczywiście. Pomyślał, że to kostium. Każdy by tak zrobił. Starąłem się by mój głos znów zabrzmiał miękko.

- To jest moja twarz. Nie noszę maski, tato. To jest moja twarz.

Gapił się na mnie, poczym się roześmiał.

- Ha - ha, Kyle. Nie mam na to czasu.

Myślisz, że marnowałem twój cenny czas? Próbowałem zachować zimną krew. Wiedziałem, że gdybym się zdenerwował, zacząłbym ryczeć i warczeć, jak schwytane w pułapkę zwierzę.

Ojciec chwycił za kawałek futra na mojej twarzy i mocno pociągnął. Zaskamlałem. Zanim zdążyłem pomyśleć moja ręka znalazła się blisko jego twarzy. Odzyskałem kontrolę, dopiero gdy mój pazur prawie że dotknął jego policzka. Wpatrywał się we mnie, a w jego oczach widziałem strach i panikę. Puścił moją twarz i cofnął się. Widziałem, że drży. Mój Boże, on drżał.

- Proszę - powiedział i widziałem, że kolana odmawiają mu posłuszeństwa. Na dowód tego potknął się o drzwi. - Gdzie jest Kyle? Co zrobiłeś z moim synem?

Spojrzał w głąb pokoju, za moje plecy, jakby chciał mnie odepchnąć by go przeszukać, lecz się nie odważył.

- Co zrobiłeś? Dlaczego jesteś w moim domu?

Praktycznie płakał, a patrząc na niego mnie również zbierało się na łzy. Lecz gdy się odezwałem mój głos brzmiał mocno:

- Tato, ja jestem Kyle. Twój syn. Nie poznajesz mojego głosu? Zamknij oczy. Wtedy go rozpoznasz.

I gdy to powiedziałem okropna myśl załęgła w mojej głowie. A może nie... Przez ostatnie kilka lat nie rozmawialiśmy zbyt dużo. Być może nie rozpozna mojego głosu. Później wyrzuci mnie w takim stanie na ulicę i powie policji, że jego syn został porwany. Wtedy będę zmuszony uciec, żyć w ukryciu, pod ziemią. Stanę się legendą – miejskim potworem żyjącym w kanalizacjach Nowego Jorku.

- Tato, proszę. - Wyciągnąłem ręce, sprawdzając czy nadal posiadam odciski palców, czy dalej są takie same. Popatrzyłem na niego. Miał zamknięte oczy.

- Tato, proszę powiedz, że mnie poznajesz. Proszę.

Otworzył je.

- Kyle, to naprawdę ty? - Kiedy kiwnąłem głową, dodał:

- Naprawdę nie stroisz sobie ze mnie żartów? Bo jeśli tak, to to wcale nie jest zabawne.

- Nie żartuje, tato.

- Ale co? Jak? Jesteś chory? – Przejechał ręką wzdłuż swojej twarzy.

- To była wiedźma, tatusiu.

Tatusiu? Wróciłem do słowa, którego używałem kiedyś przez dwie minuty, między tym jak nauczyłem się mówić, a tym, gdy dowiedziałem się, że Rob Kingsbury nie jest niczym „tatusiem”.

Ale powiedziałem:

- Wiedźmy istnieją, tatusiu. Tutaj. W Nowym Jorku. – Ucichłem. Gapił na mnie jak sparaliżowany, jakbym to ja go sparaliżował. Wtedy, powoli, wrócił na ziemię.

Kiedy doszedł do siebie, powiedział:

- To ... ta rzecz ... ta choroba ... stan ... cokolwiek ci się przytrafiło, Kyle ... naprawimy to. Znajdziemy doktora i naprawimy to. Nie martw się. Mój syn nie będzie tak wyglądał.

Wtedy poczułem ulgę pomieszaną ze zdenerwowaniem. Ulgę, ponieważ byłem pewny, że jeśli ktokolwiek mógłby mi pomóc to jest to mój ojciec. Miał znajomości. Miał władzę.

Zdenerwowanie z powodu tego co powiedział: "Mój syn nie będzie tak wyglądał."

Bo co się ze mną stanie, jeśli nie będzie się dało tego naprawić? Ani przez sekundę nie wierzyłem w drugą szansę, o której mówiła Kendra. Jeżeli mój ojciec tego nie naprawi, jestem skończony.

~*~*~

Tata wyszedł, obiecując wrócić na lunch, gdy zrobi jakieś rozeznanie. Jednak zegar wskazał pierwszą godzinę. Później drugą. Magda wyszła zrobić zakupy. Nauczyłem się, że jedzenie płatków śniadaniowych graniczy niemal z cudem, gdy posiadasz pazury. Właściwie, to ciężko jest jeść cokolwiek. Nakarmiłem moją zwierzęcą twarz całą paczką szynki Boar's Head. Czy niedługo zacznę jeść surowe mięso?

Za dwadzieścia trzecia wiedziałem, że ojciec nie wróci do domu. Próbował robić wszystko, by mi pomóc? Kto mu wierzy? Co niby powie: "Hej, mój syn został zmieniony w pewnego rodzaju potwora z bajki"?

O trzeciej wcieliłem w życie plan awaryjny. Niestety, obejmował on Sloane. Wybrałem jej numer.

- Dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś? - Czy muszę dodawać, że jęczała?

- Dzwonię do ciebie teraz.

- Ale miałeś do mnie zadzwonić przed teraz. W czasie weekendu.

Stłumiłem rosnącą we mnie irytację. Musiałem być dla niej miły. Była moją jedyną szansą. Zawsze powtarzała, że mnie kocha. Więc jeśli mnie pocałuje, wszystko się skończy, zanim tata zdąży skonsultować się z pierwszym chirurgiem plastycznym. Uświadomiłem sobie, iż szaleństwem było wierzenie w to, że pocałunek mnie odmieni, ponieważ równało się to z wierzeniem w magię. Ale jak mógłbym w nią nie wierzyć w obecnej sytuacji?

- Skarbie, przepraszam. Ostatnio nie czułem się zbyt dobrze. Właściwie, myślę, że musiałem załapać już coś przed piątkiem, dlatego byłem w takim złym nastroju. - Zakaszałem kilka razy.

- Z pewnością byłeś.

Wkurzyła mnie, ale powiedziałem:

- Wiem. Byłem idiotą i wszystko zrujnowałem, prawda?

Wzięłem głęboki oddech i wypowiedziałem słowa, które chciała usłyszeć:

- Na dodatek tak pięknie w piątek wyglądałaś. Boże, byłaś najpiękniejszą dziewczyną jaką kiedykolwiek widziałem.

Zachichotała.

- Dzięki, Kyle.

- Każdy skręcał się z zazdrości, gdy mnie z tobą zobaczył. Byłem szczęściarzem.

- Tak, ja też. Posłuchaj, jestem w SoHo, na zakupach z Amber i Heywood. Ale później może mogłabym wpaść. Twojego taty nie ma w domu, nie?

Uśmiechnąłem się.

- Tak. Przyłóż swoje ucho naprawdę blisko telefonu. Chcę ci coś powiedzieć, ale nie chcę żeby usłyszały to Amber i Heywood.

Zachichotało. Znowu.

- W porządku. Co to takiego?

- Kocham cię, Sloane - szepnąłem. – Kocham cię tak bardzo...

- Też cię kocham – powiedziała chichocząc. – Wcześniej nigdy tego pierwszy nie powiedziałeś.

- Nie pozwoliłaś mi skończyć. Kocham cię tak bardzo, że nawet gdybyś nie była tak gorąca to nadal bym cię kochał.

- Huh?

- Mówię prawdę. Kochałbym cię nawet, jeśli byłabyś brzydka.

Usłyszałem Magdę rozbijającą się za moimi drzwiami. Zniżyłem głos by mnie nie usłyszała.

- Nie kochałabyś mnie gdybym był brzydki?

Kolejny chichot.

- Ty nigdy nie mógłbyś być brzydki, Kyle.

- Ale, jeśli bym był. Jeśli miałbym na przykład jakiegoś ogromnego pryszczaka na nosie, dalej byś mnie kochała?

- Na twoim nosie? Masz pryszczaka na swoim nosie?

- To tylko pytanie retoryczne. Nadal byś mnie kochała?

- Pewnie. To jest dziwne, Kyle. Ty, zachowujesz się dziwnie. Muszę już kończyć

- Ale przyjdiesz, gdy skończysz zakupy?

- Oczywiście. Tak. Ale teraz muszę już kończyć.

- W porządku. Do zobaczenia później. - Ponieważ się nie rozłączyła usłyszałem jeszcze jak chichocząc mówi do swoich przyjaciółek wysokim głosem: "Powiedział, że mnie kocha." Wszystko będzie dobrze.

Była szósta. Powiedziałem Magdzie przez drzwi, że jeśli przyjdzie Sloane, ma ją skierować od razu do mojego pokoju.

Siedziałem na łóżku otoczony cieniami, przez światło wydobywające się jedynie z na wpół przymkniętej garderoby. Czekałem. W ciemności. Licząc na szczęście.

Może Sloane nawet się nie zorientuje, jak teraz wyglądam. Włożyłem parę starych dżinsów taty, większych od moich, by mnie lepiej zamaskowały i koszulę z długim rękawem. Wszystko czego potrzebowałem, to jeden pocałunek. Miłość i pocałunek, powiedziała wiedźma. Wtedy, wszystko dobrze się skończy. Znowu będę starym, pięknym sobą, a ten kosmiczny żart wreszcie dobiegnie końca.

Po długim oczekiwaniu, usłyszałem pukanie do drzwi.

- Wejdz, - powiedziałem.

Otworzyła drzwi. Ciężko się napracowałem, sprząając roztrzaskane szkło i papier. Znalazłem dwa płatki róży i schowałem je pod lampą na moim sekretarzyku, by się nie zgubiły.

- Czemu jest tu tak ciemno? - spytała. - Co, nie chcesz, bym zobaczyła twojego pryszczaka?

- Chciałem, by było romantyczne. - Poklepałem miejsce na łóżku. Starłem się panować nad głosem.

- Chciałem ci wynagrodzić piątek. Kocham cię tak bardzo, Sloane. Nie chcę zrobić czegoś przez co mógłbym cię stracić.

- Przeprosiny przyjęte - zachichotała.

- Świetnie. - Znow, poklepałem łóżko dając do zrozumienia by usiadła. – Mój tata jest w studiu, więc nie będzie go przez jakiś czas.

W końcu usiadła. Naciągnąłem rękawy by zakryć ręce i przybliżyłem ją do siebie, zamykając w uścisku.

- Och, Kyle. Kocham czuć twoje ramiona dookoła mnie. - Jej własne ręce sunęły po zewnętrznej stronie mojej koszulki i ...

Nie. Znow zmierzała w kierunku mojego krocza. Futro mogłoby mnie zdemaskować. Wszystko czego potrzebowałem to jeden szybki pocałunek zanim cokolwiek zauważy.

- Pocałujmy się przez chwilę.

- Mmm, w porządku przez małą chwilę.

I pocałowałem ją prosto w usta. Oczekiwałem, że coś poczuję, tak jak w tą noc, gdy zostałem przemieniony.

Ale nie czułem nic.

- Auć, Kyle. Kłujesz. Musisz się ogolić.

Odsunąłem się, tak by być pomiędzy nią, a oknem.

- Tak, wiem. Ale przecież mówiłem ci, że byłem chory.

- Cóż, wzięłeś prysznic? Bo jeśli nie, to nie masz na co liczyć ze mną roli głównej.

- Oczywiście, że wzięłem prysznic.

- Pozwól mi zapalić światło. Chcę się sama przekonać. - Sięgnęła w stronę lampy.

Rozbłysło światło.

A później usłyszałem wrzask.

- Kim jesteś? Czym jesteś? – Zaczęło okładać mnie pięściami. Skuliłem się, przestraszony, że zabije ją moimi pazurami. – Trzymaj się ode mnie z daleka!

- Sloane! To ja, Kyle.

Uderzała dalej. Brane lekcje karate nie poszły na marne. To naprawdę bolało.

- Sloane, proszę! Wiem, że to szaleństwo, ale musisz mi uwierzyć! Ta gotycka laska to tak naprawdę, prawdziwa wiedźma.

Sloane przestał mnie okładać i zaczęła się gapić.

- Wiedźma? Myślisz, że jestem głupia? Oczekujesz, że uwierzę w coś takiego jak wiedźma?

- Spójrz na mnie! Jak inaczej możesz to wyjaśnić?

Sloane sięgnęła w kierunku mojej twarzy, jakby chciała dotknąć futra, które ją porastało, lecz nagle szarpnęła rękę z powrotem.

- Musze się stąd wydostać. – Ruszyła w kierunku drzwi.

- Sloane – zerwałem się za nią, blokując drogę.

- Odejdź! Nie wiem co jest z tobą nie tak, ale odwal się ode mnie, dziwołagu!

- Proszę, Sloane. Możesz to naprawić. Ona powiedziała, że będę taki dopóki ktoś mnie nie pokocha i udowodni to pocałunkiem. Musimy spróbować jeszcze raz.

- Chcesz bym cię teraz pocałowała?

Nie szło zbyt dobrze. Ale może to lepiej, że się dowiedziała. Może musiała wiedzieć, że całuje bestię.

- Pocałuj mnie i znów będę normalny, tak jak dawniej. – Czuję, że dygoczę, w ten sam sposób, gdy zbiera ci się na płacz.

Ale to było żałosne.

- Powiedziałaś, że mnie kochasz.

- Tak było, kiedy jeszcze byłeś gorący! – Próbowала mnie wyminąć, ale jej na to nie pozwoliłem.

- Co, tak naprawdę, ci się stało?

- Mówiłem już. To była ...

- Nie powtarzaj tego! Myślisz, że uwierzę w te twoje zaklęcia!

- W środku jestem ciągle sobą i jeśli mnie pocałujesz wszystko wróci do normy. Dalej będziemy rządzić szkołą. Proszę. Tylko jeden pocałunek, nic więcej.

Wyglądała jakbym ją jednak przekonał. Pochyliła się w moją stronę, a gdy chciałem ją pocałować, zanurkowała pod moim ramieniem i już jej nie było.

- Sloane! Wróć! – Zacząłem ją gonić po całym apartamencie, nie przejmując się Magdą ani niczym innym.

- Proszę! Kocham cię, Sloane.

- Nie podchodź do mnie! - Otworzyła drzwi. - Daj mi znać, gdy znów będziesz sobą, czymkolwiek teraz jesteś – i wybiegła na korytarz.

Zatrzymałem się przy drzwiach.

- Sloane?

- Co? – Wściekłe wciskała przycisk windy, próbując ja ponaglić.

- Nie mów o tym nikomu, okej?

- Och, uwierz mnie, Kyle, nie pisnę ani słowa. Jeszcze by pomyśleli, że mi odbiło. – Znowu na mnie spojrzała i przebiegł ją dreszcz.

Winda przyjechała i już jej nie było. Wróciłem do mojego pokoju, położyłem się na łóżku. Ciągle mogłem wyczuć jej zapach, który nie pachniał zbyt dobrze. Nie kochałem Sloane, więc nie było dla mnie zaskoczeniem, że ona również nie podzielała tego uczucia. Pewnie dlatego pocałunek nie zadziałał. Wiedźma zaznaczyła, że – muszę być zakochany.

Ale ja nigdy nikogo nie kochałem, nawet gdy byłem normalny. Nigdy nie miałem kogoś, kto byłby ze mną bez względu na to kim jestem, co posiadam, jak wyglądam. I nie obchodziło mnie to. Chciałem tego samego co chciały moje dziewczyny, przyjemnie spędzić czas. Na wszystko inne odpowiednia pora przyjdzie później.

Lecz gdzie podziła się szansa na to by teraz ktoś mnie pokochał? Na dodatek obawiałem się, że w tym wszystkim najtrudniejszą kwestią okaże się dla mnie odwzajemnienie tej miłości.

~*~*~*~

Dobrze wiedzieć: Doktorzy nie mogą wyleczyć cię z bycia bestią.

Przez następne tygodnie, mój ojciec i ja podróżowaliśmy po całym Nowym Jorku i rozmawialiśmy z tuzinami doktorów, który powiedzieli nam, w różnych językach i akcentach, że zostałem spisany na straty, delikatnie mówiąc. Wyjechaliśmy więc za granice Nowego Jorku odwiedzić wiedźmy, a nawet szamanów voodoo. Wszyscy mówili to samo: Nie wiedzą, jak stałem się tym czym jestem, ani jak mnie z tego wyleczyć.

- Przepraszam, Panie Kingsbury, - powiedział ostatni doktor do mojego ojca.

Siedzieliśmy w biurze, pośrodku niczego, które znajdowało się gdzieś w Iowa albo Idaho, a może Illinois. Jazda zajęła trzynaście długich, cichych godzin i kiedy wysiedliśmy na miejscu, byłem ubrany jak Człowiek Wschodu w wersji kobiecej, z ciuchami przykrywającymi moje ciało i twarz. Doktor pracował w szpitalu w pobliskim mieście, ale ojciec zaaranżował prywatne spotkanie w jego letniskowym domku na wsi. Nie chciał, by ktokolwiek mnie zobaczył.

Spojrzałem na krajobraz za oknem. Trawa była w odcieniu zieleni, której nigdy wcześniej nie widziałem, a różane krzewy mieniły się kolorami tęczy. Wpatrywałem się w nie. Były piękne, tak jak mówiła Magda.

-Tak, ja również.

- Z przyjemnością oglądamy emitowane z panem wiadomości, Panie Kingsbury - powiedział Dr. Endecott. – Szczególnie spodobał się pan mojej żonie. Chyba wpadł jej pan w oko.

Bóże! Ten facet ma zamiar poprosić go o autograf, czy może chce, by przyłączył się do trójkącika?

- Mógłbym pójść do szkoły dla niewidomych? - Przerwałem. Doktor zatrzymał się w środku swoich oświadczeń albo propozycji.

- Słucham, Kyle?

Był jedynym, który zwracał się do mnie po imieniu. Bo na przykład ten facet voodoo z East Village nazywał mnie diabelskim pomiotem (co, moim zdaniem, było obraźliwe tak samo dla taty jak i dla mnie).

Chciałem dalej ciągnąć temat, lecz ojciec wrócił już do przerwanej rozmowy z doktorkiem, gdzie na koniec dowiedziałem się - niespodzianka – że nie jest w stanie mi pomóc. Oczywiście, nie mogłem mieć mu za złe, że nie chce się ze mną zadawać. Ja też bym nie chciał, gdybym miał wybór, dlatego pomyślałem, że pomysł, który zasugerowałem był genialny.

- Szkoła dla niewidomych - powiedziałem. - Być może mógłbym do jednej pójść?

To byłoby wspaniałe. Ślepa dziewczyna nie byłaby w stanie zobaczyć jak jestem brzydki, więc mógłbym zastosować urok Kingsbury'ego i sprawić, żeby się we mnie zakochała. Później, gdy ponownie wrócę do pierwotnej postaci, mogę po prostu wrócić do mojej starej szkoły.

- Ale nie jesteś ślepy, Kyle – powiedział doktorek.

- Nie moglibyśmy im powiedzieć, że jestem? Że straciłem wzrok w wypadku podczas cholernego polowania albo coś?

On tylko potrząsnął głową.

- To nie jest tak, że nie rozumiem co czujesz, Kyle.

- Taa, jasne.

- Nie, naprawdę. Trochę rozumiem. Kiedy byłem nastolatkiem, miałem bardzo złą cerę. Wypróbowałem wszystkich preparatów, maści, a moja cera poprawiła się tylko trochę, po czym stała się jeszcze gorsza. Czułem się brzydki i zażenowany, byłem pewny, że nikt nigdy nie zwróci na mnie uwagi. Ale w końcu dorosłem i wziąłem ślub.

Wskazał na fotografię pięknej blondynki - jego żony.

- W końcu to znaczy, gdy skończyłeś szkołę medyczną i zarobiłeś masę pieniędzy, więc kobiety mogły przymknąć oko na twój wygląd.

Ojciec warknął.

- Tato... - powiedziałem. Ale ciągle uważałem tak samo.

- Porównujesz to z trądzikiem? – Powiedział ojciec, wskazując na mnie. - On jest bestią. Jednego dnia obudził się i był zwierzęciem. Na pewno naukowa medycyna...

- Panie Kingsbury, musi pan przestać opowiadać takie rzeczy. Kyle nie jest zwierzęciem.

- A więc jak pan to nazwie? Jakiej terminologii użyje?

Doktorek potrząsnął głową.

- Nie wiem. Ale wiem, że tylko jego fizyczną powłoka jest zainfekowana, to, czym jest na zewnątrz.

Uczynił gest, którego nikt nigdy wcześniej nie zrobił, położył swoją dłoń na mojej.

- Kyle, wiem, że to jest dla ciebie trudne, ale jestem pewny, że twoi przyjaciele nauczą się zaakceptować ciebie takim, jakim jesteś i będą mili.

- Na jakiej ty żyjesz planecie?! - Krzyknąłem. - Bo zdecydowanie nie jest to Ziemia. Nie znam nikogo miłego, doktorze Endecott. I co więcej, nie chcę nikogo takiego poznać. To są przegrani ludzie. Nie mam jakiegoś maluteńkiego problemu. Nie jeżdżę na wózku inwalidzkim. Jestem kompletnym i całkowitym - dziwadłem.

Obróciłem się, by nie mogli zobaczyć, jaki wpływ wywarły na mnie te słowa.

- Doktorze Endecott - powiedział mój ojciec - odwiedziliśmy ponad tuzin klinik i doktorów. W jakimś punkcie ... - przerwał. - Został nam pan polecony z powodu wysokich kwalifikacji. Jeżeli to kwestia pieniędzy, to zapłacę każdą cenę, by pomóc mojemu synowi. Nie pójdzie to z kasy chorych.

- Rozumiem to, Panie Kingsbury, - powiedział doktor. - Życzyłbym sobie...

- Niech pan się nie przejmuj ryzykiem. Podpiszę wszystkie dokumenty. Myślę, Kyle i ja, obaj się zgadzamy, że podejmiemy każde ryzyko ... żeby Kyle, znów mógł być taki, jaki był. Prawda, Kyle?

Przytaknąłem, chociaż uświadomiłem sobie, że mój ojciec właśnie powiedział, iż wolałby wiedzieć mnie martwego, niż w obecnej formie.

- Tak.

- Przepraszam, panie Kingsbury, ale to naprawdę nie jest kwestia pieniędzy czy ryzyka. Po prostu nic nie można na to zaradzić. Myślałem o przeszczepie skóry, nawet transplantacji twarzy, ale wykonałem badania i ...

- I co? - powiedział ojciec.

- To naprawdę dziwna sprawa, ale struktura skóry pozostała niezmienną, cokolwiek zrobiłem. Tak jakby nie mogła być zmieniona.

- To niedorzeczne. Wszystko można zmienić.

- Nie. Nigdy czegoś takiego nie spotkałem. I nie wiem, czym mogłoby to być spowodowane.

Tata posłał mi kolejne spojrzenie. Wiedziałem, że nie chce bym komukolwiek powiedział o wiedźmie. Sam w to nie wierzył. Nadal się upierał, że mam jakąś niesamowitą chorobę, która mogłaby zostać wyleczona dzięki medycynie.

Doktorek Endecott kontynuował:

- Chciałbym jednak zrobić więcej testów, by przeprowadzić badania.

- Czy pomogą mojemu synowi odzyskać jego dawny wygląd?

- Nie, ale moglibyśmy nauczyć się czegoś więcej o tego typu zjawiskach.

- Mój syn nie będzie królikiem doświadczalnym - warknął ojciec.

Doktorek kiwnął głową.

- Przepraszam, panie Kingsbury. Jediną rzeczą, którą mogę zasugerować jest skierowanie Kyle do jakiejś poradni, która specjalizuje się w ciężkich przypadkach, by nauczył się z tym żyć.

Tata zaśmiał się cicho.

- Tak, na pewno to zrobię. Już zacząłem się rozglądać.

- Świetnie - doktor Endecott zwrócił się do mnie. - I Kyle, bardzo mi przykro, że nie potrafię ci pomóc. Ale musisz zrozumieć, że to nie jest koniec, dopóki nie pozwolisz by tak się stało. Wielu ludzi z kalectwami osiąga wielkie rzeczy. Charles Ray, człowiek ślepy, miał olbrzymie muzyczne osiągnięcia, a Stephen Hawking, fizyk, jest geniuszem mimo schorzenia neuronów ruchowych.

- Ale w tym problem, doktorku.. Nie jestem żadnym geniuszem. Jestem zwykłym facetem.

- Przepraszam, Kyle. - Doktor Endecott wstał i poklepał mnie po ramieniu, co miało znaczyć Już dobrze i Proszę idźcie już. Zrozumiałem i podniosłem się.

W drodze powrotnej do domu, tata i ja ledwie się do siebie odzywaliśmy. Kiedy dojechaliśmy na miejsce, wyszedł za mną z limuzyny i skierował się z powrotem do drzwi służbowych naszego budynku. Zdjąłem kaptur z głowy. Był lipiec i na dodatek gorący. Mimo, że próbowałem utrzymać moje włosy w jako takim porządku przycinając je, to one natychmiast z powrotem odrastały. Tata skinął na mnie bym wszedł.

- A ty nie wchodzisz? – spytałem.

- Nie, jestem spóźniony. I tak opuściłem dużo pracy dla tego gówna. – Musiał zobaczyć moją twarz, ponieważ dodał - Mam na myśli, że jest to marnowanie czasu skoro i tak do niczego nas to nie prowadzi.

- Jasne. – Wszedłem. Tata zaczął zamknąć drzwi, ale pozwoliłem im uderzyć mnie w plecy. – Nadal będziesz próbował mi pomóc?

Obserwowałem jego twarz. Mój ojciec był prezenterem, więc utrzymywanie kamiennej twarzy miał opanowane do perfekcji. Ale nawet on, nie mógł powstrzymać grymasu, który przeszedł przez jego twarz gdy mówił:

- Oczywiście, Kyle. Nigdy nie przestanę próbować.

~~IV~~

Tej nocy nie mogłem przestać myśleć o tym, co powiedział doktor Endecott, o tym, że nie może mi pomóc, ponieważ nie mogę się zmienić. Teraz to miało sens – wyjaśniało, czemu za każdym razem, jak obcinałem włosy, one odrastały.

Tak samo jak teraz moje paznokcie-pazury.

Taty nie było w domu, a Magda na tą noc dostała wolne. Ojciec podniósł jej pensję i zmusił do zachowania wszystkiego w tajemnicy.

Wyjąłem więc parę kuchennych nożyc i brzytwę. Ściąłem włosy z mojej lewej ręki najkrócej jak się dało, później zabrałem się za inne partie, póki moje ciało nie było tak gładkie jak przed transformacją.

Czekałem, gapiąc się na moją rękę. Nic się nie wydarzyło. Może sekret tkwił w tym, że musiało być tak gładkie jak to możliwe, nie podcięte, ale i też nie wyrwane. Nawet jeśli ojciec zapłaciłby komuś by każdego dnia depilował mnie woskiem, byłoby warto, jeżeli przez to wyglądałbym przynajmniej trochę normalniej.

Wróciłem do swojego pokoju, z poczuciem przyływu pewnego rodzaju nadziei, której nie czułem od dnia, gdy zadzwoniłem do Sloane, by sprowadzić ją do mojego domu w celu wymuszenia pocałunku.

Ale kiedy wróciłem do jasno oświetlonej sypialni zobaczyłem, że włosy z powrotem odrosły. Wpatrywałem się w rękę. Jak nic, włosy na mojej lewej ręce wydawały się grubsze niż wcześniej.

Coś – być może płacz – utknęło mi w gardle. Podbiegłem do okna. Chciałem zawyć do jasnego księżycy jak bestie w filmowych horrorach. Ale księżyc schował się między dwoma budynkami. Mimo to, otworzyłem okno i ryknąłem w gorące lipcowe powietrze.

- Zamknij się! - Głos pochodził z apartamentu poniżej. Na ulicy jakaś kobieta spieszyła się, szukając w pośpiechu portfela. Jakaś para obejmowała się z dala od światła ulicznych latarni. Oni nawet mnie nie zauważyli.

Pobiegłem do kuchni i wyciągnąłem największy nóż, jaki udało mi się znaleźć. Zabarykadowałem się w łazience i zaciskając zęby by nie wrzasnąć z bólu odkroiłem płat skóry na rękę. Stałem tak patrząc jak krew sączy się z głębokiego nacięcia i skapuje na białe kafelki. Celowo odwróciłem głowę.

Kiedy znów spojrzałem, rana zaleczyła się. Byłem niezniszczalny, niezmienny. Lecz czy to oznaczało, że byłem ponadczłowiekiem, że byłem nieśmiertelny? Co, jeżeli ktoś by mnie postrzelił? I, w takim razie, która perspektywa była gorsza - umrzeć, czy wieść wieczne życie jako potwór?

Kiedy wróciłem do okna, na ulicy nikogo już nie było. Druga godzina. Chciałem wejść na Internet, porozmawiać z moimi znajomymi jak zwykle to robić. Zgodziłem się z ojcem na bajeczkę o zapaleniu płuc, póki nie skończy się szkoła. Później powiedziałem im, że wyjeżdżam na całe lato do Europy, gdzie będę chodzić do prywatnej szkoły z internatem. Obiecałem, że spotkam się z nimi w sierpniu, zanim wyjadę, ale to było kłamstwo.

Nic nie miało znaczenia.

Oczywiście, nie chciałem wrócić do Tuttle, nie jako dziwoląg. W Tuttle, znęcaliśmy się nad ludźmi, nawet jeśli mieli tanie buty. Gdyby dowiedzieli się, jak wyglądam, przysliby po mnie z widłami. A tak, myśleli, że mam jakąś chorobę i, tak jak ojciec, trzymali się ode mnie z daleka.

Nawet jeśli byłoby inaczej, nie mógłbym się pogodzić z perspektywą szkolnego dziwadła, gdy wcześniej byłem w gronie Pięknych Osób.

Poniżej na ulicy, bezdomny facet z trudem poruszał się z ogromnym plecakiem na ramionach. Jak to byłoby być nim, gdy nikt nic od ciebie nie oczekuje, niczego nie chce? Obserwowałem go nim nie zniknął, jak wcześniej księżyc, między dwoma budynkami.

W końcu, położyłem się do łóżka.

Kiedy moja głowa uderzyła o poduszkę, poczułem coś twardego. Wsunąłem rękę i wyciągnąłem jakiś przedmiot. Podniosłem go w stronę światła, by zobaczyć co to jest.

To było lustro.

Nie spoglądałem w lustro od czasu mojej transformacji, nie, od dnia, gdy rozbiłem jedno w moim pokoju. Teraz trzymałem w ręce kwadratowe lustro w srebrnej ramie, to samo, które miała Kendra pamiętnego dnia w szkole. Myślałem, że rozbiję je na tak wiele kawałków. Na ile tylko to możliwe. Musisz szukać rozkoszy, gdziekolwiek się da.

Ale uchwyciłem w nim obraz mojej twarzy. To była moja twarz - moja stara twarz, o niebieskich oczach, doskonała twarz, którą nadal widziałem w moich snach. Trzymałem lustro blisko siebie, używając obu rąk, jakby to była dziewczyna, którą całuję.

Odbicie rozplynęło się i znów ujrzałem moją zwierzęcą twarz. Czy byłem obłąkany?

Zacząłem odkładać lustro.

- Zaczekaj!

Głos pochodził z wewnątrz. Powoli, obróciłem je zwierciadłem do siebie.

Twarz znów się zmieniła. Teraz widziałem Kendrę, wiedźmę.

- Co tutaj robisz?

- Nie rozbijaj lustra - ostrzegła mnie. - Ma magiczną moc.

- Tak?- Powiedziałem. - I co z tego?

- Jestem całkowicie poważna. Obserwowałam cię przez ponad miesiąc. I widzę, że w końcu zrozumiałeś, iż pieniądze twojego tatusia nic tu nie działają, tak samo jak dermatolodzy czy operacje plastyczne. Twój ojciec zajrzał nawet do kliniki w Costa Rica gdzie ostatnio przeprowadzał swój ściśle tajny reportaż. Wszyscy powiedzieli ci to samo - 'Przykro mi, dzieciaku. Naucz się z tym żyć. Idź do poradni.'

- Jak ty... -

- Widziałam również, jak podpuszczasz Sloane.

- Nie podpuszczałem jej. Po prostu pocałowałem ją, zanim mogła mnie zobaczyć.

- Nie odmieniła cię z powrotem, nieprawdaż?

Potrząsnąłem głową.

- Mówiłam ci. Musisz tą osobę kochać. I ona musi kochać ciebie. Kochasz Sloane?

Nie odpowiedziałem.

- Nie wydaję mi się. Lustro ma magiczne zdolności. Zajrzyj, a zobaczysz w nim kogokolwiek zapragniesz, gdziekolwiek się znajduje. Pomyśl jakieś imię, może któregoś z twoich byłych przyjaciół

Mogłem zobaczyć w lustrze jej szyderczą minę, gdy wypowiedziała słowo: byłych.

- Poproś, a lustro ukaże ci tą osobę, gdziekolwiek będzie.

Nie chciałem. Nie chciałem robić czegokolwiek, co powiedziała. Ale nie mogłem się powstrzymać. Pomyślałem o Sloane, i w jednej chwili obraz w lustrze zmienił się, ukazując apartament Sloane, a ja miałem deja vu z dnia balu. Sloane leżała na kanapie, obściskując się z jakimś facetem.

- W porządku i co teraz?! - Wrzasnąłem, nie zastanawiając się, czy Sloane przypadkiem nie może mnie usłyszeć.

Twarz w lustrze zmieniła się z powrotem w twarz Kendry.

- Czy ona mnie słyszy? - szepnąłem.

- Nie, tylko ja. Z każdym, za wyjątkiem mnie, jest to jednostronny przekaz, tak jak z telewizorem. Czy jest ktoś, kogoś jeszcze chciałbyś zobaczyć?

Chciałem odpowiedzieć „nie”, ale ponownie moja podświadomość mnie zdradziła. Pomyślałem o Treyu.

Lustro ponownie ukazało apartament Sloane. To Trey był facetem, z którym się obściskowała. Po minucie Kendra powiedziała:

- Co teraz zamierzasz? Wrócisz do szkoły?

- Oczywiście, że nie. Nie mogę pójść do szkoły jako dziwoląg. Obiecałem to ojcu.

Popatrzyłem na zegar. Było już po dziesiątej, a ojciec jeszcze nie wrócił. Unikał mnie. Te tygodnie, w których spotykaliśmy się z doktorami, były najdłuższym czasem, jaki spędziliśmy razem od... cóż, kiedykolwiek. Ale wiedziałem, że to nie będzie trwało wiecznie. Wróciłem do mojego dawnego życia, gdzie ojca mogłem ujrzeć jedynie na ekranie telewizora. Wcześniej mnie to nie obchodziło, kiedy miałem swoje życie. Ale teraz nie miałem niczego, ani nikogo.

- Wymyśliłeś jakikolwiek sposób, by przełamać klątwę?
Zaśmiałem się.
- Mogłabyś zmienić mnie z powrotem.
Znów odwróciła wzrok.
- Nie mogę.
- Nie chcesz.
- Nie, nie mogę. Tylko ty możesz złamać klątwę. A jedynym sposobem, by tego dokonać, jest znalezienie prawdziwej miłości.
- Nie mogę tego zrobić. Jestem dziwadłem.
Uśmiechnęła się lekko.
- Tak, w jakimś stopniu jesteś, nieprawdaż?
Potrząsnąłem lustrem.
- Ty mnie takim stworzyłaś.
- Byłeś nienawistnym bydlakiem - skrzywiła się. - I przestań potrząsać lustrem!
- Czy to ci przeszkadza? – Znów nim potrząsnąłem. – Jaka szkoda.
- Być może nie myliłam się, przemieniając cię. Być może myliłam się, oferując ci teraz moją pomoc.
- Pomoc? A jakiej to pomocy możesz mi udzielić? Pomijając to, że nie możesz zmienić mnie z powrotem.
- Mogę udzielić ci rady, a moja pierwsza brzmi: nie rozbijaj lustra. Kiedyś może ci się przydać.
I wtedy zniknęła.
Odłożyłem lustro - delikatnie – na nocną szafkę.

~*~*~*~

Czasami gdy idziesz ulicami Nowego Yorku – prawdopodobnie wszędzie, ale szczególnie w Nowym Jorku, ponieważ jest tak zatłoczony – widzisz ludzi, jak tych na wózkach inwalidzkich, z nogami ledwie wystającymi za siedzenie, albo ludzi ze szramami na twarzy. Może stracili kończyny podczas wojny lub w jakimś strasznym wypadku. Nigdy nie poświęcałem im zbytnej uwagi. A jeśli już o nich myślałem, to tylko w kwestii jak się koło nich prześlizgnąć, żeby przed przypadek nikt mnie nie dotknął. Wywoływali we mnie wstręt. Lecz teraz myślę o nich przez cały czas: jak w jednej chwili jesteś normalny – nawet piękny – a w następnej wydarza się coś, co wszystko zmienia. I bezpowrotnie stajesz się kimś innym.

Odmieńcem. Ja byłem odmieńcem i jeśli zostało mi pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, siedemdziesiąt lat życia, spędzę je jako odmieniec z powodu właśnie tej jednej chwili, w której Kendra rzuciła na mnie klątwę po tym, co zrobiłem.

Zabawna sprawa z tym lustrem. Gdy raz już w nie spojrzełem, popadłem w obsesję. Na początku oglądałem moich przyjaciół (byłych przyjaciół, jak powiedziała Kendra), przyłapując ich w dziwnych momentach, dostających burę od rodziców, dłubiących w nosie, nagich albo po prostu nie myślących o mnie. Obserwowałem również Sloane i Treya. Taak, byli razem, ale Sloane miała jeszcze jednego chłopaka, który nie chodził do Tuttle. Zastanawiałem się czy mnie również zdradzała.

Później zacząłem obserwować również innych ludzi.

W te długie sierpniowe tygodnie apartament stał zupełnie pusty. Magda robiła posiłki i zostawiała je na blacie w kuchni, ale wychodziłem jedynie wtedy, gdy słyszałem jak odkurza w innej części domu lub po jej wyjściu. Pamiętałem, jak kiedyś powiedziała, że się o mnie obawia. Prawdopodobnie myślała, że dostałem to, na co zasłużyłem. Nienawidziłem jej za to.

Zacząłem to robić wykorzystując mój szkolny rocznik. Wybierałem stronę na chybił trafił, po czym w ten sam sposób osobę z tejże strony – przeważnie był to jakiś frajer, na którego nie zwróciłbym uwagi w moim dawnym życiu, gdy jeszcze chodziłem do szkoły.

Czytałem jego imię, później odnajdywałem w indeksie, by zobaczyć na jakie zajęcia pozalekcyjne uczęszczał. Myślałem, że znałem każdego w tej szkole, jednak zdałem sobie sprawę, że moja wiedza była nikła. Teraz znałem imiona wszystkich.

Gra, w którą grałem, polegała na wybraniu osoby i zgadnięciu, w jakim miejscu będzie się znajdować, gdy odszukam ją za pomocą lustra. Czasami było to łatwe. Maniacy komputerowi zawsze byli przy komputerach. Sportowcy przebywali głównie na zewnątrz, wiecznie zabiegani.

W niedzielny rano, zdjęcie, które wybrałem przedstawiało Lindy Owens. Wyglądała znajomo. Wtedy przypominałem sobie, że była to dziewczyna z balu, ta sama, której dałem różę, z czego zrobiła wielką

sprawę, ta sama, dzięki której dostałem drugą szansę. Do dnia balu nigdy wcześniej nie zauważyłem jej w szkole. Teraz patrzyłem na jej stronę w roczniku, która zawierała życiorys: Honorowy Członek Narodowego Społeczeństwa, Honorowy Członek Francuskiego Społeczeństwa, Honorowy Członek Angielskiego Społeczeństwa... cóż, wszystkie honorowe społeczeństwa.

Musiała być w bibliotece.

- Chcę zobaczyć Lindę, - powiedziałem w stronę lustra.

Czekałem na ujrzanie wnętrza biblioteki. Lustro zwykle dostrajało się do lokalizacji, jak fale odbiorcze w telewizorze, a więc po tym jak mignęło mi safari z Animal Planet byłem pewny, że zastanę Lindy uczącą się, mimo że był sierpień.

Zamiast tego lustro ukazało mi sąsiedztwo, którego nigdy wcześniej nie widziałem – i nie chciałbym zobaczyć. Na ulicy dwie kobiety w znoszonych łachmanach wrzeszczały, kłócąc się ze sobą. Jakiś ćpun spadł ze schodów, wymiotując na chodnik. Obraz przesunął się dalej, na drzwi, klatkę schodową z zapadniętymi schodami i gasnącą żarówką, znad której wystawały druty sięgające gołych ścian. W mieszkaniu ze ścian łuszczyła się farba, a z podłóg odchodziło linoleum. Były również pudełka robiące za półki na książki. Ale wszędzie było czysto, a pośród tego, zaczytana, siedziała Linda. Przynajmniej co do tego miałem rację.

Przewróciła stronę, później następną i następną. Musiałem się jej przypatrywać przez co najmniej dziesięć minut. Tak, byłem aż tak znudzony. Ale tu chodziło o coś więcej. W pewnym sensie było to całkiem cool, że mogła tak czytać i nie zwracać uwagi na otoczenie dookoła siebie.

- Hej, dziewczyno! – Ktoś zawołał i aż podskoczyłem. Dotychczas było tak cicho, że nie zdałem sobie sprawy, iż w mieszkaniu przebywa jeszcze ktoś, oprócz niej. Lindy spojrzała znad książki.

- Tak?

- Jest mi ... zimno. Przynieś mi koc, okej? - Lindy westchnęła i odłożyła książkę okładką do góry. Zerknąłem na tytuł.

Jane Eyre, tak się nazywała. Byłem znudzony do tego stopnia, że pomyślałem, iż pewnego dnia może ją przeczytam.

- W porządku - odpowiedziała. – Chcesz też herbatę? – Była już na nogach zmierzając w kierunku kuchni.

- Tak. - Odpowiedź była zaledwie niczym innym jak chrząknięciem. - Tylko się pośpiesz.

Linda odkręciła kurek pozwalając by woda swobodnie płynęła, w tym czasie sięgnęła po mocno wysłużony, czerwony czajnik. Napełniła go i umieściła na piecu.

- Gdzie jest ten koc? - Głos był rozgniewany.

- Już idę. Przepraszam.

Posyłając tęskne spojrzenie w kierunku książki ruszyła do szafy i wyciągnęła spłowiały niebieski koc. Podeszła z nim do człowieka leżącego na starej kanapie. Był już przykryty jednym kocem, więc nie mogłem zobaczyć jego twarzy, ale widziałem, że drży mimo, iż był środek sierpnia. Lindy opatulila go kocem dookoła ramion.

- Lepiej?

- Nie za bardzo.

- Herbata na pewno pomoże.

Linda zrobiła herbatę i grzebała w prawie pustej lodówce, w końcu zrezygnowała i zaniósła herbatę. Ale mężczyzna zasnął. Pochyliła się nad nim na chwilę, nad słuchując. Wtedy sięgnęła ręką pod poduszkę jakby czegoś szukając. Nic. Wróciła do lektury, popijając herbatę. Dalej spoglądałem w lustro, ale nic więcej już się nie wydarzyło.

Zwykle obserwowałem daną osobę tylko raz. Ale w następnym tygodniu ciągle wracałem do Lindy. To nie chodziło o to, że była gorąca, albo miała w sobie cokolwiek interesującego. Większość ludzi z Tuttle wyjechała na obóz, albo wycieczkę po Europie. Więc jeśli bym chciał, mogłem oglądać kogoś nawet w Luwrze. Albo, co więcej, podglądać pod prysznicem masę dziewczyn na jakimś obozie - w porządku, zrobiłem to. Ale zwykle oglądałem, jak Lindy czyta. Nie mógłbym uwierzyć, że jest zdolna przeczytać tak dużo książek i to w lecie! Czasami czytając jakąś książkę śmiała się, a raz nawet płakała. Nie wiedziałem, jak ktoś może robić tyle szumu wokół zwykłych książek.

Pewnego dnia, gdy czytała rozległ się hałas – ktoś walił do drzwi. Patrzyłem jak je otwiera.

Czyjaś ręka chwyciła ją. Drgnąłem.

- Gdzie to jest? – Głos zażądał odpowiedzi. Ociężały kształt wszedł w pole mojego widzenia. Nie

mogłem zobaczyć jego twarzy, jedyne co zauważyłem to to, że był wielki. Zastanowiłem się, czy nie powinienem zadzwonić pod 911.

- Gdzie jest co? – spytała Lindy.

- Dobrze wiesz co. Co z tym zrobiłaś?

- Nie wiem, o czym mówisz.

Jej głos był spokojny, wykręciła się z jego uściski i ruszyła w stronę książki. Ponownie ją złapał i przyciągnął do siebie.

- Daj mi to.

- Już tego nie mam.

- Suka! – Mocno uderzył ją w twarz. Lindy potknęła się i upadła.

- Potrzebuję tego. Myślisz, że jesteś ode mnie lepsza, że możesz mnie okraść? Daj to mi!

Ruszył w jej kierunku jakby znów chciał ją złapać, ale ona doszła już do siebie. Wstała i pobiegła w głąb pokoju okrążając stół. Chwyciła książkę i wyciągnęła przed siebie niczym tarczę, która miała ją chronić.

- Trzymaj się ode mnie z daleka! Bo inaczej zadzwonię po gliny.

- Nie doniosła byś na własnego ojca gliniarzom.

Zmroziło mnie na dźwięk słowa ojciec. Ten skurczybyk był jej ojcem? Tym, którego jeszcze tydzień temu okrywała kocem?

- Nie mam tego - powiedziała. Jej twarz miała wyraz osoby, która z całych sił powstrzymuje się by nie wybuchnąć płaczem. – Wyrzuciłam to i splukałam w kiblu.

- Splukałaś to? Warte sto dolców? Ty... -

- Nie powinieneś tego mieć! Obiecałeś ...

Rzucił się w jej kierunku, lecz stawiał niepewne kroki, co wykorzystała i pobiegła do drzwi. Nadal trzymając w rękach książkę, wybiegła z mieszkania na obskurną klatkę schodową. Przebiegła po trzeszczących schodach prosto na ulicę.

- Uciekaj! – Wrzasnął za nią. – Odejdź tak samo jak zrobiła to twoja zdzirowata siostra!

Ruszyła w stronę podziemnego przejścia. Oglądałem, jak schodzi po stopniach, póki nie weszła do samochodu. Dopiero wtedy z jej oczy popłynęły łzy.

Żałowałem, że nie mogę przy niej być.

Pan Anderson: Dziękuję wszystkim za przybycie. Dzisiaj, będziemy mówili jak zaadoptować się w życiu po transformacji.

Froggie: Nidy nie lubilm sadawek i z pewością ni lubę ich teraz.

SilentMaid: Froggie, dlaczego nie?

Froggie: dlaczego ni??? Sa make!!!!!!

SilentMaid: Ale jesteś płazem.

Froggie: Wiec???

SilentMaid: Więc wybrałeś życie na suchym lądzie, chociaż odpowiedniejsza byłaby woda, pod którą na dodatek umiesz oddychać? Dlaczego? Naprawdę chcę wiedzieć!

Froggie: Po pirwsze- moj rzeczy ciagle od mnie odpływja!

BeastNYC dołączył się do chatu.

BeastNYC: Możecie zacząć. Już jestem.

SilentMaid: Zaczęliśmy.

BeastNYC: Żartowałem.

Pan Anderson: Co do ciebie, nigdy nie możemy być pewni, Beast. Ale witamy.

BeastNYC: W tym tygodniu się przeprowadzam. Nie wiem jeszcze gdzie.

SilentMaid: Mam dzisiaj małe oświadczenie.

Pan Anderson: Co to takiego, Silent?

SilentMaid: Zdecydowałam doprowadzić sprawę do końca.

Froggie: Przejsc transformacje?

SilentMaid: Tak.

BeastNYC: Dlaczego chcesz zrobić tak głupią rzecz?

Pan Anderson: Beast, to nie było grzeczne.

BeastNYC: Ale to jest głupie! Dlaczego miałyby ryzykować, skoro nie musi?

SilentMaid: Bardzo długo i dokładnie nad tym myślałam, Beast.

Grizzlyguy dołączył się do chaty.

SilentMaid: Wiem, że wiąże się to z ryzykiem, ogromnym ryzykiem. Jeżeli moja miłość nie zostanie odwzajemniona, zamienię się w pianę morską. Ale myślę, że warto podjąć takie ryzyko dla prawdziwej miłości.

Grizzlyguy: Morska piana?

Froggie: Prawd, miłość jet tego wata..

BeastNYC: Mogę coś powiedzieć?

Froggie: A czy kiedkolwiek zdolalismy ci powstrzymac?

BeastNYC: Wszyscy faceci to idioci. Możesz zaprzepaścić swoją szansę dla faceta, który w ogóle na to nie zasługuje. Nikt nie jest wart tego, by zamienić się dla niego w pianę morską.

SilentMaid: Nawet go nie znasz!

BeastNYC: Nie bardziej niż ty. Ty żyjesz pod wodą, a on na ziemi!

SilentMaid: Wiem wszystko, co muszę wiedzieć. Jest doskonały.

Froggie: Jesem pewin, ze jes.

BeastNYC: Po prostu jestem realistą ... on może cię nawet nie zauważyć. Czy nie mówiłaś, że musisz zrezygnować ze swojego głosu?

SilentMaid: Uratowałam go od utonięcia! Och, zapomnij.

Froggie: Beas jest Beast, Silnt. Nie pozwol b zepsul ci hmor.

SilentMaid opuściła chat.

BeastNYC: Przepraszam, ale jest naprawdę trudno być bestią w Nowym Jorku.

Rozdział 3

~Zamek~

~~I~~

Przeprowadziłem się w następnym miesiącu. Ojciec kupił kamienicę w Brooklynie i poinformował mnie, że się tam przenosimy.

Magda spakowała moje rzeczy bez mojej pomocy.

Pierwszą rzeczą jaką zauważyłem, były okna. Dom posiadał staromodne okna z fantastycznymi ramami. W pobliżu większość domów miała delikatne firanki lub same zasłonki, które umożliwiały wyglądać na ulicę i rosnące przy niej drzewa. Jednak ojciec zdecydowanie nie chciał, bym spoglądał na przyrodę albo, przechodząc do sedna sprawy, by nikt nie spoglądał na mnie.

Nasz dom miał ciężkie, ciemne, drewniane żaluzje, które nawet gdy były otwarte, blokowały większość światła i zasłaniały dużą część widoku za oknem. Mogłem wyczuć zapach świeżego drewna oraz farby, więc wiedziałem, że były nowe. Przy każdym oknie można było również znaleźć alarm, a przy drzwiach kamery monitorujące. Dom składał się z pięciu pięter, z czego każdy poziom był niemal tak duży, jak cały nasz dawny apartament na Manhattanie.

Pierwsze piętro było prywatnym apartamentem z własną kuchnią oraz salonem. To właśnie tam zamieszkałem. Ogromny ekran plazmowy zajmował większą część ściany, był również odtwarzacz DVD i cały podobny temu sprzęt.

Wszystko, co inwalidzie do szczęścia potrzebne.

A w tylnej części sypialni znajdowało się przejście do ogrodu, tak nagiego i pokrytego żyzną glebą, że oczekiwałem, że na moich oczach zaczną rosnąć chwasty. Dookoła rozciągał się wyglądający na nowy, drewniany płot. Mimo, że nie było tam bramy, na płocie umieszczona została kamera monitorująca, na wypadek jakby ktoś chciał się włamać. Ojciec nie chciał podejmować ryzyka, że ktoś mógłby mnie zobaczyć. A ja nie planowałem wychodzić na zewnątrz.

Zacząłem oglądać resztę udogodnień dla inwalidów. Był pokój do nauki, z kolejną plazmą do grania w PlayStation. Półki były wypełnione gramami. Zero książek.

Na moim piętrze łazienka nie miała lustra. Ściany były świeżo malowane, ale mogłem jeszcze

dostrzec jaśniejszy kwadrat, na którym pierwotnie znajdowało się lustro.

Magda zdążyła już wypakować moje rzeczy – z wyjątkiem dwóch, które ukryłem tak by ich nie zobaczyła. Teraz wyjąłem dwa płatki róży i lustro Kendry, po czym ukryłem je między swetrami w mojej garderobie.

Skierowałem się na drugie piętro, które miało kolejny salon, jadalnię i drugą kuchnię. To miejsce było dla nas zdecydowanie za duże. I czemu ojciec wolał przeprowadzić się na Brooklyn? Łazienka posiadała lustro. Nie spojrzałem w nie.

Trzecie piętro miało następną wielką sypialnię, która było udekorowana w podobny sposób jak salon, ale pusta. Tak jak w pokoju do nauki nie było w niej książek, za to, oczywiście, kolejna plazma.

Czwarte piętro. Trzy kolejne sypialnie. W najmniejszej stała walizka, ale nie rozpoznawałem jej.

Na piątym piętrze znajdowała się rupieciarnia, coś w stylu strychu – staromodne meble, pudła, książki i płyty, wszystko przykryte grubą warstwą kurzu. Kichnąłem – kurz zgromadził się na moim futrze bardziej niż na normalnych ludziach – i wróciłem z powrotem do swojego apartamentu, by gapić się na francuskie drzwi prowadzące do ogrodu. Kiedy się rozglądałem, do środka weszła Magda.

- A zapukać to trudno? – Spytałem.

- Ach, przepraszam. – I zaczęła nadawać jak hiszpańska wiewiórka. – Podoba ci się pokój, paniczu Kyle? Mogę się założyć, że tak – ładny, radosny pokój.

- Gdzie jest mój ojciec?

Popatrzyła na swój zegarek.

- Jest w pracy. Niedługo wiadomości.

- Nie – powiedziałem. – Miałem na myśli, gdzie będzie mieszkał? Gdzie jest jego pokój? Na górze?

- Nie – Magda przestała świergotać. – Nie, paniczu Kyle. Nie jest na górze. Ja zostaję.

- Chodziło mi, gdy wróci.

Magda spuściła wzrok.

- Ja z tobą zostaję, paniczu Kyle. Przykro mi.

- Nie, mam na myśli...

Wedy do mnie dotarło. Ja zostaję. Tata nie miał pokoju, ponieważ nie będzie tu mieszkał. Nie przeprowadził się na Brooklyn, tylko ja to zrobiłem. I Magda, mój nowy ochroniarz. Mój strażnik. Tylko my dwoje, na zawsze, podczas gdy on będzie wiódł szczęśliwą, wolną od Kyle'a, egzystencję.

Rozejrzałem się dookoła, brak luster, okien, niekończące się ściany (wszystkie pomalowane na radosne kolory – salon na czerwono, sypialnie na szmaragdową zieleń). Czy mogłyby być mnie pochłonięte tak, że nie zostanie nic tylko wspomnienie o dobrze wyglądającym chłopaku, który zniknął? Czy mogłyby być tak, jak z tym chłopakiem ze szkoły, który zginął w wypadku w siódmej klasie? Wszyscy płakali, ale teraz nie potrafiłem nawet przypomnieć sobie jego imienia. Założę się, że nikt nie potrafił. Tak samo nie będą umieli przypomnieć sobie mojego imienia.

- Jest przyjemny. – Ruszyłem w stronę nocnego stolika. – Więc gdzie jest telefon?

Pauza.

- Nie ma.

- Nie ma telefonu? – Była słabą kłamczuchą. – Jesteś pewna?

- Paniczu Kyle...

- Muszę porozmawiać z moim ojcem. Jeżeli zamierza po prostu... porzucić mnie tutaj na wieczność bez żadnego pożegnania... kupując mi płyty DVD – machnąłem ręką i większa część z pudełek leżących na półce spadła na podłogę roztrzaskując się – by nie czuć się winnym zamykając mnie tutaj?

Poczułem, że jasnozielone ściany zaczynają na mnie napierać. Opadłem na sofę.

- Gdzie jest telefon?

- Paniczu Kyle...

- Przestań mnie tak nazywać! – Zrzuciłem więcej płyt. – Brzmisz jak idiotka. Ile ci płaci, byś tu ze mną tkwiła? Potroił ci pensję, by namówić do zostania z jego zdziwaczałym synem, by być jego strażnikiem i trzymać głowę na kłódkę? Cóż, twoja posadka powie ci do widzenia, jeśli stąd ucieknę. Wiesz o tym, prawda?

Patrzyła się na mnie. Chciałem zapaść się pod ziemię. Pamiętałem, co powiedziała tamtego dnia. Że się o mnie martwi.

- Jestem zły, rozumiesz? – Powiedziałem. – To dlatego tak wyglądam. Może któreś nocy przyjdę po ciebie, gdy będziesz spała. Czy ludzie w twoim kraju nie wierzą w voodoo, szatana i tego typu sprawy?

- Nie. My wierzymy...
- Wiesz co?
- Słucham?
- Nie obchodzi mnie twój kraj. Nie obchodzi mnie nic, co się tyczy ciebie.
- Wiem, że jesteś smutny...

Czułem zbliżający się ból głowy, który kumulował się tuż za (albo nad?) moim nosem. Mój ojciec mnie nienawidzi. Nie chciał nawet, bym przebywał w tym samym domu co on.

- Proszę, Magda, pozwól mi z nim porozmawiać. Muszę. Nie wywali cię z powodu tego, że pozwoliłaś mi z nim porozmawiać. Nie znajdzie nikogo innego, kto by ze mną został.

Gapiła się przez dłuższą chwilę. W końcu, przytaknęła.

- Pójdę po telefon. Mam nadzieję, że ci to pomoże. Sama spróbuję.

Odeszła. Chciałem się zapytać miała na myśli mówiąc „sama spróbuję”. To, że postara się namówić mego ojca, by ze mną został, by był człowiekiem? Słyszałem jak z trudem wspina się do swojego pokoju, którym musiał być ten z walizką. Boże, ona była wszystkim, co miałem. Może zatruć moje jedzenie, jeśli zrobię się zbyt niezdolny. Kto by się przejął?

Uklęknąłem na podłodze by pozbierać DVD, które zrzuciłem. Było to trudne, zważając na pazury, lecz ostatecznie moje dłonie miały taki sam układ, z kciukiem jak u goryla, a nie jak niedźwiedzia łapa.

Po kilku minutach wróciła Magda, niosąc w ręce komórkę. A więc w tym miejscu rzeczywiście nie było sieci telefonicznej. Ojciec naprawdę się postarał.

- Pozbierałem... większą część rzeczy, które zrzuciłem. – Gestykulowałem z ramionami pełnymi płyt. – Przepraszam, Magda.

Uniosła brew, ale powiedziała:

- Wszystko w porządku.
- Wiem, że to nie twoja wina, tylko mego ojca... - wzruszyłem ramionami.

Wzięła z moich rąk gry, które wciąż trzymałem.

- Chcesz, żebym do niego zadzwoniła?

Potrząsnąłem głową i wziąłem od niej telefon.

- Muszę sam z nim porozmawiać.

Przytaknęła, odłożyła płyty powrotem na półkę i opuściła pokój.

- O co chodzi, Magda? – usłyszałem zirytowany głos ojca, kiedy odebrał. Nie poprawi się to, gdy usłyszysz, że to ja.

- To nie Magda, to ja Kyle. Musimy o czymś porozmawiać.

- Kyle, jestem w środku... -

- Zawsze jesteś. Nie zajmę ci dużo czasu. Będzie szybciej jak wysłuchasz tego, co mam do powiedzenia, zamiast się ze mną sprzeczać.

- Kyle, wiem, że nie chcesz tam przebywać, ale naprawdę to dla twojego dobra. Starłem się, byś czuł się komfort...

- Porzuciłeś mnie tutaj.

- Robię to co jest dla ciebie najlepsze, ochraniając cię od natarczywego wzroku ludzi, od ludzi którzy użyją tego, by się odegrać i ...-

- Cholerna ściema – omiotłem wzrokiem zielone ściany, które otaczały mnie ze wszystkich stron. – Ty po prostu ochraniaasz siebie. Nie chcesz, by ktokolwiek się o mnie dowiedział.

- Kyle, ta konwersacja jest już skończona.

- Właśnie, że nie jest. Nie waż się rozłączać! Jeśli to zrobisz, pójdę do NBC¹⁸ i udzielę im wywiadu. Przysięgam na Boga, że tak właśnie zrobię.

To go powstrzymało.

- Czego chcesz, Kyle?

Chciałem pójść do szkoły, mieć przyjaciół, by wszystko było jak wcześniej. Lecz tak się nie stanie. Więc powiedziałem:

- Posłuchaj, jest kilka rzeczy, których potrzebuję. Zdobądź je dla mnie, a zgodzę się na twoje warunki. W innym razie, ucieknę. – Mimo, że rolety były prawie nieprzezroczyste, widziałem, iż niebo pociemniało.

- Co to za rzeczy, Kyle?

- Potrzebuję komputera z Internetem. Wiem. Obawiasz się, że zrobię coś szalonego, jak powiedzenie prasie by tutaj przyszli i zrobili mi zdjęcie. - Powiedzenie im, że jestem twoim synem. – Ale tego nie

zrobię – nie jeśli zrobisz to o co proszę. Po prostu dalej chce mieć kontakt ze światem i może... Nie wiem, może dołączę do jakiej internetowej grupy albo coś takiego.

To brzmiało tak żałośnie, że o mało co nie zakryłem uszu by nie słyszeć mego skomlenia.

- Okej, okej. Zobaczą, co da się zrobić.

- Po drugie, chcę prywatnego nauczyciela.

- Nauczyciela? Wcześniej ledwie zaliczałeś przedmioty.

- Teraz jest inaczej. Nie mam nic innego do roboty.

Ojciec nie odpowiedział, więc ciągnąłem dalej.

- Poza tym, co jeśli uda mi się z tego wyrwać? Mam na myśli, że teraz jestem jaki jestem, ale może następny dzień będzie lepszy. Może wiedźma zmieni zdanie i przemieni mnie z powrotem. – Mówiłem, choć czułem, że nigdy do tego nie dojdzie, a on myślał podobnie.

Gdzieś w głębokiej podświadomości nadal miałem nadzieję, że może uda mi się kogoś spotkać, dziewczynę, może w sieci. Dlatego potrzebowałem komputera. Jednak nie do końca rozumiałem czemu zażądałem nauczyciela. Tata miał rację – nienawidziłem szkoły. Ale teraz zostało mi to odebrane i chciałem to odzyskać. Poza tym nauczyciel będzie kimś, z kim będę mógł porozmawiać.

- Po prostu wolę się zabezpieczyć.

- W porządku. Poszukam kogoś. Co jeszcze?

Wzięłem głęboki oddech.

- Trzecim warunkiem jest to, że nie chcę żebyś mnie odwiedzał.

Powiedziałem to ponieważ wiedziałem, że i tak nie miał takiego zamiaru. Nie chciał mnie widzieć. W tej kwestii wyraził się kompletnie jasno. Gdyby przyszedł, stałoby się tak tylko z przymusu, że nie ma innego wyjścia. Nie chciałem tego. Nie chciałem siedzieć tu i czekać czy się pojawi, a później snuć się każdego dnia, jeśli by tego nie zrobił.

Czekałem też by zobaczyć czy będzie oponował, udając dobrego tatusia.

- W porządku – odpowiedział. – Jeśli to jest to, czego chcesz, Kyle.

Typowe.

- Tak, to jest to czego chce.

Rozłączyłem się, zanim mogłem zmienić zdanie i zacząć go błagać by wrócił.

~*~*~

Ojciec szybko się uwinął. Nauczyciel pojawił się tydzień później.

- Kyle.

Zauważyłem, że Magda przestała nazywać mnie „paniczem Kylem” po tym jak na nią nawrzeszczałem. A ten sposób zrobiła się znacznie mniej wkurzająca.

- To jest Will Fratalli. Jest nauczycielem.

Facet, który koło niej stał, był wysoki, po dwudziestce, o wyglądzie szablonowego głupka. Miał ze sobą psa, żółtego labradora, na nogach miał znoszone jeansy, zbyt duże by pasowały, ale znowu zbyt małe, by były modne, a powyżej dostrzegłem niebieską, zapinaną na guziki bluzę. Z daleka zajeżdżało od niego szkoła publiczną i to nawet nie jakąś fajną. Podeszedł do mnie.

- Witaj, Kyle.

Nie zaczął uciekać z krzykiem na mój widok. Co na pewno dawało mu u mnie dużego plusa. Z drugiej strony, w ogóle na mnie nie patrzył, patrzył jakby poza mnie.

- Ej, tutaj! – Pomachałem mu. – Nic z tego nie będzie, skoro nie możesz nawet na mnie patrzeć.

Pies groźnie zawarczał.

Natomiast ten koleś – Will- zaśmiał się.

- To możesz być troszkę trudne.

- A niby czemu? – Dopytywałem

- Ponieważ jestem niewidomy.

Och.

- Siad, Pilot! – Powiedział Will, ale Pilot dreptał w miejscu, odmawiając wykonania rozkazu.

To była całkowicie alternatywna rzeczywistość. Mój ojciec odseparował się ode mnie i znalazł - czy raczej rozkazał zrobić to swojej sekretarce – niewidomego nauczyciela, by nie mógł on zobaczyć, jak odrażający jestem naprawdę.

- Oh, wow. Przepraszam. Czy to... to jest twój pies? Też będzie tutaj mieszkał? Z tobą? – Nidy

wcześniej nie spotkałem niewidomego człowieka, choć przypuszczałem, że można ich spotkać na stacji metra.

- Tak – Will wskazał na psa. – To jest Pilot. Obaj zamierzamy tu zamieszkać. Twój tata potrafi nieźle negocjować.

- Nie wątpię. Co ci o mnie naopowiadał? Przepraszam. Może chcesz usiąść? – Chwyliłem go pod ramię. Szarpnął się.

- Proszę, nie rób tak.

- Przepraszam. Usiłowałem pomóc.

- Nie chwytaj tak ludzi. Czy tobie by się spodobało, jakby ciebie ktoś tak złapał? Jeśli chcesz zaoferować swoją pomoc, spytaj ludzi, czy jej potrzebują.

- Okej, okej, przepraszam. – I to by było na tyle ze wspaniałego początku. Ale muszę się zaprzyjaźnić z tym kolesiem. – A więc, potrzebujesz?

- Dziękuję, nie. Sam sobie poradzę.

Używając laski, której również nie zauważyłem, ruszył w stronę kanapy i usiadł. Pies dalej się na mnie gapił, jakby myślał, że jestem jakimś zwierzęciem, które w każdej chwili może rzucić się na jego pana. Ponownie cicho zawarczał.

- Czy on ci mówi gdzie masz iść? – Zapytałem. Nie bałem się. Wiedziałem, że jeśli pies by mnie ugryzł, po prostu się uleczę. Spuściłem wzrok i wpatrywałem się prosto w psie ślepie. Wszystko w porządku, pomyślałem. Pies usiadł, po czym się położył. Dalej się na mnie gapił, ale już nie warczał.

- Niezupełnie. Sam znajduję drogę, ale kiedy zbliżam się do szczytu schodów, on przestaje iść.

- Nigdy nie miałem psa – powiedziałem, myśląc jak głupio musiało to zabrzmieć. Biedny, mały, zdeprawowany, nowojorski dzieciak.

- Tego również nie będziesz miał. Jest mój.

- Rozumiem. – Druga wpadka. Usiadłem w fotelu naprzeciwko Willa. Pies wciąż na mnie patrzył, ale to spojrzenie było inne, jakby starał się dojść czym byłem zwierzęciem czy człowiekiem. – Co mój ojciec ci o mnie powiedział?

- Mówił, że jesteś inwalidą, który potrzebuje domowego nauczania, by nadać z nauką. Wnioskuje, że podchodzisz do tego bardzo poważnie.

Zaśmiałem się.

- Inwalida, tak? – Dobrze sobie. – Czy wspomniał, na czym polega moja niepełnosprawność?

Will poruszył się na kanapie.

- Właściwie to nie. Czy jest to coś, o czym chciałbyś porozmawiać?

Pokręciłem głową, zanim przypomniałem sobie, że i tak nie może mnie zobaczyć.

- Raczej coś, o czym ty chciałbyś wiedzieć. Widzisz, problem jest w tym, że jestem całkowicie zdrowy. Nie licząc, że jestem odmieńcem.

Na słowo odmieniec brwi Willa powędrowały do góry, ale nic nie powiedział.

- Nie, naprawdę. Po pierwsze mam włosy na każdym calu ciała. Grubą sierść jak u psa. Mam również kły i szpony. To są moje złe strony. Dobre to takie, że jestem chyba zbudowany z teflonu. Zrań mnie, a się ulecę. Mógłbym być superbohaterem, nie licząc tego, że jeśli uratował bym kogoś z płonącego budynku, to gdyby spojrzał na moją twarz, uciekłby z krzykiem z powrotem w płomień.

Zatrzymałem się. Will nadal nie odpowiadał, jedynie patrzył się na mnie, prawie tak jakby mógł ujrzeć mnie lepiej niż inni ludzie, tak jakby widział mnie takiego, jakim byłem przedtem. W końcu powiedział:

- Skończyłeś wywód?

Skończyłeś wywód? Kto tak mówi w dzisiejszych czasach?

- Co masz na myśli?

- Jestem ślepy, nie głupi. Nie będziesz mnie bajerował taką gadką. Byłem pod wrażeniem... twój tata powiedział, że chciałeś nauczyciela. Jeżeli sprawa wygląda inaczej to... - wstał.

- Nie! Złe mnie zrozumiałeś. Ja nie staram się zbajerować. To co mówię, jest prawdą. – Spojrzałem na psa. – Pilot to wie. Czy nie zauważyłeś, jak dziwnie się zachowuje, odkąd tu jesteś?

Wyciągnąłem rękę w stronę Willa. Pies znowu zawarczał, ale spojrzałem w jego oczy i przestał.

- Dalej, dotknij mojego ramienia.

Podwinąłem rękaw koszulki i Will dotknął mojej ręki. Wzdrygnął się.

- To jest twoja... nie nosisz przypadkiem płaszcz lub czegoś takiego?

- Możesz wyczuć, że nie ma żadnych szwów. – Wyciągnąłem ponownie rękę by mógł ją sprawdzić od

wewnętrznej strony. – Nie mogę uwierzyć, że nic ci nie powiedział.

- Postawił raczej dziwne... warunki, gdy mnie zatrudniał.

- Na przykład jakie?

- Zaoferował ogromną pensję i możliwość używania kart kredytowych na wszystkie wydatki – nie mogę powiedzieć, że bym przeciw temu oponował. W zamian za to zażądał, bym tu zamieszkał. Pieniądze na pensje zostaną wypłacane przez korporację, więc miałem nigdy nie pytać kim był, lub czemu mnie zatrudnił. Zostałem zmuszony by podpisać trzyletni kontrakt. Jeśli zostaną przed trzy lata, opłaci całe czesne za moje studia i wyśle mnie na kurs medyczny. W końcu, musiałem się przyrzec, że nie opowiem o całej historii mediom, ani nie napisze książki. Raczej przypuszczałem, że jesteś jakąś gwiazdą filmową.

Przy tym się zaśmiałem.

- Powiedział ci, kim jest?

- Twierdził, że biznesmenem.

I myślał, że ci nie powiem?

- A więc musimy uzupełnić luki – powiedziałem. To znaczy, zakładając... że nadal chcesz tu pracować, gdy wiesz już, że nie jestem gwiazdą filmową, tylko dziwadłem?

- A chcesz, bym tu pracował?

- Tak. Jesteś pierwszą osobą, z którą zmieniłem słowo od trzech miesięcy, nie licząc gosposi i lekarzy.

Will pokiwał głową.

- W takim razie chcę tu pracować. Szczerze mówiąc, kiedy pomyślałem, że jesteś gwiazdą filmową, chciałem się wycofać, ale potrzebowałem pieniędzy. – Wyciągnął dłoń. Ucisnąłem ją. – Jestem szczęśliwy, mogąc z tobą pracować, Kyle.

- Kyle Kingsbury, syn Roba Kingsburego. – Potrząsnąłem jego dłonią, rozkoszując się jego zdumioną miną. – Powiedziałaś, że mój ojciec dał ci kartę kredytową?

~III~

Można powiedzieć, że Will i ja przez następny tydzień wprawiliśmy w obieg kartę kredytową ojca. Na początek zamówiliśmy książki, ponieważ byłem w końcu poważnie podchodzącym do sprawy uczniem. Szkolne podręczniki, ale i również nowele i wersję Brailła¹⁹ dla Willa. Oglądanie go jak czytał za pomocą rąk, było nawet całkiem fajne.

Do jego pokoju kupiliśmy jeszcze meble i radio. Starał się mnie hamować, mówiąc, że nie powinniśmy wydawać tyle pieniędzy, ale z mało przekonującym zapałem.

Powiedziałem Willowi wszystko o Kendrze i kłątwie.

- Bzdura– powiedział. – Nie ma czegoś takiego jak wiedźmy. Musi być na to jakieś medyczne wyjaśnienie.

- Mówisz tak tylko dlatego, bo nie możesz mnie zobaczyć. Jeślibyś mógł, uwierzyłybyś i w wiedźmy.

Wyznałem mu również, że by złamać urok, muszę znaleźć prawdziwą miłość. I choć dalej twierdził, że nie wierzy w moje słowa, myślę, że jednak zaczął zmieniać zdanie.

- Wybrałem książkę, która myślę, że ci się spodoba – Will wskazał na stół. Wziąłem ją do ręki. Dzwonnik z Notre Dame.

- Zwariowałaś? To ma z jakieś pięćset stron.

Will wzruszył ramionami.

- Daj się temu porwać. Jest w niej dużo akcji. Jeśli okaże się, że nie jesteś na tyle mądry, by ją przeczytać, wybierzemy coś innego.

Ale przeczytałem.

Godziny i dni mijały jeden za drugim, a ja czytałem. Szczególnie w pokojach na piątym piętrze, które polubiłem. Była tam stara kanapa. Przesunąłem ją pod okno. Mogłem na niej siedzieć godzinami, czasami czytając, czasami oglądając tłumy ludzi przewalających się w stronę metra lub sklepów, tłumy młodych ludzi chodzących do szkoły lub na wagary. Czułem się jakbym ich wszystkich znał.

Ale czytałem również o Quasimodo, garbusie, żyjącym w kaplicy Notre Dame. Oczywiście wiedziałem, czemu akurat tę książkę wybrał Will. Quasimodo był jak ja, zamknięty gdzieś z dala przed wzrokiem ludzi. I w moim pokoju na piątym piętrze, obserwując miasto, czułem się jak on.

Quasimodo przyglądał się paryżanom i pięknej cygańskiej dziewczynie Esmeraldzie, która tańczyła gdzie w dole.

Natomiast ja oglądałem Brooklyn.

- Ten autor, Victor Hugo, musiał być naprawdę zabawnym gościem – powiedziałam do Willa pewnego dnia podczas zajęć. – Myślę, że z chęcią zaprosiłbym go na jedną z moich imprez.

Oczywiście powiedziałem to z sarkazmem. Książka była totalnie dołująca, tak jakby autor nienawidził ludzi.

- Myślę, że lubił zaprzeczać stereotypom – powiedział Will.

- Dlaczego? Bo z księdza zrobił złego gościa, a z brzydkiego typa dobry charakter?

- O to w tym chodziło. Widzisz, jesteś na tyle bystry by przeczytać tę długą książkę.

- To nie jest trudna lektura – wiedziałem, co próbuje zrobić: podburzyć mnie, bym starał się jeszcze bardziej. Nawet jeśli tak było, to i tak się uśmiechnąłem.

Nigdy nie myślałem o sobie, jak o kimś mądrym. Niektórzy z moich nauczycieli mówili że jestem, a złe oceny biorą się z tego, iż za mało się „przykładam”, czyli to, co zwykle mówią nauczyciele, by wpakować cię w kłopoty przed rodzicami.

Ale może to była prawda.

Zastanawiałem się, czy to że jestem brzydki, robi mnie mądrzejszym. Will powiedział, że gdy człowiek jest niewidomy, inne zmysły – jak słuch i węch – wyczulają się w ramach rekompensacji. Więc czy mogłem zmadrzeć, by zrekompensować moją brzydotę?

Zazwyczaj czytałem rano i wieczorem omawialiśmy poszczególne fragmenty. Will wołał mnie koło jedenastej.

W sobotę Will mnie nie zawołał. Na początku nie zwróciłem na to uwagi, ponieważ czytałem właśnie jak Quasimodo ratuje Esmeraldę od egzekucji i zabiera ją do katedry krzycząc „Azy! Azy!”, było to bardzo ekscytujące i pochłonęło mnie bez reszty. Ale nawet gdy Quasimodo uratował Esmeraldę, nadal nie mogła na niego spojrzeć. Był zbyt odrażający.

A jeśli mówimy już o depresji...

Słyszałem jak zegar wybija południe. Zdecydowałem, że zejść na dół.

- Will! Zwarty i gotowy! Czas nabić głowę wiedzą!

Ale na trzecim piętrze spotkała mnie Magda.

- Nie ma go tu, Kyle. Miał spotkanie, bardzo ważne. Kazał ci przekazać, że dzisiaj masz dzień wolny.

- Moje całe życie jest dniem wolnym.

- Szybko wróci.

Nie chciałem już więcej czytać, więc po lunchu wszedłem do Internetu. Tydzień wcześniej znalazłem tą wspaniałą stronę, gdzie możesz oglądać różne zakątki na ziemi za pomocą obrazu z satelity okołoplanetarnej. Dotychczas, znalazłem Empire State Building, Central Parki i Statuę Wolności. Nawet mój dom. Czy taki sam byłby ubaw, gdybym odnalazł Katedrę Notre Dame w Paryżu?

Spróbowałem znowu Nowy Jork, zoomując na Empire State Building do St. Patrick's. Czy Notre Dame była tak duża jak St. Patrick? Naprawdę potrzebowałem atlasu i przewodnika, więc zamówiłem je przez Internet.

Jakiś czas później, buszując po Internecie i nie mając nic innego do roboty, wszedłem na MySpace.com. Słyszałem, że niektórzy ludzie w szkole wrywali tam innych ludzi. Może mógłbym tam poznać dziewczynę, sprawić by się we mnie zakochała, a później w jakiś delikatny, pokrętny sposób wyjaśnić jej tą całą sprawę z bestią.

Zalogowałem się na MySpace i zacząłem wyszukiwać dziewczyny. Nadal posiadałem profil z czasów, kiedy byłem Normalnym Kylem. Nigdy wcześniej nie próbowałem poznać kogoś na MySpace, nigdy nie musiałem.

Dodałem więc jeszcze kilka zdjęć, kilka opisów i odpowiedziałem na wszystkie pytania na temat moich zainteresowań (hokej), ulubionych filmów (Duma i Uprowadzenie – Sloane zmusiła mnie na oglądania tego, i nienawidziłem każdej minuty, jaką nad nim spędziłem, ale wiedziałem, że dziewczyny lecą na takie rzeczy), i bohaterów (mój ojciec, oczywiście – to pokazywało moją wrażliwość).

W miejscu Chciałbym spotkać napisałem „moją prawdziwą miłość”, ponieważ było to prawdą. Zacząłem wyszukiwanie.

Nie było kategorii dla mojego wieku, więc próbowałem w przedziale 18-20, skoro i tak wiedziałem, że wszyscy kłamią w tej kwestii. Wyskoczyło siedemdziesiąt pięć profili. Kliknąłem na pierwszy z brzegu.

Wiele z nich okazało się stronami erotycznymi. Starałem się unikać wszystkich, które miały w nazwie słowo perwersyjny i w końcu znalazłem jeden o normalnym brzmieniu. Nick brzmiał Shygirl23²⁰, a w

profilu pisało tylko: zaliczam się raczej do rzadkiego typu lasek. Nie wydaję mi się, by gdzieś tam był ktoś taki jak ja. Mam 5,2 cale²¹ wzrostu, blond włosy i niebieskie oczy. Zresztą widać na zdjęciach. Kocham tańczyć i spędzać czas z przyjaciółmi. Uwielbiam ludzi, którzy wiedzą, czego chcą. Kocham chodzić na imprezy. Uczęszczam na UCLA²², gdzie studiuje aktorstwo. Lubię cieszyć się życiem i brać z niego ile się da...

Spojrzałem w lustro.

- Pokaż mi Shygirl23 - powiedziałem.

Lustro ukazało klasę i skierowało się na dziewczynę – dziewczynę, która z pewnością nie zbliżała się do dwudziestki. Wcisnąłem przycisk Back na klawiaturze. Wybrałem inny profil, później następny i następny. Próbowałem nawet profile ludzi, którzy znajdowali się w innych stanach, ponieważ wtedy mógłbym nieco dłużej odwlekać nasze spotkanie.

Bo powiedzmy sobie szczerze, co niby miałem powiedzieć? „Jestem bestią z żółtym kwiatkiem w marynarce”?

Miałem dwa lata na to by się zakochać i sprawić, by druga osoba zakochała się we mnie.

- Pokaż mi Stardancer112 – rozkazałem lustru.

Miała około czterdziestki.

Przez następne trzy godziny surfowałem po MySpace i Xanga. Właściwie mozolne poszukiwania byłyby bardziej trafnym określeniem.

Następne profile na jakie wszedłem, okazały się być:

Czterdziestoletnia kura domowa, która prosiła o nagie zdjęcie.

Stary mężczyzna.

Dziesięcioletnia dziewczynka.

Szef policji.

Wszyscy mówili, że są w moim wieku i są kobietami. Mam nadzieję, że gliniarz był tam tylko po to, by ująć jakiegoś zbrojnego. Dziesięcioletce wysłałem ostrzeżenie, w zamian czego zaczęła na mnie krzyczeć, że nie jestem jej matką.

Weszła Magda z odkurzaczem.

- Och, nie widziałam, że tu jesteś, Kyle. Nie masz nic przeciwko, że bym tu poodkurzała?

- Nie. Siedzę tylko na Internecie – uśmiechnąłem się. – Próbując poznać dziewczynę.

- Dziewczynę? – Podeszła bliżej zerkając na ekran. – Ach.

Skrzywiła się trochę i pomyślałem, że nawet nie wiem, czy zdaje sobie sprawę z tego, co to jest czat, albo nawet Internet.

- Okej, postaram się być bardzo cicho. Dziękuję.

Spędziłem na stronie jeszcze jakiś czas. Było tam kilka osób, które wydawały się być normalne, ale żadna z nich nie była aktualnie dostępna.

Wrócę później.

Później wszedłem jeszcze na pół godziny na Google wpisując słowa takie jak bestia, transformacja, zaklęcie, klątwa – wiecie, tylko by sprawdzić, czy tego typu rzeczy zdarzają się poza bajkami Braci Grimm czy Shrekiem.

Znalazłem dziwną stronę, prowadzoną przez kolesia imieniem Chris Andersen, z masą miłych pokoi czatowych, wliczając w to jeden o ludziach, którzy przemienili się w coś innego. Prawdopodobnie logowała się do niej młodzież lubiąca pisać fanfiki na temat Harrego Pottera. Jednak nadal planowałem wrócić do niej innego dnia.

W końcu wyszedłem z sieci.

Godzinę wcześniej słyszałem jak wrócił Will, ale nie przyszedł, by ze mną porozmawiać.

- Will, dzień wakacyjny się skończył! – Zawołałem.

Zero odpowiedzi. Sprawdziłem na innych piętrach. Nigdzie śladu po Willu. Na koniec wróciłem do swojego apartamentu.

- Kyle, to ty? – Jego głos dochodził z ogrodu. Nie byłem tam od pierwszego dnia. To było zbyt dołujące patrzeć na drewniany płot, mający osiem stóp wysokości, który ojciec postawił, by ludzie nie mogli mnie zobaczyć. Trzymałem więc żaluzje zamknięte.

Ale Will tam był.

- Przydałaby się mała pomoc, Kyle.

Wyszedłem na zewnątrz. Will był otoczony przez donice, sadzonki, ziemię i szufle. A na dodatek został

uwięziony pomiędzy ścianą, a dużym workiem ziemi.

- Will, wyglądasz jak gówno! – Krzyknąłem przez szklane drzwi.

- Ja nie mogę powiedzieć, jak ty wyglądasz – odpowiedział. – Ale jeśli brzmisz tak samo jak wyglądasz, to wyglądasz jak idiota. Pomóż mi, proszę.

Ruszyłem w jego stronę odciągając na bok worek z ziemią. Wszędzie było jej pełno, zwłaszcza na Willu.

- Przepraszam.

To było, gdy zobaczyłem, jak zamierza sadzić krzaki róż, tuziny. Róże w ziemi, w donicach, wazonach okalający kraty. Czerwone, żółte, różowe i najgorsze z nich białe róże, które przypominały mi o feralnej nocy, która zakończyła się moją przemianą. Nie chciałem na nie patrzeć, a jednak postąpiłem naprzód. Wyciągnąłem dłoń w kierunku jednej z nich i odskoczyłem. Kolce. Moje pazury wysunęły się do przodu. Jak u lwa i myszy, pomyślałem.

Wyciągnąłem kolec, zostawiając małą dziurkę. Zaleczyła się.

- O co chodzi z tymi różami? – spytałem.

- Lubię pracę w ogrodzie i zapach róż. Miałem dość ciebie, pałętającego się bez celu po pokoju z zamkniętymi żaluzjami. Pomyślałem więc, że może to rozweseli trochę atmosferę. I idąc za twoją radą o wydawaniu pieniędzy twojego ojca, kupiłem kilka rzeczy.

- Skąd wiedziałeś, że żaluzje są zasłonięte?

- Pokój jest zimny, kiedy jest pusty i nie dociera do niego światło słoneczne. Nie widziałeś nawet promyka słońca odkąd tu jestem.

- I myślisz, że zasadzenie kilku kwiatków to zmieni? – Uderzyłem pięścią w jeden z krzaków róży. Zrewanżowały się wbijając kolce w moją rękę. – Pewnie, będę się zachowywać jak w jednym z tych filmów opartych na faktach autentycznych – „Życie Kyle’a było puste i beznadziejne. Wtem jak za dotknięciem różdżki różany prezent zmienił wszystko.” O to ci chodzi?

Will potrząsnął głową.

- Każdy ma w sobie trochę piękna...

- Co ty możesz wiedzieć o pięknie? Nie znałeś mnie nigdy wcześniej i nikt ci o mnie nie opowiadał.

- Nie zawsze byłem niewidomy. Kiedy byłem dzieckiem, moja babcia miała różany ogród. Pokazała mi, jak się nim zajmować. „Róża może odmienić twoje życie”, zwykła mówić. Odeszła, gdy miałem dwanaście lat. Było to w tym samym czasie, kiedy zacząłem tracić wzrok.

- Zaczęłeś? – Ale myślałem... Taa, róża może odmienić twoje życie.

- Na początku nie widziałem tylko w nocy. Później pole widzenia zmniejszyło się, co doprowadzało mnie do wściekłości, ponieważ nie mogłem już grać w baseball, było to tym bardziej dołujące, że byłem w tym całkiem niezły. W końcu z ledwością mogłem zobaczyć cokolwiek.

- Wow, to naprawdę musiało doprowadzać cię do szaleństwa.

- Dzięki za współczucie, ale nie wyjeżdżaj mi tu z filmem opartym na faktach. - Will powąchał czerwoną różę. - Zapach przypomina mi tamte dni, mogę je wyczuć w mojej podświadomości.

- Ja nic nie czuję.

- Spróbuj z zamkniętymi oczami.

Spróbowałem. Dotknąłem mojego ramienia kierując w stronę kwiatów.

- W porządku, teraz powąchaj.

Wciągnąłem głęboko powietrze. Miał rację. Było przepelnione zapachem róż, który zarazem przyniósł odór wspomnienia tamtej nocy. Mogłem zobaczyć siebie samego stojącego na scenie ze Sloane, później obraz mojego pokoju i Kendrę. Poczulem jak ściska mnie w brzuchu.

Odsunąłem się.

- Skąd wiedziałeś, które kupić? – Moje oczy wciąż były zamknięte.

- Zamówiłem te, które chciałem i liczyłem na szczęście. Kiedy przyszedł posłaniec domyśliłem się po kolorach. Trochę je dostrzegam.

- Och, tak? – nadal nie otwierałem oczu. – W takim razie jakiego koloru są te?

Will mnie puścił.

- Te są z donicy z twarzą kupidyna.

- Ale jakiego są koloru?

- W donicy kupidyna były białe.

Otworzyłem oczy. Białe. Róże, które przywołały tak silne wspomnienia, były białe. Przypomniałem

sobie słowa Magdy: „Ten, kto nie wie jak dostrzec cenne rzeczy w życiu, nigdy nie zazna szczęścia.”

- Chcesz pomóc zasadzić resztę? – Spytał Will.

Wzruszyłem ramionami.

- Jeśli jest coś do roboty.

Will pokazał mi jak dużo ziemi, torfu i nawozu powinienem umieszczać w donicach.

- Miastowy dzieciak nie robił tego nigdy wcześniej, co? – Drażnił się.

- Kwiaciarz dostarczał i układał kwiaty każdego tygodnia.

Will zaśmiał się, po czym powiedział:

- Ty mówisz na poważnie.

Ścisnąłem plastikowy pojemnik w sposób, jaki pokazał mi Will, by łatwiej dostać się do ziemi i nasypałem trochę pod sadzonki.

- Magda lubi białe róże.

- Powinieneś jej kilka zanieść.

- No nie wiem.

- Właściwie to ona podsunęła pomysł z ogrodem. Powiedziała mi, że ranki spędzasz na środkowym piętrze, gapiąc się w okno. „Jak kwiat szukający słońca”, tak powiedziała. Przejmuje się tobą.

- A niby dlaczego miałyby to robić?

- Nie mam pojęcia. Prawdopodobnie ma dobre serce.

- Niemożliwe. To dlatego, że jej za to płacą.

- Płacą jej bez względu na to, czy jesteś szczęśliwy czy nie, nieprawdaż?

Miał rację. Ale to nie miało sensu. Zawsze byłem przecież dla niej niemiły, a tutaj proszę, robi rzeczy, których nie musi i to dla mnie. Will również.

Zacząłem kopać następną dziurę.

- Dziękuję za to, Will.

- Nie ma problemu. – Kopnął worek z nawozem w moją stronę, przypominając, że to powinienem wsypać jako następnę.

Później wybrałem trzy białe róże i zaniósłem je Magdzie. Chciałem dać je jej osobiście, ale gdy wszedłem na górę, poczułem się głupio. Więc zostawiłem je na blacie, gdzie gotowała obiad. Miałem nadzieję, że domyśli się, że są ode mnie a nie od Willa. Ale kiedy zeszła na dół przynosząc mi obiad, udawałem że jestem w łazience i krzyknąłem, by zostawiła tacę pod drzwiami.

~~IV~~

Tej nocy po raz pierwszy odkąd przeprowadziłem się na Brooklyn, wyszedłem na zewnątrz na ulicę.

Poczekalem aż się ściemni i chociaż był początek października, założyłem duży płaszcz z kapturem, którym okryłem głowę i schowałem twarz. Naokoło brody i policzków owinałem się szalikiem.

Poruszałem się blisko budynków, pośród cieni, żeby ludzie nie mogli mnie zobaczyć, skręcając w boczne uliczki, by się do nikogo zbyt nie zbliżyć.

Nie powinienem się tak zachowywać, pomyślałem. Jestem Kyle Kingsbury. Jestem kimś wyjątkowym. Nie powinienem być zmuszany do pałętania się po mrocznych alejkach, chowania za stertą śmieci, czekając, aż w końcu jakiś nieznajomy zawała „Potwór”.

Powinienem przebywać wśród ludzi. Mimo tego chowam się, uciekam, czaję i na szczęście przechodzę niezauważony. To było dziwne. Nikt mnie nie zauważył, nawet jeśli wydawało mi się, że patrzą prosto na mnie. Nieprawdopodobne.

Wiedziałem, gdzie chce iść. Gin Elliott, z mojej klasy z Tuttle, organizował najfajniejsze imprezy w SoHo, gdy jego rodzice byli poza domem. Zaglądałem do lustra, więc wiedziałem, że w ten weekend ich nie będzie. Nie mogłem iść na imprezę – nie jako nieznajomy i z pewnością nie jako ja, Kyle Kingsbury doprowadzony do niczego.

Ale pomyślałem, że może – tylko może – mógłbym postać na zewnątrz i pooglądać wchodzących i wychodzących ludzi. Jasne, mogłem oglądać ich z Brooklynu. Ale chciałem tu być. Nikt by mnie nie rozpoznał. Jedyne ryzyko jako podejmowałem to to, że ktoś mógłby mnie zobaczyć, schwytać, zamknąć jako potwora, a może nawet w zoo. Niemałe ryzyko. Lecz moja samotność dodawała mi odwagi. Mogę to zrobić.

I ludzie wciąż mijali mnie, patrząc i mnie nie widząc. Odważę się pojechać metrem? Odważyłem się. To była jedyna droga. Znalazłem stację, którą widziałem tyle razy z mojego okna, jednocześnie

odpychając wizję siebie w zamkniętego w klatce w zoo, podczas gdy moi przyjaciele przychodzili tam na szkolne wycieczki, by mnie oglądać. Kupiłem MetroCard i czekałem na następny pociąg.

Kiedy przyjechał, nie był zatłoczony. Było już po godzinach szczytu. Mimo tego usiadłem z dala od innych pasażerów, zajmując najgorsze miejsce w tyle. Obróciłem się w stronę okna. Jednak kobieta siedząca w pobliżu i tak przesunęła się na dalsze miejsce, kiedy usiadłem. Obserwowałem ją, a raczej jej odbicie w szybie, kiedy mnie mijiała, wstrzymując oddech. Jeśli tylko odwróciłaby trochę głowę, byłaby w stanie dojrzeć moje zwierzęce odbicie. Ale nie zrobiła tego, przeszła z trudem utrzymując równowagę przez pędzący pociąg i marszcząc nos, jakby wyczuła coś brzydkiego. Zajęła najdalszą część wagonu nie odzywając się ani słowem.

Wtedy się zorientowałem. Oczywiście! Chodziło o ciepło. W moim ciężkim płaszczu i szaliku wyglądałem jak bezdomny. I tak myśleli o mnie ludzie na ulicy i w pociągu. Dlatego na mnie nie patrzyli. Nikt nie patrzył na bezdomnych. Byłem niewidzialny. Mogłem chodzić po ulicach tak długo, jak długo trzymałem moją głowę w ukryciu tak, by nikt nic nie zauważył. W pewnym sensie byłem wolny.

Odważnie rozejrzałem się wokół. Nie napotkałem żadnego wzroku, to mnie upewniło. Wszyscy patrzyli w książki, na przyjaciół lub gdziekolwiek... indziej.

Dotarłem na Spring Street i wyszedłem na zewnątrz, już nie tak ostrożnie jak wcześniej. Ruszyłem przez jaśniejszą ulicę, poprawiając szalik i jednocześnie ignorując duszące uczucie. Moim największym lękiem była widząca mnie Sloane. Jeśli popełniłaby błąd, mówiąc o mnie innym, na pewno zrobiliby z niej pośmiewisko. A wtedy jej priorytetowym celem byłoby pokazanie mnie, by wiedzieli, że nie kłamię.

Dostałem się w pobliże apartamentu Gina. Przed wejściem stał odźwierny, więc nie mogłem wejść do środka. Zresztą i tak nie miałem takiego zamiaru. Chciałem trzymać się z daleka od światła, twarzy, faktu, że przyjęcie rozkręcało się beze mnie, jakby nic mnie to nie obchodziło.

Przed drzwiami był wielki klomb. Poczekalem, aż nie będzie nikogo w pobliżu i wtedy wśliznąłem się pomiędzy krzaki, sadowiac się w wygodnej pozycji. Powietrze wypełnił znajomy zapach, wyjrzałem za gałęzi. Czerwone róże. Will byłby dumny, że zauważyłem.

Przyjęcie zaczęło się prawdopodobnie około ósmej, ale mimo że była już dziewiąta, ludzie nadal przychodzili. Oglądałem to wszystko jakby przez ukrytą kamerę, widziałem rzeczy, których nie powinienem widzieć, dziewczyny ściągająca bieliznę spod obcisłych ubrań lub wciągające coś, zanim weszły do budynku, koleśi mówiących o tym, co mają w portfelach i z kim tego użyją. Mógłbym przysiąc, że kilku moich przyjaciół spojrzało prosto na mnie, ale nikt mnie nie zobaczył. Nikt nie krzyczał, „Potwór!”. Nikt nawet nie zdawał się czegokolwiek zauważyć. To sprawiało, że czułem się dobrze i jednocześnie źle w tym samym czasie.

I później przyszła ona. Sloane. Wymieniała płyny ustrojowe z Sullivan'em Clinton'em, jednym z ostatnich juniorów na głównym Publicznym Pokazie Sympatii²³, przewijającym się przed moim wzrokiem jak nisko budżetowy film. Mogli to zrobić nawet przede mną, bo w końcu byłem niewidzialny. Zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem naprawdę nie byłem. W końcu weszli do środka.

W taki sposób minęła dziewiąta. Ludzie przychodzili. Ludzie wychodzili. Około północy, zmęczony i zgrzany, zamierzałem zbierać się do domu. Ale wtedy usłyszałem znajomy głos, zaledwie kilka kroków od miejsca, w którym się ukrywałem.

- Ostre przyjęcie, co? – To był Trey.

Był z nim jeszcze jeden z moich byłych przyjaciół, Graydon Hart.

- Najlepsze – powiedział Graydon. – Nawet lepsze od tego w zeszłym roku.

- A które to było? – Odparł Trey. – Prawdopodobnie byłem zbyt skacowany, by zapamiętać.

Przykucnąłem bliżej ziemi, pragnąc by już poszli. Wtedy usłyszałem moje imię.

- Wiesz – ciągnął Graydon – no to, na którym Kyle Kingsbury przywlekl apatycznie wyglądająca laskę, która pół wieczoru spędziła z dłonią w jego spodniach.

Trey zaśmiał się.

- Kyle Kingsbury – imię z przeszłości. Stary dobry Kyle.

Poczułem, że się uśmiecham i robi mi się cieplej pod długim płaszczem.

- Tak, właściwie to co się z nim stało? – Spytał Graydon.

- Poszedł do prywatnej szkoły.

- Myślał, że jest dla nas zbyt dobry?

Gapiłem się na nich, szczególnie na Trey'a, czekając aż zacznie mnie bronić.

- To by mnie nie zdziwiło – powiedział Trey. – Zawsze myślał, że jest kimś ważnym, gdy tu był – Pan

Mój Ojciec Pracuje w Wiadomościach.

- Lubił się puszyć.

- Tak, cieszę się, że koleś się ulotnił – odpowiedział Trey.

Odwrociłem od nich twarz. W końcu odeszli. Moja twarz, moje uczy parzyły. To wszystko było kłamstwem – moi przyjaciele w Tuttle. Moje całe życie. Co by powiedzieli ludzie, gdyby mnie teraz zobaczyli, skoro nienawidzili mnie już, gdy byłem przystojny. Nawet nie pamiętam jak dotarłem do domu. Nikt mnie nie zauważył. Nikt się nie przejmował. Kendra miała rację, we wszystkim.

~*~*~

Znow byłem na MySpace.

- Pokaż mi Angelbaby1023 – powiedziałem do lustra.

Zamiast tego pokazało mi twarz Kendry.

- To nie zadziała, wiesz?

- Co tu robisz?

- Uwalniam się od twoich iluzji. Próbowanie poznania kogoś przez Internet, szukania prawdziwej miłości w ten sposób nie zadziała. Nie zadziała.

- Czemu do cholery nie? To znaczy, pewnie niektórzy z nich nie wiedzą co to znaczy, ale na pewno nie wszyscy...-

- Nie możesz się w kimś zakochać przez komputer. Nie naprawdę.

- Ludzie poznają kogoś online przez cały czas. Nawet biorą ślub.

- Poznać kogoś online to jedna rzecz, ale spotkać się z nim później w prawdziwym życiu i pokochać, to co innego. Przekonujesz się do kochania osoby, której nigdy nie widziałeś, która mieszka trzydzieści stanów stąd...-

- Jaka jest różnica? Mówiłaś, że wygląd nie ma znaczenia. Z Internetem naprawdę nie ma. Wszystko skupia się na osobowości. – Wtedy domyśliłem się w czym problem. – Po prostu jesteś zła, bo znalazłem sposób na obejście twojej klątwy. Bo mogę poznać kogoś nie przejmując się, że zacnie świrować na widok tego, co zrobiłaś z moim wyglądem.

- To nie o to chodzi. Rzuciłam klątwę, by dać ci lekcję. Jeśli się jej nauczysz, świetnie. Nie pojawiam się tu by cię wyrolować; staram ci się pomóc. Ale to po prostu nie wypali.

- Ale czemu?

- Bo nie możesz zakochać się w kimś, kogo nie znasz. Twój profil jest pełen kłamstw.

- Czytałaś moje maile. Czy to nie jest naruszenie...-

- „Kocham chodzić na imprezy z moimi przyjaciółmi...”-

- Przestań!

- „Mój ojciec i ja jesteśmy naprawdę blisko...”-

- Zamknij się! Zamknij się! Zamknij się! – Zakryłem uszy, lecz jej słowa nadal ze mnie szczyły. Chciałem stłuc lustro, monitor komputera, cokolwiek, ale było tak tylko dlatego, ponieważ wiedziałem, że to co mówi, jest prawdą.

Chciałem tylko by ktoś mnie pokochał, by ktoś złamał klątwę. Ale wszystko było na darmo. Jeśli nie mogłem poznać kogoś online, jak w ogóle mogłem kogoś poznać?

- Rozumiesz, Kyle? – Moje myśli owionął głos Kendry.

Odwrociłem wzrok, odmawiając odpowiedzi. Czuję, że mam ściśnięte gardło i nie chciałem, by to usłyszała.

- Kyle?

- Rozumiem – zawarczałem. – Proszę, możesz mnie teraz zostawić w spokoju?

~*~*~

Zmieniłem imię.

Nie było już żadnego Kyle'a. Nic po nim nie zostało. Kyle Kingsbury zmarł. Nie chciałem więcej jego imienia.

Wyszukałem znaczenie Kyle online i kliknąłem. Kyle znaczy „przystojny”. Ja nie byłem. Znalazłem imię, które znaczy „brzydki”, Feo (kto by tak nazwał swoje dziecko?), ale w końcu zatrzymałem się na Adrianie, co znaczy „mroczny”. To byłem ja, mroczny. Wszyscy – czyli Magda i Will – nazywali mnie od

teraz Adrian. Byłem ciemnością.

W ciemności również żyłem. Zacząłem spać w ciągu dnia, a spacerować ulicami i jeździć metrem w nocy, kiedy nikt nie mógł mnie zobaczyć. Skończyłem opowieść o Garbusie (wszyscy zginęli), więc przeczytałem Upiora w Operze. W książce – inaczej niż głupiej muzykalnej wersji Andrew'a Lloyd'a Webera – Upiór nie był jakimś niezrozumiałym skończonym durniem. Był mordercą, który przez lata terroryzował budynek opery, zanim porwał młodą śpiewaczkę, zmuszając ją do miłości. Został odrzucony.

Łapię to. Teraz wiem, jak to być zdesperowanym. Wiem, jak to jest, utknąć w ciemności, szukając przynajmniej małego ziarnka nadziei i nic nie znajdując. Znam to uczucie, gdy samotność jest tak ogromna, że mógłbyś dla niej zabić.

Marzyłem również o takiej operze. Marzyłem, że mam katedrę. Wyobrażałem sobie, jak wspinam się po State Building jak King Kong. Zamiast tego, posiadałem jedynie książki, książki i anonimowe ulice Nowego Jorku, z milionem głupich, kluczących po nich ludzi.

Zacząłem zaczajać się w alejkach pomiędzy barami, do których pary zapuszczały się na randki. Słyszałem ich chrząkania i westchnienia. Kiedy widziałem taką parę, wyobrażałem sobie, że jestem mężczyzną, a ręce dziewczyny spoczywają na mnie, jej ciepły oddech łaskocze moje ucho i więcej niż raz myślałem, jakby to było położyć pazury na karku mężczyzny, by go zabić i zabrać dziewczynę do mojej prywatnej kryjówki oraz uprawiać z nią sex, czy by tego chciała czy nie.

Nie zrobiłbym tego, ale przeraziłem się, że w ogóle nachodzą mnie takie myśli. Przeraziłem się siebie.

- Adrian, musimy porozmawiać.

Byłem ciągle w łóżku, kiedy wszedł Will. Zaglądałem przez okno, na ogród w którym posadził róże, moje oczy były na wpół zamknięte.

- Większość róż zwiędła, Will.

- Tak się dzieje z kwiatami. Mamy październik. Wkrótce wszystkie znikną aż do wiosny.

- Pomogę im, wiesz. Jeśli zobaczę, że jakiś kwiat jest się zwiędły, ale nie chce opaść, pomogę mu. Kolce nie są dla mnie dużym kłopotem. Uzdrowię się.

- Są więc jakieś plusy.

- Tak. Wydaję mi się, że pomagać im zginąć to dobry uczynek. Jeśli widzisz, że coś się zмага jak to, to nie powinieneś zmuszać go, by cierpiał. Nie sądzisz?

- Adrian...

- Czasami, marzę by ktoś mnie też tak pomógł. – Widziałem jak Will się na mnie patrzy. – Ale jest kilka takich czerwonych róż ciągle wspinających się po gałęziach. Nie spadną. Doprowadza mnie to do szału.

- Adrian, proszę.

- Nie chcesz rozmawiać o kwiatkach? Myślałem, że je lubisz, Will. Ty byłeś tym, który je zasadził.

- Lubię kwiaty, Adrian. Ale w tej chwili chciałbym porozmawiać o naszych relacjach nauczyciel-uczeń.

- Co z nimi?

- Nie mamy ich. Branie pieniędzy i nie robienie nic w zamian to kradzież.

- Pomyśl o tym jak o dystrybucji majątku. Mój ojciec jest bogatym draniem, który nie zasługuje na to, co ma. Ty jesteś biedny i potrzebujący. Wydaje mi się, że jest o tym książka.

Zauważyłem Pilota, siedzącego koło nóg Willa. Wyciągnąłem w jego kierunku ręce próbując do siebie przyciągnąć.

- Zresztą uczyłem się. Przeczytałem Dzwonnika, Upiora w Operze, Frankensteina. Teraz czytam Portret Dorian'a Gray.

Will uśmiechnął się.

- Wydaję mi się, że wyczuwam tu temat przewodni.

- Tematem jest ciemność – ludzie którzy żyją w ciemności. – Dalej wyciągałem ręce do Pilota. Durny pies nie chciał przyjść.

- Moglibyśmy omówić te książki. Masz jakieś pytania na temat...

- Ten koleś, Oscar Wilde – był gejem?

- Widzisz? Wiedziałem, że będziesz miał kilka ciętych spostrzeżeń, coś błyskotliwego, co przyczynia się...

- Nie pogrywaj ze mną, Will. Był czy nie?

- Słyszałem tylko pogłoski. – Will szarpnął za smycz Pilota. – Ten pies nie zamierza do ciebie przyjść, Adrian. Napawasz go wstrętem tak samo jak mnie, leżąc w łóżku, w tej samej piżamie cały wieczór.

- Co każe ci myśleć, że jestem w piżamie? – Byłem.
- Mogę cię wyczuć. Pies z pewnością. I obaj jesteście zniesmaczeni.
- Okej, za minutę się ubiorę. Zadowolony?
- Mógłbym być – teoretycznie – jeśli wzięłobyś prysznic.
- Okej, okej. Więc powiedz mi coś o Oscarze Wilde.
- Został postawiony przed sądem, po romansie jaki miał z jednym z lordowskich synów. Ojciec młodego mężczyzny powiedział, że Wilde zmusił jego syna do tego związku. Zmarł w więzieniu.

- Ja jestem w więzieniu – powiedziałem.

- Adrian...

- To prawda. Kiedy jesteś dzieckiem, mówią ci, że liczy się to, co masz w środku. Wygląd nie ma znaczenia. Ale to nieprawda. Kolesie jak Phoebus w Dzwonniku, lub Dorian, czy stary Kyle Kingsbury – mogą wykorzystywać kobiety i uchodzi im to na sucho, bo dobrze wyglądają. Bycie brzydkim to pewnego rodzaju więzienie.

- Nie wierzę w to, Adrian.

- Niewidomy koleś ma intuicję. Możesz w to wierzyć lub nie. To jest prawda.

Will westchnął.

- Adrian, możemy wrócić do książki?

- Kwiaty umierają, Will.

- Adrian. Jeśli nie przestaniesz spać przez całe dni i nie pozwolisz bym się uczył, złożę rezygnację.

Gapiłem się na niego. Wiedziałem, że jest na mnie zły, ale nigdy nie przypuszczałem, że mógłby odejść.

- Ale gdzie byś poszedł? – Spytałem. – Musi być ci ciężko znaleźć pracę, gdy jesteś... To znaczy mam na myśli, gdy jesteś...

- Jest ciężko. Ludzie myślą, że nie potrafisz nic robić i nie chcą dać ci nawet szansy. Wydaje im się, że jesteś tylko ciężarem. Raz podczas rozmowy kwalifikacyjnej miałem gościa, który powiedział: „Co jeśli będziesz szedł korytarzem i zranisz ucznia? Albo ugryzie kogoś pies?”

- Więc utknąłeś tutaj, ucząc takiego frajera jak ja.

Nie przytaknął, ani nie powiedział nie.

- Ciężko się uczyłem, bym mógł pracować, by nikt nie musiał mnie wspierać. Nie mogę się poddać.

Mówi o moim życiu. To jest to co robiłem, żyłem na koszt ojca, zawsze będę żył, jeśli nie wymyślę, jak złamać klątwę.

- Robisz to, co musisz robić – powiedziałem. – Ale nie chcę byś odchodził.

- Jest pewne rozwiązanie. Możemy wrócić do naszych wcześniejszych lekcji.

Przytaknąłem.

- Jutro. Nie dzisiaj, ale jutro. Dzisiaj jest jeszcze coś, co muszę zrobić.

- Jesteś pewny?

- Tak. Jutro. Obiecuję.

~~VII~~

Wiedziałem, że moje dni w których wychodziłem na ulicę Nowego Jorku, dobiegają końca. Póki robiło się zimno, ja – noszący płaszcz - wyglądałem mniej dziwnie, mniej bezdomnie. Więcej niż raz ktoś nawiązał ze mną kontakt wzrokowy i tylko dzięki mojemu szybkiemu refleksowi byłem w stanie odwrócić wzrok na tyle szybko, by gdy nieznajomy spojrzął jeszcze raz w moim kierunku, widział jedynie moje oddalające się plecy i myślał, że twarz bestii którą dopiero co ujrzał, była przewidzeniem, wymysłem wyobraźni.

Nie mogłem pozwolić sobie na takie wpadki. Zacząłem wychodzić później, kiedy ulice i metra były mniej zatłoczone, kiedy były mniejsze prawdopodobieństwo, że zostanę złapany. Ale to mnie za satysfakcjonowało. Chciałem być częścią życia, które toczyło się na tych ulicach.

A teraz na dodatek doszła do tego wszystkiego obietnica, którą złożyłem Willowi. Nie mogłem się włóczyć całą noc, a następnego dnia uczyć się i normalnie funkcjonować. I nie mogłem pozwolić, by Will odszedł.

To będzie długa zima. Ale dziś wiedziałem, że mogę wyjść, niczego się nie obawiając. To były jedyny dzień w roku, kiedy nikt nie spojrzy na mnie dwa razy. Halloween.

Zawsze kochałem Halloween. To było moje ulubione święto, odkąd skończyłem osiem lat, a Trey i ja

podjudzaliśmy starego Hinchey'a, który nie chciał wyjść ze swojego mieszkania, gdy dzwonił mi z okrzykiem – cukierek albo psikus – i oczywiście uchodziło nam to na sucho, ponieważ byliśmy dwoma spośród około dwustu tysięcy dzieciaków w mieście przebranych za Spider-Mana. Jeśli byłoby jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości co do faktu, że był to mój ulubiony dzień, to na pewno rozwiały się one, kiedy poszedłem na pierwszą szkolną imprezę, gdzie zostałem otoczony dziewczynami z Tuttle przebranymi za francuskie pokojówki w odkrywających to i owo finezyjnych fartuszkach.

I dalej było to moje ulubione święto, ponieważ dzisiejszego wieczoru, po raz pierwszy, wszystko może być normalne.

Nie myślałem zbyt o spotkaniu dziewczyny, która złamałaby kłutwę. Nie naprawdę. Chciałem tylko porozmawiać z jakąkolwiek dziewczyną, może zatańczyć z nią i poczuć, że mnie przytula, nawet jeśli miałyby to trwać tylko jedną noc.

W tej chwili stałem naprzeciwko szkoły, w której odbywała się impreza. To było piąte przyjęcie, o które dzisiaj zahaczyłem, ale kilka z nich miało tabliczkę z napisem: proszę, bez strasznych kostiumów. Nie chciałem sprawdzać, czy moja twarz jest zbyt ohydna. Musiała to być szkoła prywatna, ponieważ dzieciaki wyglądały na eleganckie i zadbane, ale nie było to też szkoła jak Tuttle, szkoła która miała znaczenie.

Przez drzwi, mogłem zobaczyć ludzi tańczących w słabo oświetlonej sali gimnastycznej. Niektórzy stali w grupach, a większość była sama. Na zewnątrz dziewczyna sprzedawała bilety, ale nie sprawdzała kart ID²⁴. Doskonałe przyjęcie by się na nie wbić.

Więc dlaczego nie wchodziłem?

Stałem kilka metrów od biletera, który był obrany jak Doroty z Czarodzieja z krainy Oz, wyjątek stanowiły włosy i tatuaże. Obserwowałem ludzi – szczególnie dziewczyny – którzy wchodziłi. Nikt za bardzo się na mnie nie patrzył, co było dobre. Rozpoznałem wszystkie podstawowe typy – cheerleaderki i laski, które leciały na kasę, przyszłych policjantów i aktualnych, dowcipnisiów, dzieciaki, które poszły do szkoły by zabić czas. I ludzi, którzy nie należeli do żadnej grupy. Stałem przed drzwiami, obserwując ich przez długi czas.

- Odjazdowy kostium.

DJ grał „Monster Mash” i niektórzy ludzie zaczęli tańczyć.

- Hej, mówię do ciebie. To naprawdę ekstra kostium.

To była dziewczyna sprzedająca bilety. Dorothy. Tłum wokół niej się przeredził, ponieważ większość weszła już do środka. Byliśmy sami.

- Och. Dzięki. – To był pierwszy raz, gdy rozmawiałem z kimś w moim wieku od miesiąca. – Twój też jest fajny.

- Dzięki. – Uśmiechnęła się i wstała, więc mogłem zobaczyć jej fantazyjne pończochy.

- Nazywam to „ Definitywnie, Nigdy Więcej Kansas”.

Zaśmiałem się.

- A tatuaże są prawdziwe?

- Nie, ale ufarbowałam włosy. Nie powiedziałam jeszcze o tym mojej mamie, choć zrobiłam to już w zeszłym miesiącu. Myśli, że to spray. Więc podczas siedemdziesiątych piątych urodzin mojej niani w przyszłym tygodniu, będzie ubaw.

Zaśmiałem się. Nie była brzydka, a jej nogi wyglądały gorąco w tych pończoszkach.

- Więc wchodzisz?

Potrząsnąłem głową.

- Mam się z kimś tutaj spotkać.

Czemu to powiedziałem? Oczywiście, zdałem test. Ta dziewczyna myślała, że mam naprawdę wymyślny kostium. Powinienem kupić bilet i wejść.

- Och – powiedziała, zerkając na zegarek. – Okej.

Stałem tam przez następne piętnaście minut, obserwując. Teraz gdy powiedziałem jej, że na kogoś czekam, nie mogłem zmienić tej historii i wejść do środka. To, co powinienem zrobić, to odejść, udając, że zostałem wystawiony i już nie wracać, iść gdzie indziej. Lecz coś – światła, muzyka, tańczący ludzie – sprawiało, że chciałem zostać, nawet jeśli nie mogłem wejść do środka. Właściwie, to lubiłem być na zewnątrz. Wiatr orzeźwiał moją twarz.

- Wiesz, co najbardziej lubię w twoim kostiumie? – Powiedziała dziewczyna.

- Co?

- Podoba mi się to, jak nosisz na nim zwykle ubrania, jakbyś był pół mężczyzną, pół potworem.
- Dzięki. Przerabialiśmy potwory w literaturze na lekcjach angielskiego – Upiór w Operze, Dzwonnik z Notre Dame, Dracula. Następny będzie Niewidzialny Człowiek. Poza tym uważałem, że będzie ekstra iść jako mężczyzna, który zmienił się w bestię.

- Fajnie. Bardzo kreatywnie.

- Dzięki. Wziąłem stary strój goryla i zmodyfikowałem go.

- Czyje się te zajęcia?

- Um, Mr... Ellison. – Starłem się określić ile miała lat. Gdzieś w moim wieku, nie starsza. – Dwunasty stopień naukowy.

- Będę musiała spróbować i się do niego dostać. Jestem jedynie drugoklasistką.

- Ja... - powstrzymałem się przez powiedzeniem, że ja też. – Ja naprawdę lubię jego zajęcia.

Staliśmy następną minutę. W końcu, powiedziała:

- Słuchaj, zazwyczaj nie robię takich rzeczy, ale wygląda na to, że twoja dziewczyna cię wystawiła, a moja zmiana kończy się za pięć minut. Może poszedłbyś ze mną na imprezę?

Uśmiechnąłem się.

- Pewnie.

- To jest naprawdę dziwaczne.

- Co takiego?

- Nie wiem. Jest tak jakby twoja maska miała niemal mimiczne ekspresje, jakbyś się uśmiechnął.

Wyciągnęła rękę.

- Jestem Bronwen Kreps.

Uścisnąłem ją.

- Adrian... Adrian... King.

- Jak prawdziwa. – Miała na myśli mój dłoń. – To naprawdę dziwne.

- Dzięki. Pracowałem nad tym tygodniami, składając razem kawałki innych kostiumów i rzeczy.

- Wow, naprawdę musisz kochać Halloween.

- Tak. Jako dzieciak byłem strasznie nieśmiały. Lubiałem udawać, że jestem kimś innym.

- Tak, ja też. Właściwie, dalej jestem nieśmiała.

- Naprawdę? Nigdy bym się nie domyślił, patrząc na sposób, w jaki do mnie zagadałaś.

- Och, to – powiedziała. – Cóż, twoja dziewczyna cię wystawiła. Wydałeś mi się bratnią duszą.

- Bratnia dusza, huh? – Uśmiechnąłem się. – Możliwe.

- Przestań tak robić.

Miała na myśli mój uśmiech. Była dziwne wyglądającą dziewczyną o białej skórze i farbowanych włosach – nie ten typ który kiedykolwiek założyłby dziwkarski francuski strój pokojówki. Prawdopodobnie jej rodzice pracowali w teatrze lub czymś takim. Kilka miesięcy temu, totalnie bym ją splawił. Teraz rozmowa z kimkolwiek była przeżyciem.

Przyszła następna dziewczyna przejmując zmianę Bronwen, więc poszliśmy na tańce. Teraz gdy stała, a jej włosy nie zasłaniały widoku, zobaczyłem, że ma na sobie bezrękawnik z dużym dekoltem a jej spódniczka miała tak wysokie wcięcie, że wyglądała całkiem seksownie. Na jej lewej piersi widniał tatuaż pająka.

- To jest mój ulubiony – powiedziałem, muskając go, licząc, iż myśli, że dotykam ją fałszywą, gumową dłonią i nie będzie miała nic przeciwko.

- Przez godziny siedziałam na tyłku – powiedziała. – Chodź zatańczyć.

- Która jest godzina?

- Prawie północ.

- Godzina czarownic. – Poprowadziłem ją na parkiet. Szybka piosenka, która przed chwilą była grana zmieniła się na wolną, więc przyciągnąłem ją do siebie.

- Więc jak naprawdę wyglądasz pod tym kostiumem? – Spytała.

- Czemu? To ma znaczenie?

- Po prostu zastanawiałam się, czy już cię wcześniej widziałam.

Wzruszyłem ramionami.

- Nie wydaje mi się. Nie wyglądasz znajomo.

- Może nie. Uczęszczasz na wielu kółek pozalekcyjnych?

- Uczęszczałem – powiedziałem, przypominając sobie, co mówiła Kendra o kłamstwach. – Lecz teraz

głównie czytam. I uprawiam ogród.

- Uprawianie ogrodu to dziwne hobby, przynajmniej tutaj.

- Mam mały ogród za swoim domem. Lubię oglądać jak rosną róże. Myślałem o wybudowaniu szklarni, bym mógł oglądać je również zimą.

Kiedy to powiedziałem, zorientowałem się, że naprawdę planuję to zrobić.

- To jest ekstra. Nigdy wcześniej nie spotkałam chłopaka, który przejmowałby się kwiatami.

- Każdy potrzebuje piękna w swoim życiu. – Przyciągnąłem ją bliżej, czując jej ciepło na mojej klatce piersiowej.

- Ale tak na poważnie, Adrian, jak wyglądasz?

- A co, jeśli wyglądałbym jak Upiór w Operze lub coś takiego?

- Hmm – zaśmiała się. – Był całkiem romantyczny – Music of the Night i reszta. Niemalże chciałem, żeby Christina z nim była. Myślę, że wiele kobiet by chciało.

- A co jeśli ja wyglądam tak naprawdę? – Wskazałem kierunku mojej potwornej twarzy.

Zaśmiała się.

- Zdejmij maskę i daj mi spojrzeć.

- A co, jeśli jestem bardzo przystojny? Czy to zmieniałoby postać rzeczy?

- Może troszeczkę...

Kiedy zmarszczyłem brwi, powiedziała:

- Żartuje. Oczywiście, że nie.

- Więc nie ma to znaczenia. Proszę, po prostu ze mną tańcz.

Nadęła wargi, ale powiedziała:

- Okej.

I tańczyliśmy coraz bliżej siebie.

- Ale jak odnajdę cię w piątek w szkole? – Wyszepiała do mojego ucha. – Naprawdę cię lubię, Adrian. Chcę cię znowu zobaczyć.

- Odnajdę cię. Będę się za tobą rozglądał na korytarzu i cię znajdę...-

Wsunęła swoją dłoń pod kołnierz mojej koszulki i zaczęła grzebać w poszukiwaniu zamka od maski.

- Hej, przestań!

- Chciałam tylko zobaczyć.

- Przestań! – Szarpnąłem się. Lecz ona nadal trzymała mnie za szyję.

- Jak to się...?

- Przestań! – Słowa przeszły w ryk. Ludzie gapili się na nas, na mnie. Odepchnąłem ją, ale byliśmy zbyt zaplątani, więc potknęła się, ostatecznie chwytając się za mój kark. Chwyciłem jej ramię wykręcając do tyłu. Usłyszałem potworny trzask. Później jej krzyk.

Uciekłem, jej krzyki nadal dzwoniły w moich uszach, póki nie dotarłem do metra.

Mr. Anderson: Dziękuję, że wróciliście również i w tym tygodniu. Zdecydowałem, że tematy będą otwarte ze względu na to, że ostatnimi razami trudno było przy którymkolwiek zostać na dłużej.

Grizzlyguy: Mam ważne oświadczenie.

Froggie: Nit nie słyszał wieści od Silent.

Grizzlyguy: Jestem w środku! Śpię w mieszkaniu!! Wpuścili mnie.

BeastNYC: Kto wpuścił???

Grizzlyguy: Te dwie dziewczyny... zabrały mnie do środka.

Froggie: To wpaniale Grizz!!!

BeastNYC: <- strasznie zazdrosny

Mr. Anderson: Opowiesz na o tym, Grizzlyguy?

Grizzlyguy: Pierwszej nocy gdy mnie wpuścili, spałem na macie w łazience. Kiedy nikogo nie zjadłem, domyślałem się, że stwierdziły, iż będzie okej, gdy będę tam wracał każdej nocy.

BeastNYC: To świetnie!

SilentMaid dołączyła do czatu.

Froggie: Czc Silent

SilentMaid: Witaj, Froggie. Cześć wszystkim. Nigdy nie zgadniecie skąd właśnie piszę.

BeastNYC: Skąd? (rozmawiasz ze mną, czy dalej jesteś zła?)

SilentMaid: Tak, rozmawiam ze wszystkimi. Piszę z jego domu!

Froggie: Domu? Wszyscy dostają se do dmow.

BeastNYC: To świetnie!

Froggie: A ja dalej tkwie w sadzawc.

SilentMaid: Spotkałam go na tańcach w klubie. Tańczył ze mną. Nie mam głosu, ale mogę tańczyć, a jemu się to spodobało, nawet jeśli bołą mnie stopy. Namówił rodziców do tego, by pozwolili mi spać na sofie w gabinecie. Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, ale oczywiście chcę, by było z tego coś więcej.

Grizzlyguy: Oczywiście.

SilentMaid: Poszliśmy razem żeglować, a później na długi spacer.

Grizzlyguy: No właśnie, teraz możesz chodzić.

BeastNYC: Jak to jest?

SilentMaid: Jest mi ciężko. Moje stopy krwawią i krwawią, ale zachowuję się tak, jakby to nie było nic wielkiego, ponieważ nie chcę, by poczuł się źle. Kocham go naprawdę bardzo mocno, nawet jeśli nazywa mnie niemą.

Mr. Anderson: Głupią?

BeastNYC: Co za palant. Nie jesteś głupia²⁵.

SilentMaid: Niemy to niezdolny do rozmowy. Niemowa. Nie jako głupi.

BeastNYC: Nadal mi się to nie podoba.

SilentMaid: Poza tym, wydaje mi się, że wszystko zmierza w dobrym kierunku. Przepraszam, że tak się o sobie rozgadałam. A jak idzie pozostałym?

Grizzlyguy: Ty śpisz na sofie, a ja muszę spać na macie!

Froggie: Daej zero skaknia, to znaczy jet skakani ale zadnej NADZEI.²⁶

BeastNYC: To samo tu. Czekam aż coś się wydarzy.

Rozdział 4

~Intruz w Ogrodzie~

~~I~~

Siedem miesięcy później.

Podniosłem płatek z mojego sekretarzyka i wyrzucając przez okno przypatrywałem się jak wiruje w dół. Minał jeden rok.

Od nocy Halloween, rozmawiałem jedynie z Will'em i Magdą. Nie byłem na zewnątrz. Nie oglądałem promieni słonecznych z wyjątkiem chwil w różanym ogrodzie.

Pierwszego listopada, powiedziałem Will'owi, że chcę zbudować szklarnię. Nigdy wcześniej niczego nie budowałem – nawet karmnika dla ptaków czy pudełka na chusteczki na obozie Lecz teraz nie miałem nic poza czasem i Amex card²⁷ mojego ojca.

Kupiłem więc książki o szklarni, roślinach, które się w niej sadzi i materiałach potrzebnych do jej budowy. Nie chciałem taniego, plastikowego szajsu. Dodatkowo potrzebowałem by ściany były solidne na tyle by ukryć mnie przed wzrokiem innych. Budowałem szklarnię sam, na parterze za moim apartamentem. Była tak duża, że zajmowała całe podwórko. Magda i Will pomogli mi robiąc, wszystko co musiało być zrobione z zewnątrz. Pracowałem w ciągu dnia gdy większość sąsiadów była w pracy.

Przyszedł grudzień i budowa była zakończona. Parę tygodni później wszystko zaczęło kwitnąć, z gałęzi wyrastały żółtawe liście, później zielone pąki. Z pierwszym śniegiem wszystko było w pełny rozkwicie, czerwone róże wygrzewały się w promieniach zimowego słońca.

Róże stały się moim życiem. Dodawałem nowe donice i grządki póki ogród cały nie utonął w tysiącach kwiatów, palecie barw, różnorodnych kształtach, krzyżówkach róż pnących i herbacianych, tych fioletowych w kształcie kabaczków, które rozmiarem dorównywały mojej dłoni i tych miniaturok, co ledwo osiągały wielkość mojego kciuka. Kochałem je. Nie przeszkadzały mi nawet kolce. Wszystkie żyjące stworzenia potrzebują ochrony.

Przestałem grać w gry wideo, przestałem podglądać życie innych w lustrze. Nigdy nie otwierałem

okien, nigdy nie wyglądałem na zewnątrz. Cierpliwie nosiłem moje sesje z Will'em (nie nazywałem ich już lekcjami; wiedziałem, że nigdy nie wrócę do szkoły), a później spędzałem resztę dnia w ogrodzie, czytając lub patrząc na moje róże.

Czytałem również książki ogrodnicze. Czytanie stało się dla mnie perfekcyjnym rozwiązaniem, ponieważ znajdowałem w nich informacje na temat najlepszych nawozów i gleb. Szkodników nie pozbywałem się za pomocą pestycydów czy zraszania, tylko zmywałem je za pomocą wody z mydłem i pilnowałem przez ponowną inwazją. Ale nawet mając setki kwiatów, byłem świadomy małych śmierci, które przynosił każdy poranek. Jedna po drugiej róże więdły. Oczywiście, były zastępowane przez następne ale to nie było to samo. Każde krucha roślina, rozkwitała by wieść życie jedynie w szklarni a później umierała. W tym stopniu byliśmy podobni.

Pewnego dnia, kiedy wyrwałem z donicy kilku zmarłych przyjaciół, weszła Magda.

- Tak myślałam, że cię tu znajdę – powiedziała. Miała ze sobą miotłę i zaczęła zmiatać z posadzki kilka opadłych liści.

- Nie, przestań – powiedziałem. – Ja lubię to robić. To jest część mojej codziennej pracy.

- A dla mnie nie ma żadnej. Nigdy nie używasz swojego pokoju, więc nie mam nic to sprzątnięcia.

- Przygotowujesz mi posiłki. Robisz zakupy. Kupujesz odżywki dla roślin. Pierzesz moje rzeczy. Nie mógłbym żyć tak jak żyję gdyby nie ty.

- Ty przestałeś żyć.

Wyrwałem białą różę z donicy.

- Raz powiedziałaś, że się o mnie obawiasz. Nie rozumiałem, co miałaś na myśli, ale teraz rozumiem. Bałaś się, że nigdy nie będę w stanie docenić piękna, między innymi tych róż.

Wręczyłem jej jedną. Było to dla mnie trudne zrywać je wiedząc, że w ten sposób szybciej zginą. Ale nauczyłem się pozwalać im odejść. A odeszło już tak wiele.

- Tamtego wieczoru, na tańcach, była dziewczyna. Dostała ode mnie różę i była taka szczęśliwa. Nie rozumiałem, dlaczego tak się przejmowała zwykłym kwiatkiem, głupią różą, która gubiła płatki. Ale teraz rozumiem. Teraz całe piękno mojego starego życia przepadło, pożądam go jak jedzenia. Piękne rzeczy - jak te róże – niemalże chcę je pożreć, połknąć wszystkie, by zastąpić piękno, które straciłem. Tak jak ta dziewczyna.

- Więc nie będziesz... nie zamierzasz spróbować przełamać klątwy?

- Mam tutaj wszystko, czego potrzebuję. Mogę nigdy nie złamać klątwy. – Kiwnąłem ręką, by podała mi miotłę. Wyciągnęła ją w moim kierunku smutno potakując głową.

- Dlaczego tu jesteś, Magda? – Spytałem, zamiatając. To było coś, nad czym się zastanawiałem. – Co robisz tutaj w Nowym Jorku, sprzątnięcie po dzieciaku takim jak ja? Nie masz rodziny?

Mogłem o to pytać, ponieważ wiedziała o mojej rodzinie, a raczej o tym, że żadnej już nie miałem. Wiedziała, że mnie porzucili.

- Mam rodzinę w moim kraju. Mój mąż i ja przyjechaliśmy tutaj, by zarobić pieniądze. Byłam nauczycielką, ale nie było tam dla mnie żadnej pracy. Więc przybyliśmy tutaj. Lecz mój mąż nie dostał zielonej karty i musiał wrócić. Ciężko pracuję, by móc wysyłać im pieniądze.

Przestałem zmiatać liście na szufelkę.

- Masz dzieci?

- Tak.

- Gdzie są?

- Dorosły. Beze mnie. Są teraz starsze od ciebie, mają swoje dzieci, których nigdy nie widziałam.

Podniosłem zwiędłe liście.

- Więc wiesz jak to jest, nikogo nie mieć?

Pokiwała głową.

- Tak.

Wzięła ode mnie miotłę i szufelkę.

- Ale jestem już stara; moje życie jest starsze. Kiedy dokonałam decyzji, której dokonałam, nie wiedziałam, że tak już będzie na zawsze. Inną rzeczą jest poddawać się tak młodo.

- Nie poddałem się – powiedziałem. – Po prostu zdecydowałem, że poświęcę życie moim różom.

Tej nocy spojrzełem w lustro. Wziąłem je z pokoju na piątym piętrze, gdzie je wcześniej zastawiłem, pośród starych rupieci.

- Chcę zobaczyć Kendrę – powiedziałem.

Zajął to kilka minut, ale kiedy się w końcu pokazała, wyglądała według mnie na szczęśliwą.

- Dawno się nie widzieliśmy – powiedziała.

- Dlaczego gdy chcę zobaczyć ciebie, zajmuję to tak długo, a gdy wymieniam innych, lustro pokazuje mi ich od razu?

- Ponieważ czasami robię coś, czego nie powinieneś oglądać.

- Jak co? Coś w łazience?

Rzuciła mi groźne spojrzenie.

- Sprawy czarownic.

- Jasne. Łapię. – Lecz pod nosem zaśpiewałem – Kendra korzysta z nocnika.

- Wcale nie!

- A więc co robisz, kiedy nie mogę cię zobaczyć? Przemieniasz ludzi w żaby?

- Nie. Głównie podróżuję.

- Amerykańskie linie lotnicze czy projekcja astralna?

- Komercyjne linie są skomplikowane. Nie mam karty kredytowej, a najwidoczniej płacenie gotówką w oczach ochrony robi ze mnie niebezpieczną osobę.

- Przecież taką jesteś, nie? Pomyślałbym, że pokręcisz po prostu nosem i wysadzisz w powietrze samolot lub coś takiego.

- Od tego jest marszczenie brwi. Poza tym, mogę podróżować w czasie, również na swój sposób.

- Naprawdę?

- Jasne. Mówisz, że chcesz pojechać do Paryża zobaczyć Notre Dame. Ale co byś powiedział, gdybyś mógł zobaczyć jak jest budowany? Lub Rzym za czasów Juliusza Cezara?

- Możesz zrobić to, a nie możesz cofnąć klątwy? Hej, możesz mnie zabrać?

- Odmawiam. Gdybym włóczyła się z bestią u boku, od razu wiedzieliby, że jestem wiedźmą. A w tych czasach wiedźmy były palone. Dlatego preferuję ten wiek. Jest bezpieczniejszy. Ludzie robią dużo dziwnych rzeczy, szczególnie w Nowym Jorku.

- A możesz robić inne magiczne rzeczy? Mówiłaś, że jest ci przykro z powodu klątwy. Możesz wyświadczyć mi przysługę w ramach zadośćuczynienia?

Zmarszczyła brwi.

- Jakiego typu?

- Moi przyjaciele, Magda i Will.

- Twoi przyjaciele? – wyglądała na zaskoczoną. – Co z nimi?

- Will jest świetnym nauczycielem, ale nie może dostać dobrej posady – mam na myśli pracę inną niż siedzenie i uczenie mnie – ponieważ nikt nie chce zatrudnić niewidomego. A Magda pracuje naprawdę ciężko, by wysłać pieniądze swoim dzieciom i wnukom, ale nie może ich zobaczyć. To niesprawiedliwe.

- Świat składa się z nieuczciwości – powiedziała Kendra. - Kiedy stałeś się taki dobroczynny, Kyle?

- Adrian, nie Kyle. A oni są moimi przyjaciółmi, moimi jedynymi przyjaciółmi. Wiem, że dostają pieniądze za to, by tu przebywali, ale są dla mnie mili. Nie możesz cofnąć tego, co mi zrobiłaś, ale możesz uczynić coś dla nich – spraw by Will znowu widział i sprowadź tu Magdy rodzinę, lub wyślij ją do nich, w ostateczności może chociaż na wakacje?

Gapiła się na mnie przez sekundę, a później potrząsnęła głową.

- To byłoby niemożliwe.
- Dlaczego? Posiadasz niewiarygodne moce, nieprawdaż? Czy istnieje jakiś wiedźmowaty kodeks, który mówi, że możesz zmieniać ludzi w bestie, ale nie możesz im pomóc?
- Myślałem, że to zamknie jej buzię, ale ona powiedziała:
- Cóż, tak. W pewnym sensie. Rzecz w tym, że nie mogę spełniać życzeń tylko dlatego, że ktoś mnie o coś poprosił. Nie jestem dżinem. Jeśli starałabym się zachowywać jak jeden z nich, mogłabym skończyć tak jak on, w lampie.
- Oh. Nie wiedziałem, że jest tyle zasad.
- Wzruszyła ramionami.
- Tak. Jest do kitu.
- Tak więc, gdy po raz pierwszy chcę coś dla kogoś innego, nie mogę tego mieć.
- Już się zgodziłam, że jest do kitu. Poczekaj chwilę. – Zamigotała po czym pojawiła się z wielką księgą. Przewertowała kilka stron. – Jest tu napisane, że mogę wyświadczyć ci przysługę tylko wtedy, jeśli jest to związane z czymś, co musisz zrobić.
- Jak co?
- Cóż, powiedzmy, że jeśli złamiesz klątwę, znajdę cię i pomogę Madzie i Willowi. To brzmi okej.
- To jest tak samo jakbyś mówiła: nie. Nigdy nie złamię klątwy.
- A chcesz?
- Nie. Pragnę być dziwadłem do końca życia.
- Dziwadło z pięknym różanym ogrodem...
- ... jest nadal dziwadłem – powiedziałem. – Lubię ogrodnictwo. Ale jeśli wyglądałbym normalnie, nadal mógłbym się zajmować ogrodem.
- Kendra nie odpowiedziała. Znów spoglądała w księgę. Uniosła brew.
- A teraz co?
- Może to nie jest takie beznadziejne – powiedziała
- Jest.
- Nie wydaje mi się – odpowiedziała. – Czasami może się wydarzyć coś niespodziewanego.

~*~

Tej nocy leżąc na łóżku i balansując na granicy snu a jawy, usłyszałem trzask. Zaciśnąłem ręce na uszach, licząc, że to coś pomoże. Lecz za chwilę usłyszałem odgłos rozbijającego się szkła i w pełni się obudziłem. Szklarnia. Ktoś był w mojej szklarni, moim jedynym sanktuarium. Ruszyłem do salonu nawet się nie ubierając, i z rozmachem otworzyłem drzwi prowadzące do ogrodu.

- Kto śmie przeszkadzać moim różom?

Dlaczego to powiedziałem?

Szklarnia była skąpana w świetle księżycy i ulicznych latarni, a w jednej z szyb widniała dziura. W kącie zauważyłem cień. Wybrał kiepskie wejście, w pobliżu kraty. Gdy się wyłamywała, musiała spaść. Leżała więc teraz na podłodze, różane pnącza były połamane, a wszędzie w koło wałała się ziemia.

- Moje róże! – Skoczyłem w kierunku cienia w tym samym czasie, gdy on ruszył do dziury w ścianie. Lecz moje zwierzęce nogi były dla niego za szybkie, za silne. Wbiłem pazury w miękkie ciało na jego udzie. Wydał z siebie skowyt.

- Puść mnie! – wrzeszczał. – Mam broń! Strzelę!

- Śmiało.

Nie miałem pojęcia, czy byłem odporny na kule. Ale mój gniew pulsował, wzburzając mi krew w żyłach niczym ogień, czynił mnie silnym, odbierał zdrowy rozsądek. Straciłem wszystko, co było do stracenia. Jeśli straciłbym również moje róże, równie dobrze mógłbym umrzeć. Rzuciłem nim o posadzkę, następnie chwyciłem jego ręce przyciskając do podłogi i zerknąłem w ich kierunku.

- Tym chciałeś mnie zastrzelić? – Zawarczałem, wymachując łomem, który wyrwałem z jego uścisku. Uniosłem go do góry. – Bang!

- Proszę! Puść mnie! – Krzyczał. – Błagam, nie pożeraj mnie. Zrobię wszystko!

Wtedy przypomniałem sobie jak wyglądam. Myślał, że byłem potworem. Myślał, że zmielę jego kości, by upiec chleb. I może byłem, i to zrobię. Zaśmiałem się, chwytając go za kurtkę i ustawiając do pionu. Trzymając go za ramię moją wolną łapą, zaciągnąłem go na schody, pierwsze piętro, potem drugie, aż do piątego, do okna. Wystawiłem za nie jego głowę. W świetle księżycy mogłem zobaczyć jego twarz.

Wyglądała znajomo. Prawdopodobnie po prostu widziałem go na ulicy.

- Co zamierzasz zrobić? – wyjąkał facet.

Nie mam pojęcia. Ale powiedziałem:

- Mam zamiar cię wyrzucić, śmieciu.

- Proszę. Błagam nie. Nie chcę umierać.

- Nie obchodzi mnie, co chcesz. – Nie zamierzałem go wyrzucić, nie naprawdę. Ponieważ to sprowadziłoby tu policję, a z nią pytania, nie mogłem na to pozwolić. Nie mogłem nawet zadzwonić na policję, żeby go aresztowała. Ale chciałem go wystraszyć, wystraszyć na całe życie. Zranił moje róże, jedyną rzecz, jaka mi została. Chciałem, żeby ze strachu zaczął sikać w gacie.

- Wiem, że cię to nie obchodzi!

Facet się trząsał. Zdałem sobie sprawę, że nie tylko ze strachu, ale dlatego że trzeźwiało. Ćpun. Włożyłem rękę do jego kieszeni w poszukiwaniu narkotyków. Wiedziałem, że tam będą. Wyciągnąłem je razem z jego prawem jazdy.

- Proszę! – dalej błagał. – Pozwól mi żyć! Dam ci wszystko, czego chcesz.

- A co masz, czego bym chciał?

Zaczął się wić i zastanawiać.

- Narkotyki. Możesz zatrzymać te! Mogę załatwić ci więcej – wszystkie, jakie chcesz! Mam dużo klientów.

Ah. Mały biznesmen.

- Nie biorę narkotyków, dupku – To była prawda. Zbyt się bałem, że gdy będę na haju zrobię coś głupiego, jak wyjście na zewnątrz. Wywlekłem go bardziej za okno.

Krzyknął.

- W takim razie pieniądze.

Złapałem go ciasno za szyję.

- I co bym zrobił z pieniędzmi?

Zaczął się dusić, płakać.

- Proszę... musi coś być.

Ciaśniej.

- Nie masz nic, czego bym chciał.

Próbował mnie kopnąć bu uciec.

- Chcesz dziewczynę? – zaczął się mocniej dusić. Płakać.

- Co? – Niemal zwniłem uchwyt, ale w porę się opamiętałem i złapałem mocniej. Wrzasnął.

- Dziewczyna? Chcesz dziewczynę?

- Nie pogrywaj ze mną. Ostrzegam cię...

Ale mógł dostrzec moje zainteresowanie. Szarpnął się.

- Mam córkę.

- Co z nią? – Poluźniłem mój uścisk i wczułgał się do środka.

- Moja córka. Możesz ją mieć. Tylko pozwól mi odejść.

- Mogę co? – gapiłem się na niego.

- Możesz ją mieć. Przyprawdę ją do ciebie.

Kłamał. Kłamał, żeby puścić go wolno. Jaki ojciec oddałby swoją córkę? Bestii? Jednak nadal...

- Nie wierzę ci.

- To prawda. Córka. Jest piękna...

- Opowiedz mi o niej. Powiedz mi coś, bym wiedział, że mówisz prawdę. Ile ma lat? Jak ma na imię?

Zaśmiał się, jakby wiedział, że mnie ma.

- Ma szesnaście lat, tak mi się wydaje. Nazywa się Lindy. Kocha... książki, czytać, głupie rzeczy.

Proszę, po prostu ją weź, zrób z nią co chcesz. Weź moją córkę, ale puść mnie wolno.

Zacząłem mu wierzyć. Dziewczyna! Szesnastoletnia dziewczyna! Naprawdę ją tu przyprowadzi? Czy mogła być dziewczyną dla mnie, której potrzebowałem? Pomyślałem o słowach Kendry. Czasami może zdarzyć się coś nieoczekiwanego.

- Na pewno będzie jej lepiej bez ciebie – Powiedziałem. Potem zdałem sobie sprawę, że naprawdę w to wierzę. Każdemu byłoby lepiej bez takiego ojca. Mógłbym jej pomóc. Ostatecznie, to było coś, co próbowałem sobie wmówić.

- Masz rację. – Śmiał się przez łzy. – Będzie jej lepiej, więc weź ją.

Zdecydowałem.

- W ciągu tygodnia przyprowadzisz tutaj swoją córkę. Zostanie ze mną.

Teraz się śmiał.

- Jasne. Absolutnie. Teraz pójdę i sprowadzę ją z powrotem.

Wiedziałem, jaką grę prowadzi.

- Ale nie myśl, że możesz odejść i mnie oszukać. – Znów wystawiłem jego głowę za okno, dalej niż wcześniej. Krzyknął, jakbym go miał zamiar wypchnąć, ale wskazałem tylko w dół sprzęt monitorujący wokół szklarni. – Mam kamery naokoło całego domu, które zarejestrowały co zrobiłeś. Mam twoje prawo jazdy, narkotyki. I mam coś jeszcze.

Jego włosy były długie i tłuste. Chwyciłem go za nie i zawlokłem do komody gdzie trzymałem lustro.

- Chcę zobaczyć jego córkę, Lindy.

Tafla lustra zmieniła się, z mojej groteskowej twarzy, w łóżko i leżącą na nim śpiącą dziewczynę. Obraz wyostrzył się. Ujrzałem długi, czerwony warkocz. Później jej twarz. Lindy. Lindy Owens ze szkoły, ta z różą, ta, którą oglądałem w lustrze. Linya. To ona była tą dziewczyną. Podetknąłem lustro pod twarz tego śmiecia.

- To ona?

- Jak ty...?

Teraz powiedziałem do lustra:

- Chcę zobaczyć adres, pod którym mieszka.

Obraz powędrował do drzwi, później na tabliczkę z nazwą ulicy.

- Nie możesz uciec – Pokazałem mu. – Gdziekolwiek pójdiesz, będę dokładnie wiedział, gdzie jesteś.

– Spojrzałem na jego licencję. – Danielu Owens, jeśli nie wrócisz, znajdę cię, a konsekwencje będą okropne.

Konsekwencje będą okropne? Raaany, kto tak mówi?

- Mógłbym pójść na policję – powiedział.

- Ale tego nie zrobisz.

Zwlokłem go z powrotem na dół, do szklarni.

- Rozumiemy się?

Przytaknął.

- Przyprowadzę ją. - Wyciągnął rękę, i zdałem sobie sprawę, że stara się odzyskać swoje prawo jazdy i narkotyki, które trzymałem. – Jutro.

- Za tydzień – powiedziałem. – Potrzebuję czasu, by wszystko przygotować. Tymczasem zatrzymam to sobie, by mieć pewność, że wrócisz.

Wtedy go puściłem i pomknął w ciemność, jak złodziej którym był. Po tym jak odprowadziłem go wzrokiem, zszedłem na dół. Niemalże skakałem z podekscytowania.

Linda.

Na trzecim piętrze spotkałem Willa.

- Słyszałem jakiś rumor – Powiedział. – Lecz pomyślałem, że będzie lepiej byś załatwił to na swój sposób.

- I myślałeś słusznie – Uśmiechałem się. – Wkrótce będziemy mieli gościa. Będziesz mi potrzebny do kupienia kilku rzeczy, by czuła się tu swobodnie.

- Ona?

- Tak, Will. To dziewczyna. Dziewczyna, która może złamać klątwę, która może... mnie pokocha. – Niemal się zakrztusiłem wypowiadając te słowa. To było takie beznadziejne. – To moja jedyna szansa.

Przytaknął.

- Skąd wiesz, że to właśnie ona jest tą jedyną?

- Ponieważ musi być. – Pomyślałem o jej ojcu, zdolnym oddać córkę za narkotyki i wolność. Prawdziwy ojciec powiedziałby: nie, nawet jeśli miałby iść za kratki. Mój ojciec pewnie postąpiłby tak samo jak jej. – I dlatego, że ona również nikogo nie obchodzi.

- Rozumiem – powiedział Will. – A kiedy się tu zjawi?

- Za tydzień. – Pomyślałem o narkotykach, które ciągle spoczywały w mojej kieszeni. – Prawdopodobnie szybciej. Będziemy musieli się sprężyć. Ale wszystko musi być perfekcyjne.

- Domyślam się co to oznacza – powiedział Will.

- Tak. Karta kredytowa ojca.

~III~

W następnych dniach pracowałem ciężiej niż w całym moim życiu, nad dekoracją pustego apartamentu na trzecim piętrze. Pokoju Lindy. Meble, które pokrył kurz i puste półki przypominały mi, że ojciec nie zamierzał mnie odwiedzać.

Teraz przemieniłem to wszystko w perfekcyjną sypialnię dla dziewczyny i bibliotekę, wysyłając Willa po meble z katalogu, farby, tapetę, wszystko.

- I twoim zdaniem to jest w porządku? – powiedział Will. – Zmuszanie jej, by tutaj zamieszkała? Nie wiedziałem, że kiedykolwiek będę brał udział w...-

- Porwaniu?

- Cóż, tak.

- Nie widziałeś tego gościa, Will. Włamał się, prawdopodobnie by ukraść rzeczy i mieć pieniądze na kokę. A później by wykręcić się z kłopotów, zaoferował mi swoją córkę. Może robił to już wcześniej – pomyślałeś kiedykolwiek o tym? Tak więc, zgodziłem się. Przecież wiesz, że nie zamierzam zrobić jej nic złego. Chcę ją pokochać.

Boże, brzmiałem jak Upiór z Opery.

- Nadal uważam, że to nie w porządku. Może ty widzisz w tym korzyści. Ale co z nią?

- Co masz na myśli? Jeśli jej ojciec oddał ją mnie, to skąd pewność, że nie oddałby jej komuś innemu? Sprzedał jako niewolnika? Lub coś gorszego, tylko by zdobyć kokę? Ja wiem, że nie zamierzam jej skrzywdzić, ale czy możesz być pewny, że inny facet tego nie zrobi?

Will kiwał głową, więc wiedziałem, że również o tym pomyślał.

- A skąd wiesz, że ona będzie tą odpowiednią, w której się zakochasz? - spytał Will. – Jeżeli jej ojciec jest dupkiem?

Ponieważ ją obserwowałem.

- To jest moja jedyna szansa. Muszę ją pokochać – Odpowiedziałem mu. – A ona musi odwzajemnić moją miłość, albo jestem skończony.

Jeśli mogła pokochać taką ofiarę losu jak jej ojciec, to może mogłaby spojrzeć poza mój wygląd i mnie również pokochać.

Minęły trzy dni. Wybrałem koce i poduszki pasujące do obić. Wyobrażałem sobie, jak zapada się w łóżko, najwspanialsze, jakie kiedykolwiek miała. Kupiłem piękne, orientalne dywaniki, kryształowe lampy. W tych dniach ledwo mogłem zmrużyć oczy, więc pracowałem od czwartej rano do późnej nocy. Pokój do nauki zmieniłem na bibliotekę i pomalowałem w odcieniach ciepłej żółci z białymi akcentami. Do jej sypialni wybrałem tapetę w różę, które tworzyły kratę. Pomógł mi Will, i Magda, ale tylko ja pracowałem do nocy.

W końcu, pokój wyglądał perfekcyjnie. Dalej nie byłem zdolny uwierzyć, że tu przyjdzie, ale zrobiłem więcej. Z pomocą lustra odwiedziłem jej dom i zajrzałem do szafy, później przez Internet kupiłem w Macy Juniors ubrania w jej rozmiarze. Umieściłem to wszystko w szafie w jej nowych pokojach. Kupiłem też książki – setki książek – i poustawiałem je na półkach sięgających sufitu. Wszystko zamówiłem w internetowych księgarniach wliczając w to kilka moich ulubionych powieści. Moglibyśmy o nich rozmawiać. Byłoby wspaniale mieć kogoś w moim wieku, z kim mógłbym porozmawiać, nawet jeśli tematem miałyby być książki.

Każdego wieczoru dostawałem kolejne przesyłki z UPS²⁸ i każdego ranka pracowałem długo oraz ciężko, malując, szlifując i dekorując. Wszystko musiało być perfekcyjne. Może wtedy spojrzę poza moją brzydotę i znajdzie tu trochę szczęścia i spróbuje mnie pokochać.

Nie rozmyślałem, jak to będzie wyglądać. Że być może mnie znienawidzi, za to, że zabrałem ją od ojca. Wszystko musi się udać.

Wieczorem szóstego dnia stałem naprzeciwko pokoi, które będą jej. Nadal musiałem naprawić szklarnię, moją piękną oazę. Na szczęście na dworze był ciepło, więc mogłem zająć się tym później. Na razie studiowałem pokój. Podłogi zostały nawoskowane do perfekcji i błyszcząły koło dywaników w odcieni zieleni i złota. W powietrzu można było wyczuć cytrynowy odświeżacz i zapach róż. Wybrałem żółte, które jak czytałem symbolizowały radość, przyjaźń i obietnicę nowego początku. Ustawiłem je w kryształowych wazach i porozstawiałem w całym apartamencie.

W jej imieniu zasadziłem nowe róże, żółte miniaturki nazywane „Mała Linda”. Nie mogłem żadnej ściana, ale zamierzałem jej je pokazać, gdy pierwszy raz odwiedzi szklarnię. Wkrótce. Miałem nadzieje, że

się jej spodobała. Wiedziałem, że tak.

Podszedłem do drzwi i używając cienkiego i małego pędzelka, którego koniec zanurzyłem w złotej farbie, wykończyłem dekorowanie drzwi. W moim dawnym życiu nigdy nie byłem zbyt zręczny w tych sprawach, ale to było ważne. Perfekcyjny napisy głosił: Pokój Lindy [ozdobną czcionką].

Kiedy wróciłem do swojego pokoju, wziąłem do ręki lustro, które znów trzymałem przy moim łóżku.

- Chcę zobaczyć Lindę – spróbowałem.

Ujrzałem ją. Spała, ponieważ było już po pierwszej w nocy. Jedna mała, mocno podniszczona walizka stała koło drzwi. Naprawdę tu przyjdzie.

Położyłem się i pograżyłem w doskonałym śnie, pierwszy raz od ponad roku – wolnym od nudy, niepowodzeń, wyczerpania. W śnie oczekiwania.

Jutro zjawi się tutaj Linda. Wszystko może się zmienić.

~~IV~~

Ktoś pukał. Ktoś pukał! Nie mogłem otworzyć. Nie chciałem jej przestraszyć już podczas naszego pierwszego spotkania. Zostałem w moich pokojach, ale miałem zamiar za pomocą lustra obserwować jak Will wprowadza ją do środka.

- Gdzie on jest? – To był ten śmieć, jej ojciec. Ale gdzie była dziewczyna?

- Gdzie jest kto? – Zapytał Will, jak zwykle przykład serdeczności i opanowania.

Facet zawahał się i w tym momencie po raz pierwszy zauważyłem, że była razem z nim, stojąc za jego plecami. Mimo, że padał na nią jego cień, mogłem zobaczyć, że płakała.

To naprawdę była ona. Uświadomiłem sobie, że tak naprawdę nigdy w to nie wierzyłem.

Linda. Linda. Naprawdę tu była!

Na pewno spodobała się jej róża. Tak naprawdę, to ona była pierwszą osobą, która nauczyła mnie je doceniać. Może mimo wszystko powinienem tam jednak do niej zejść, przywitać się, pokazać jej pokój i szklarnię. Wtedy usłyszałem jak mówi:

- Mój ojciec doszedł do szalonego wniosku, że mieszka tutaj potwór i zamknie mnie w lochach.

Potwór. Tym byłbym dla niej, jeśli zszedłbym na dół. Nie, najpierw pozwolę żeby zobaczyła dom, swój piękny pokój i różę, zanim będzie musiała na mnie spojrzeć.

- Nie ma tu żadnego potwora, panienko. Ostatecznie żadnego, którego mógłbym zobaczyć – Will zachichotał. – Mój pracodawca jest młodym mężczyzną, którego natura – jak mi powiedziano – nie obdarzyła zbytnią urodą. Przez to nie wychodzi na zewnątrz. To wszystko.

- W takim razie jestem wolna? Mogę odejść? – zapytała Linda.

- Oczywiście. Ale mój pracodawca zawarł układ z twoim ojcem i wierzę, że twoja obecność tutaj pozwoli uniknąć nieprzyjemnego kłopotu, jakim byłoby poinformowanie odpowiednich władz o przestępstwie, jakim zaszło kilka dni temu. Co mi przypomniało... - sięgnął do kieszeni i wyciągnął paczuszkę, którą zabrałem intruzowi. – Twoje narkotyki, sir?

Linda zabrała od niego paczkę.

- Więc o to tu chodzi? Kazałeś mi tutaj przyjść tylko po to, żebyś z powrotem otrzymał swoją działkę?

- Uchwycił mnie na kamerze, dziewczyno. Ja się włamuję.

- Zgaduję, że to nie było pierwsze wykroczenie – powiedział Will. Po wyrazie jego twarzy mogłem powiedzieć, że sprawdził gościa swoim szóstym zmysłem i

pomyślał o nim dokładnie to samo, co ja wcześniej. – Wierzę, że już same narkotyki mogłyby pociągnąć za sobą poważne konsekwencje.

Facet pokiwał głową.

- Minimalny wyrok – 15 lat życia.

- Życia? – Lindy odwróciła się do Willa. – I zgodziłeś się na to... by mnie więzić?

Wstrzymałem oddech czekając na odpowiedź Willa.

- Mój pracodawca ma swoje powody. – Will wyglądał, jakby chciał położyć rękę na ramieniu Lindy lub coś takiego, by dodać jej otuchy, lecz powstrzymał się. Prawdopodobnie wyczuł, że dziewczynie by się to nie spodobało. – I będzie cię traktował cóż – prawdopodobnie lepiej niż... Posłuchaj, jeśli chcesz odejść, śmiało, ale szef ma wszystko na taśmie i nie zawaha się pójść z tym na policję.

Dziewczyna spojrzała na ojca. W jej oczach można było dojrzeć błaganie.

- Lepiej niczego nie próbuj. – Porwał woreczek z jej rąk. – Ja to wezmę.

I bez żadnego „do widzenia” wyszedł, trzaskając za sobą drzwiami. Linda stała, gapiąc się na miejsce,

w którym jeszcze przed chwilą stał. Wyglądała, jakby za chwilę miała rzucić się na podłogę. Will powiedział:

- Proszę, panienko. Mogę powiedzieć, że miałaś ciężki dzień, nawet jeśli jest dopiero dziesiąta. Chodź. Pokazać ci twoje pokoje?

- Pokoje? Liczba mnoga?

- Tak, panienko. Są naprawdę piękne. Pan Adrian – młody mężczyzna, u którego jestem zatrudniony – pracował bardzo ciężko, by wszystko ci się spodobało. Kazał mi powiedzieć, że jeśli będziesz miała jakiegokolwiek potrzeby – wszystko oprócz telefonu i Internetu – bez wahania masz mówić. Chce, żebyś była tutaj szczęśliwa.

- Szczęśliwa? – Głos Lindy był niski. – Mój strażnik myśli, że będę szczęśliwa? Tutaj? Jest szalony?

Wzdrygnąłem się w moim pokoju na słowo strażnika.

- Nie, panienko.

Will obszedł ją i używając klucza zamknął drzwi. Czysta formalność. Liczyłem, że zostanie by chronić ojca. Odgłos zamykających się zamków był dla mnie okropny. Byłem porywaczem. Nie chciałem jej porywać, ale to był jedyny sposób, żeby ją tutaj zatrzymać.

- Jestem Will. Do twoich usług. I Magda, pomoc domowa, którą spotkasz na górze. Idziemy?

Zaoferował jej swoje ramię. Nie wzięła go, ale rzucając ostatnie spojrzenie, ruszyła za nim na górę..

Obserwowałem, jak Will zaprowadza ją i otwiera drzwi. Jej policzki i oczy były zaczerwienione od płaczu. Wchodząc, wstrzymała oddech, spoglądając na meble, obrazy, ściany pomalowane na dokładnie ten sam odcień żółci, co róże w kryształowych wazach. Przyglądała się ogromnych rozmiarów łóżku z fantazyjną pościelą. Podeszła do okna.

- Jest za daleko do ziemi by skoczyć, nieprawdaż? – Dotknęła grubego szkła.

Stojący za nią Will powiedział:

- Tak, istotnie. A okna nie otwierają się tak szeroko. Prawdopodobnie gdy dasz temu wszystkiemu szansę, przekonasz się, że życie tutaj nie jest takie okropne.

- Nie takie okropne? Czy kiedykolwiek byłeś więźniem? Jesteś teraz?

- Nie.

Przyglądałem się jej badawczo. Pamiętałem ją z dnia balu. W tamtym czasie pomyślałbym, że jest bezdomna, z jej rudymi włosami, piegami i złym uzębieniem. Zęby się nie zmieniły, ona tak samo, wyglądała zwykle. Byłem wdzięczny, że nie była piękna, tak jak powiedział jej ojciec. Ktoś piękny nikt nie mógłby spojrzeć poza moją brzydotę. Może ta dziewczyna mogła.

- A ja tak – powiedziała. – Przez szesnaście lat byłam więźniem. Ale kopałam dla siebie tunel. Złożyłam podanie i dostałam stypendium w jednej z najlepszych prywatnych szkół w mieście. Każdego dnia musiałam jeździć tak pociągiem. Bogate dzieciaki ignorowały mnie, ponieważ nie byłam jedną z nich. Uważali mnie za wyrzutka. Może mieli rację. Ale ciężko się uczyłam, by dostać najwyższe stopnie. Wiedziałam, że jest to jedyne wyjście, by uciec od mojego życia, dostać stypendium, iść na studia, wydostać się stąd. Ale zamiast tego, by uchronić mojego ojca od więzienia, musiałam utknąć tu jako więzień. To nie jest sprawiedliwe.

- Rozumiem – powiedział Will.

Wiedziałem, że musi być pod wrażeniem sposobu, w jaki się wypowiadała. Użyła nawet metafory o tunelu. Była naprawdę mądra.

- Czego ode mnie chce? – Załkała dziewczyna. – Bym dla niego pracowała? Sprzedając swoje ciało?

- Nie. Nie pozwoliłbym na to gdyby tak było.

- Naprawdę? – Wyglądała, jakby jej trochę ulżyło, ale powiedziała – Więc, po co?

- Myślę... - Will zatrzymał się. – Wiem, że jest samotny.

Gapiła się na niego, ale nic nie powiedziała.

W końcu, on się odezwał:

- Dam ci teraz czas byś odpoczęła i zapoznała się z nowym domem. W południe Magda przyniesie ci twój lunch. Wtedy możesz ją poznać. Jeśli będziesz czegoś potrzebować, poproś i będzie twoje.

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Dalej obserwowałem Lindę, jak przemierza pokój, dotykając poszczególnych przedmiotów. Jej wzrok spoczął dłużej na wazie z różami. Wybrała jedną, rozkwitającą, która moim zdaniem była najładniejsza. Na moment przybliżyła ją do swojego nosa wachając, potem do policzka. W końcu włożyła z powrotem do wazonu. Ruszyła dalej, otwierając drzwiczki i szuflady. Garderoba nie wywarła na niej żadnego

wrażenia, ale przed drzwiami do biblioteki przystanąła i wstrzymała oddech.

Podniosła głowę, wpatrując się w regały sięgające sufitu. Wcześniej rzuciła mi się w oczy jej praca domowa, więc starałem się kupić rzeczy, które mogłyby się jej spodobać, nie tylko powieści, ale i książki na temat fizyki, religii, filozofii oraz kopie dla mnie, bym mógł przeczytać wszystko, co zwróci jej uwagę.

Zacząłem pracować nad bazą danych, układając wszystkie książki według tytułów, autorów, tematów, jak w prawdziwej bibliotece, ale nie była jeszcze skończona.

Wspięła się na drabinkę i sięgnęła po książkę, potem następną. Trzymała je blisko siebie, jak ochronny kocyk albo tarczę. To, jakby nie było, był jakiś sukces. Zaniosiła książki do sypialni, kładąc na nocny stolik. Później opadła na łóżko i zaczęła szlochać.

Chciałem ją pocieszyć, ale wiedziałem, że nie mogłem, nie teraz. Miałem nadzieję, że pewnego dnia zrozumie.

~*~*~

W południe Magda przyniosła Lindzie lunch. Widziałem ją w lustrze. W niektóre dni Magda zamawiała jedzenie na wynos, ponieważ tęskniłem za fast foodami. Ale dzisiaj poprosiłem ją, by dla dziewczyny przygotowała coś specjalnego, jak chrupiące sandwicze i fantazyjna zupa. Zastawa była ozdobiona różowymi różami. W kryształowym kieliszku stała woda, a nóż i widelec były z najwyższej jakości srebra. Posiłek wyglądał przepysznie.

Przeglądałem się temu wszystkiemu przez lustro. Dziewczyna nawet nie spojrzała na jedzenie i gdy Magda przyszła z powrotem wzięła nietkniętą tacę.

Linda usiadła na łóżku, czytając książkę, którą wcześniej wybrała. Sprawdziłem tytuł. Sonety Szekspira.

Bałem się zapukać do drzwi. Wiedziałem, że kiedyś będę musiał wykonać ruch, ale ciągle zastanawiałem się, jak to zrobić, by jej nie przerazić. Czy gdybym krzyknął: Proszę wpuść mnie do środka, a obiecuję, że cię nie zjem", byłoby za dużo? Prawdopodobnie tak.

Prawdopodobnie wystraszyłaby się już samego brzmienia mojego głosu. Ale chciałem by wiedziała, że jeśli wyjdzie, będę dla niej miły.

W końcu, napisałem do niej liścik.

Droga Lindy,

Witaj! Nie bój się. Mam nadzieję, że będzie ci wygodnie w Twoim nowym domu. Jeśli cokolwiek byś chciała, wystarczy poprosić. Dopilnuję, byś od razu to dostała. Żywię nadzieję, że spotkamy się dziś wieczorem na kolacji. Chcę, byś mnie polubiła.

Adrian King

Usunąłem ostatnie zdanie, wydrukowałem, a później wsunąłem w szparę pod drzwiami jej pokoju. Zaczekałem, obawiając się poruszyć, by nie wydać żadnego dźwięku. Minutę później liścik wrócił z powrotem. Słowo NIE było napisane wielkimi literami przechodzącymi na skos przez całą kartkę.

Stałem tam dłuższą chwilę, myśląc. Może powinienem pisać do niej listy jak romantyczni bohaterowie i sprawić, by tym sposobem się we mnie zakochała? Nie ma mowy. Nie byłem pisarzem. I jak mógłbym ją pokochać, skoro oglądałbym ją jedynie w lustrze? Muszę sprawić by ze mną porozmawiała. Podeszedłem do drzwi i zapukałem, miękko i delikatnie. Kiedy nie odpowiedziała spróbowałem jeszcze raz, głośniej.

- Proszę – padła odpowiedź. – Nie ma nic, czego bym chciała. Po prostu odejdz!

- Przyszedłem z tobą porozmawiać – powiedziałem.

- Kto... kto mówi?

- Adrian... - Kyle... właściciel tego domu... bestia, która tu mieszka. – Nazywam się Adrian. To ja...

To ja trzymam cię tu jak więźnia.

- Chciałem cię poznać.

- Ale ja nie chcę poznać ciebie! Nienawidzę cię!

- Ale... podobają ci się pokoje? Starałem się, by wszystko było perfekcyjne.

- Zwariowałeś? Porwałeś mnie! Jesteś porywaczem.

- Wcale nie. Twój ojciec mi cię dał.

- Był do tego zmuszony.

To mnie wkurzyło.

- Ta, jasne. Włamał się do mojego domu. Powiedział ci o tym? Okradał mnie. Mam to wszystko na taśmie. A później, zamiast wziąć na siebie karę jak mężczyzna, przyprowadził cię, by się od niej

wywnąć. Był skłonny cię sprzedać, by uratować własny tyłek. Nie zamierzam się skrzywdzić, ale on o tym nie wiedział. Wszystko co wiedział, a raczej wydawało mu się, że wie to to, iż zamierzam trzymać cię w klatce.

Nic nie powiedziała. Zastanawiałem się, co jej takiego powiedział, by zatuszować prawdę.

- Co za śmieć – wymamrotałem, odchodząc.

- Bądź cicho! Nie masz prawa! – Uderzyła mocno w drzwi, może pięścią, może czymś innym, na przykład butem.

Boże, ale byłem głupi. Oczywiście, to nie było najmądrzejsze z mojej strony. Czy wcześniej zawsze mówiłem, zanim pomyślałem? Możliwe, ale uchodziło mi to na sucho. Póki nie spotkałem Kendry.

- Posłuchaj, przepraszam. Nie miałem tego na myśli. – Głupek, głupek, głupek.

Nie odpowiedziała.

- Słyszałaś mnie? Powiedziałem, że mi przykro.

Nadal nic. Zapukałem w drzwi, zawołałem ją po imieniu. W końcu, odszedłem. Godzinę później, dalej siedziała w swoim pokoju, a ja gapiłem się w podłogę, zastanawiając się, co powinienem powiedzieć.

Nawet jeśli ją porwałem, to co? I tak nie miała nic do stracenia. Ten dom był lepszy niż cokolwiek, co kiedyś miała czy sobie wyobrażała. Ale czy była wdzięczna? Nie. Nie wiem, czego oczekiwałem, ale z pewnością nie tego.

Poszedłem do Willa.

- Chcę by wyszła. Możesz to zrobić?

- A jak miałbym tego dokonać?

- Powiedz jej, że chcę by wyszła, że musi.

- Że jej rozkazujesz? Tak samo jak rozkazałeś jej ojcu, by ją tu przyprowadził? To zadziałało całkiem... dobrze.

Nie myślałem o tym w taki sposób, ale tak. Wydaje mi się, że to jest to czego chciałem.

- Tak.

- I twoim zdaniem jak się z tym poczuje?

- Jak się poczuje? A co z tym jak ja się czuję? Przez cały tydzień pracowałem, by czuła się tu dobrze, by było jej wygodnie, a ta niewdzięczna.... dziewczyna... ona nie wychodzi nawet by się ze mną zobaczyć?

- Zobaczyć cię? Ona nie chce oglądać osoby, która zabrała ją z jej domu, od ojca. Adrian, trzymasz ją jak więźnia!

- Z dała od marnego życia jej ojca. – Nie powiedziałem Willowi o lustrze, o tym, że wcześniej ją obserwowałem i widziałem, że ojciec ją bije. – Lepiej jej bez niego. I nie chcę by była tutaj więźniem. Chcę...-

- Ja wiem, czego chcesz, ale ona nie. Nie dostrzega róż w wazonach, ani sposobu, w jaki pomalowała ściany. Widzi jedynie potwora, a nawet jeszcze na ciebie nie spojrziała.

Moja ręka powędrowała do twarzy, ale wiedziałem, że Will miał na myśli moje zachowanie.

- Potwora – kontynuował – który sprowadził ją, Bóg wie w jakim celu – by zabić we śnie lub trzymać jako niewolnika. Jest przerażona, Adrian.

- Okej, rozumiem. Ale jak mogę sprawić by wiedziała, że to nie jest powód dla którego ją tutaj trzymam?

- Naprawdę pytasz mnie o radę?

- A widzisz tu kogoś innego?

Will skrzywił się.

- Nie. Nikogo. – Przybliżył się do mnie. Znalazł moje ramię i, w końcu, położył na nim rękę. – Nie każ jej niczego robić. Jeśli chce zostać w swoim pokoju, pozwól jej. Spraw by zobaczyła, że respektujesz jej prawo wyboru.

- Jeśli zostanie w swoim pokoju, nigdy nie pozna prawdziwego mnie.

Will poklepał mnie po plecach.

- Trochę cierpliwości. Daj temu szansę.

- Dzięki. To było pomocne. – Odwróciłem się i zacząłem odchodzić. Jednak zatrzymał mnie głos Willa.

- Adrian.

Odwróciłem się.

- Czasami pomaga również, gdy schowasz swoją dumę.

- Oczywiście – powiedziałem – dumnie mówimy papa.

Ale godzinę później znów stukałem w drzwi Lindy. Nie pokażę dumy, jedynie wyrzuty sumienia. Było to trudne, ponieważ nie chciałem jej zostawić. Nie mogłem.

- Idź sobie! – Krzyknęła. – To, że mnie tutaj trzymasz nie oznacza, że pozwolę...

- Wiem – odpowiedziałem. – Ale nie mogę po prostu... Nie możesz przez chwilę mnie posłuchać?

- A mam wybór? – spytała.

- Tak. Tak, masz wybór. Masz milion wyborów. Możesz mnie wysłuchać, albo powiedzieć, żebym się pieprzył. Możesz ignorować mnie do końca życia. Masz rację. Przychodząc tutaj, wszystko straciłaś. Nie musimy być przyjaciółmi.

- Przyjaciółmi? Tak to nazywasz?

- To jest na co... - zatrzymałem się. To żalosne. Nie mogłem powiedzieć, że to było to, na co liczyłem, że nie mam żadnych przyjaciół i chciałem – tak strasznie chciałem – by ze mną porozmawiała, by ze mną była, powiedziała coś, co sprawiłoby, że zacząłbym się śmiać i sprowadziło z powrotem do prawdziwego świata, nawet jeśli nie miało to dla niej znaczenia. Jakimże byłbym frajerem, gdyby to powiedział.

Pamiętałem, co na temat dumy mówił Will.

- Miałem nadzieję, że pewnego dnia moglibyśmy zostać przyjaciółmi. Oczywiście, zrozumiałem, jeśli nie będziesz chciała, jeśli ... - zakrztusiłem się na słowach: brzydzisz się mną, napawam cię odrazą, przerażam. – Słuchaj, to co musisz wiedzieć to to, że nie jem ludzkiego mięsa ani nic takiego. Ja jestem człowiekiem, nawet jeśli na niego nie wyglądam. I nie zamierzam cię zmuszać do niczego, czego byś nie chciała, z wyjątkiem zostania tutaj. Mam nadzieję, że wkrótce zdecydujesz się stamtąd wyjść.

- Nienawidzę cię!

- Tak, wspominałaś już o tym. – Jej słowa były niczym bicz, ale kontynuowałem. – Will i Magda pracują tutaj. Jeśli chcesz, Will może cię uczyć. Magda będzie ci robić posiłki, sprzątać pokój, robić zakupy, pranie, co tylko będziesz chciała.

- Nic... nie chcę. Chcę z powrotem swoje życie.

- Wiem – powiedziałem pamiętając, co Will wspominał o jej uczuciach. Myślałem nad nimi ponad godzinę, o tym, że może rzeczywiście przejmuje się losem swojego okropnego ojca w ten sam sposób – cholera, nienawidziłem tego przyznawać – jak ja przejmowałem się losem mojego.

- Mam nadzieję – zatrzymałem się, myśląc nad tym i zdecydowałem, że Will miał rację. – Mam nadzieję, że będziesz czasami wychodzić, ponieważ... - Nie mogłem wykrztusić następnych słów.

- Ponieważ co?

Uchwyciłem moje odbicie w szkłe obrazu wiszącego na przedpokoju i nie mogłem tego powiedzieć. Nie mogłem.

- Nic.

Godzinę później kolacja była gotowa. Magda zrobiła wspaniale pachnące arkoz con polio. Na moją prośbę zapukała do Lindy przynosząc jej tacę.

- Nie chcę żadnej kolacji – padła odpowiedź Lindy. – Żartujesz sobie?

- Przyniosłam ci tacę – powiedziała Magda. – Zjesz to u siebie?

Pauza, a potem:

- Tak. Tak, proszę. Tu będzie dobrze. Dziękuję.

Zjadłem kolację, jak zawsze, z Magdą i Willem. Po posiłku powiedziałem:

- Idę do łóżka.

Posłałem Willowi spojrzenie mówiące: Zrobiłem wszystko, co powiedziałaś i nie zadziałało. Mimo, że nie mógł go zobaczyć powiedział:

- Cierpliwości.

Ale nie mogłem zasnąć wiedząc, że była dwa piętra nade mną, czując jej nienawiść sączącą się przez otwór wentylacyjne, ściany, podłogi. To nie było to, czego bym chciał. Nigdy się nie uda.

Byłem bestią i umrę jako bestia.

~*~*~

- Myślałem nad czymś, co mogłoby być pomocne – powiedział Will dzień po jej przybyciu.

- Co to takiego? – zapytałem.

- Cisza. Jeśli zostawisz ją w spokoju, prawdopodobnie wyjdzie.

- To może być powód, przez który nie jesteś oblegany przez dziewczyny.

- Mówienie do niej nie pomogło, nieprawdaż?

Musiałem przyznać, że miał rację, więc zdecydowałem się dostosować do jego słów. Co mnie najbardziej przerażało to to, że mnie jeszcze nie widziała. Co powie, gdy mnie zobaczy?

W następnych dniach milczałem. Linda została w swoim pokoju. Obserwowałem ją w lustrze. Jedynymi rzeczami które polubiła, były książki i róże. Przeczytałem każdą książkę, która i ona przeczytała. Siedziałem do późna w nocy, by nadażyć za jej tempem. Nawet nie próbowałem ponownie nawiązać z nią rozmowy. I każdej nocy, gdy byłem już tak zmęczony, że książka wypadła z moich rąk, leżałem na łóżku, czując jej nienawiść, jak zjawę przemierzającą nocą puste korytarze. Może to był zły pomysł. Ale jaki miałem inny wybór?

- Niedoceniałem jej – powiedziałem Willowi.

- Tak, to prawda.

Spojrzałem na niego zaskoczony.

- Ty też tak uważasz?

- Zawsze tak uważałem. Ale powiedz mi, Adrian, dlaczego tak sądzisz?

- Myślałem, że będzie pod wrażeniem rzeczy, które jej kupiłem, piękne meble, ubrania. Jest biedna, więc myślałem, że jeśli kupię jej biżuterię i ładne błyskotki, da mi szansę. Ale ona nie chciała żadnej z tych rzeczy.

Will uśmiechnął się.

- Nie, nie chciała. Chce po prostu swoją wolność. A ty nie?

- Tak. - Pomyślałem o Tuttle, o tańcach, o tym jak powiedziałem Trey'owi, że szkolne bale są po prostu zalegalizowaną prostytutką. To wydawało się tak dawno temu. – Nigdy nie spotkałem kogoś, kogo nie można by było kupić. To sprawia, że trochę ją lubię.

- Chciałbym, by zrozumienie były wystarczające, by złamać klątwę. Pod tym względem jestem z ciebie dumny.

Jestem z ciebie dumny. Nigdy wcześniej, nikt mi tego nie powiedział i przez sekundę zapragnąłem ucisnąć Willa, tylko by poczuć dotyk innej ludzkiej istoty. Ale to byłby bardzo dziwne.

Tej nocy leżałem dłużej niż zazwyczaj, nasłuchując odgłosów, jakie wydawał stary dom. „Osiedlenie”, tak niektórzy ludzie to nazywali. Ale nagle wydało mi się, że usłyszałem odgłos kroków, gdzieś na górze. Miałem omamy? Niemożliwe. Ale nadal nie mogłem zasnąć.

W końcu, wstałem i poszedłem na drugie piętro do salonu. Włączyłem ESPN²⁹ naprawdę cicho by jej nie wkurzyć. Choć wcześniej przychodziłem tu w samych bokserkach, teraz założyłem jeansy i koszulkę, nawet jeśli miała zamiar zostać w swoim pokoju już na zawsze. Nie chciałem podejmować ryzyka, że mogłaby zobaczyć więcej niż moją twarz, która była wystarczająco okropna.

Byłem tak znudzony, że już niemal zasypiałem, kiedy usłyszałem skrzypienie drzwi. Czy mogła to być ona? W holu? Prawdopodobnie to tylko Magda, albo nawet włączący się Pilot. Jednak wydawało mi się, że odgłos dochodzi z następnego piętra, piętra Lindy.

Zmusiłem się, by nie sprawdzać i przykleić oczy do telewizora, by nie przeraziła się, widząc w ciemności moją twarz. Czekałem.

To była ona. Usłyszałem, że jest w kuchni, grzechocze talerzem i widelcem, opłukuje, a potem wkłada do zmywarki. Chciałem jej powiedzieć, że nie musi tego robić, bo to było zajęcie Magdy, płaciliśmy jej za to. Siedziałem jednak cicho. Ale kiedy usłyszałem jej kroki w salonie, tak blisko, że mogła mnie dostrzec, nie mogłem się powstrzymać.

- Siedzę tutaj – powiedziałem miękko. – Chcę żebyś wiedziała i się nie wystraszyła.

Nie odpowiedziała, ale jej oczy podążyły w moim kierunku. Światło w pokoju były niewyraźne, dochodziło jedynie z telewizora. Nadal, chciałem zakryć twarz poduszką, ukryć się. Jednak tego nie zrobiłem. W końcu musiała kiedyś zobaczyć jak wyglądam.

W tej kwestii Kendra wyraziła się nadzwyczaj jasno.

- Zszłaś na dół – powiedziałem.

Stała naprzeciwko i zobaczyłem jak na mnie patrzy, potem odwróciła wzrok, cofnęła się.

- Ty jesteś bestią. Mój ojciec... powiedział... myślałam, że to była pomyłka. Często mówił szalone rzeczy. Myślałam.. ale ty naprawdę jesteś. O mój Boże. – Znów odwróciła wzrok. – O mój Boże.

- Proszę. Nie skrzywdzę cię. – Powiedziałem. – Wiem, że wygląd wskazuje coś innego, ale tak nie jest... proszę. Nie skrzywdzę cię, Lindo.

- Nigdy bym o tym nie pomyślała. Po prostu myślałam, że jesteś jakimś facetem, zbrojnym,

który... a później nie wyważyłeś drzwi ani nic... Ale jak możesz być...

- Cieszę się, że zeszłaś na dół, Lindy. – Staraniem się by mój głos był gładki. – Zastanawiałem się, czy się kiedykolwiek spotkamy. Teraz już po wszystkim i może do mnie przywykniesz. Obawiałem się, że nie wyjdiesz nigdy.

- Musiałam – wzięła głęboki oddech. – Wychodziłam w nocy. Nie mogłam zostać w tych pokojach. Czułam się jak zwierzę. – Zatrzymała się. – O Boże.

Zignorowałem jej nerwowość. Może zachowując się jak człowiek, mógłbym jej pokazać, że nim jestem. Powiedziałem:

- Picadillo, które Magda zrobiła na kolację. Było dobre, nie sądzisz? – Nie patrzyłem na nią. Może, będzie mniej przerażona jeśli nie będzie widzieć mojej twarzy.

- Tak, było w porządku. Wspaniałe. – Nie dziękowała mi. I nie oczekiwałem tego. Teraz znałem ją lepiej.

- Magda jest świetną kucharką – Powiedziałem. Teraz gdy rozmawialiśmy, byłem w stanie mówić o czymkolwiek, by konwersacja trwała. – Kiedy mieszkałem z moim ojcem, nigdy nie pozwalał, by robiła meksykańskie posiłki. Robiła więc zwykłe dania, mięso i ziemniaki. Ale kiedy nas tutaj zostawił, nie dbałem już o to, co jem, więc zaczęła gotować te potrawy. Zgaduję, że jest to dla niej łatwiejsze i o wiele lepsze.

Przestałem paplać, starając się wymyślić kolejny temat. I wtedy odezwała się:

- Co masz na myśli, że cię tutaj zostawił? Gdzie jest teraz twój ojciec?

- Mieszkam z Magdą i Willem – powiedziałem, nadal nie patrząc na nią. – Will jest moim korepetytorem. Ciebie również może uczyć, jeśli chcesz.

- Korepetytor?

- Nauczyciel, tak naprawdę. Odkąd nie mogę chodzić do szkoły z powodu... W każdym razie, nauczają mnie w domu.

- Nauczają? Więc ty jesteś... ile masz lat?

- Szesnaście. Tak jak ty.

Mogłem zobaczyć po wyrazie jej twarzy, że była zaskoczona, ciągle brała mnie za jakiegoś starego zbrojeńca. W końcu powiedziała:

- Szesnaście. Więc gdzie są twoi rodzice?

A gdzie są twoi? Jechaliśmy na tym samym koniu, w pewnym sensie, porzuceni przez naszych kochanych tatuśków. Ale nie powiedziałem tego. „Milczenie” powiedział Will. Ale odpowiedziałem:

- Moja mama odeszła dawno temu. A mój ojciec... cóż, nie mógł znieść mojego wyglądu. Więc żyje w normalnym świecie.

Przytaknęła i dostrzegłem litość w jej oczach. Nie chciałem współczucia. Jeśli się nade mną litowała, mogła myśleć, że jestem jakimś żalonym stworzeniem, które ją uwięzi i zmusi by była jego, jak Upiór z Opery. Nadal jednak litość była lepsza od nienawiści.

- Tęsknisz za nim? – spytała. – Za ojcem?

Powiedziałem prawdę.

- Staram się nie. Chodzi mi o to, że nie powinno się tęsknić za ludźmi, którzy nie tęsknią za tobą, prawda?

Znow przytaknęła.

- Kiedy sprawy z moim ojcem zaczęły przybierać naprawdę zły obrót, moje siostry wyprowadziły się, by zamieszkać ze swoimi chłopakami. Byłam bardzo zła, że nie zostały i, no wiesz, nie pomogły mi z nim. Ale nadal za nimi tęsknię.

- Przepraszam. – Temat jej ojca był ryzykowny. – Chciałabyś, żeby Will cię uczył? Mnie uczy każdego dnia. Ale ty jesteś prawdopodobnie mądrzejsza ode mnie. Nie jestem za dobrym uczniem, ale założę się, że w swojej szkole przywykłaś do dzieciaków, które nie są tak mądre, mam rację?

Nie odpowiedziała, więc ciągnąłem:

- Może uczyć nas odrębnie, jeśli chcesz. Wiem, że jesteś zła. I masz do tego wszelkie prawo.

- Tak, to prawda.

- Chodzi o to, że jest coś, co bardzo chciałbym ci pokazać.

- Pokazać? – Mogłem usłyszeć ostrzeżenie w jej głosie, niczym zapadająca się kurtyna. Szybko powiedziałem:

- Nie! Nie to. Źle mnie zrozumiałaś. Chodziło mi o szklarnię. Sam ją zbudowałem. A wszystkie rośliny

to róże. Lubisz róże? – Wiedziałem, że lubiła. – Will mnie do nich przekonał. Pewnie myślał, że potrzebne mi hobby. Moje ulubione to floribunda – pnące róże. Nie są tak okazałe, jak krzyżówki herbacianych róż. Mam na myśli, że nie mają tyle warstw płatków. Ale mogą urosnąć bardzo wysoko – czasami na dziesięć stóp, jeśli są odpowiednio pielęgnowane. A ja o to dbam.

Zatrzymałem się. Brzmiałem jak jeden z tych dziwnych dzieciaków w szkole, które z pamięci recytowały statystyki meczów, albo myślały, że Frodo z Władcy pierścieni był ich długo zagubionym kuzynem.

- Róże w moim pokoju – powiedziała – są od ciebie? Ty je zasadziłeś?

- Tak. – W następnych dniach poproszę Magdę, by zastąpiła żółte róże białymi, symbolizującymi czystość. Miałem nadzieję, że pewnego dnia będę je mógł zmienić na czerwone oznaczające miłość. – Cieszę się, że podobają ci się moje róże. Wcześniej nie miałem nikogo, komu mógłbym je wręczyć, oprócz Magdy. Ale mam ich dużo więcej. Jeśli chciałabyś zejść na dół je zobaczyć – albo się pouczyć – mogę poprosić Magdę lub Willa była cały czas tutaj byli, więc będziesz pewna, że cię nie skrzywdzę.

Nie mówiłem oczywistego, że jest teraz ze mną sama, a przez ostatnie dni była strzeżona jedynie przez ślepcę, starą kobietę, liche drzwi i nic jej nie zrobiłem. Ale miałem nadzieję, że sama to zauważy.

- I to jest twój prawdziwy wygląd? – powiedziała w końcu. – Nie jest to maska, którą używasz by zakryć twarz? Jak robią porywacze? – nerwowy śmiech.

- Chciałbym, żeby tak było. Okrążę sofę, żebyś sama mogła zobaczyć.

Skurczyłem się, gdy mi się przyglądała. Cieszyłem się, że ubrania ukrywały moje ciało tak bardzo, jak tylko było to możliwe. Pomyślałem o Esmeraldzie niezdolnej spojrzeć na Quasimoda. Byłem potworem. Potworem.

- Możesz jej dotknąć – mojej twarzy – jeśli chcesz się upewnić – powiedziałem.

Potrząsnęła głową.

- Wierzę ci.

Teraz gdy byłem bliżej, jej wzrok wędrował po moim ciele z góry na dół, zatrzymując się na moich szponiastych dłoniach. W końcu pokiwała głową i wiedziałem, że jest jej przykro z mojego powodu.

- Myślę, że nie mam nic przeciwko temu, żeby Will mnie uczył. Możemy spróbować, by uczył nas razem i zaoszczędził swój czas. Ale jeśli jesteś zbyt głupi, by za mną nadażyć, będziemy musieli to zmienić. Przywykłam do zaawansowanego poziomu.

Mogłem zobaczyć, że żartuje, ale jednocześnie była trochę poważna. Chciałem ponownie spytać o szklarnię i czy przyszlaby na dół wcześniej, by zjeść śniadanie z Willem, Magdą i ze mną. Ale nie chciałem jej wystraszyć, więc powiedziałem:

- Uczymy się w moich pokojach, koło ogrodu. Są na pierwszym piętrze. Zazwyczaj zaczynamy o dziewiątej. Teraz przerabiamy sonety Szekspira.

- Sonety?

- Tak. – Przeszukałem swoją pamięć, chcąc zarecytować jakąś strofę. Podczas tego samotnego zamknięcia zapamiętałem całe strony. To była moja szansa, żeby jej zaimponować. Ale cisza mojej głupoty była ogłuszająca. W końcu przerwałem ją. – Szekspir jest wspaniały.

O rany. Szekspir jest **ekstra**, człowieku.

Ale ona uśmiechnęła się.

- Tak. Kocham jego sztuki i poezję. – Kolejny nerwowy uśmiech i zastanawiałem się czy tak jej ulżyło z naszego pierwszego spotkania jak mnie. – W takim razie powinnaś już iść do łóżka, by być jutro gotowa.

- Tak.

Obróciła się i poszła na górę. Patrzyłem jak wchodzi po schodach, potem słuchałem jej kroków na korytarzu. Dopiero kiedy usłyszałem, że drzwi do jej sypialni się zamykają, dałem się ponieść mojemu zwierzęcemu instynktowi i odtańczyłem dziki, zwierzęcy taniec dookoła pokoju.

~VII~

Obudziłem się przed wschodem słońca, by usunąć zwiędłe płatki róż, zamieść szklarnię i podlać rośliny. Chciałem to skończyć przed porannymi lekcjami, by wszystko zdążyło wyschnąć. Błoto nie było mile widziane. Nawet wytrzepałem pędy znajdujące się na wiklinowych ławkach, mimo że były czyste, a powietrze w szklarni było zbyt duszne i parne by tam siedzieć. Chciałem jednak, by wszystkie opcje były otwarte.

O szóstej skończyłem podlewać już ostatnie róże, a w szklarni był perfekcyjny porządek. Przetawiałem nawet kilka donic, by róże w nich mogły rosnąć jeszcze wyżej, wyglądało to jakby próbowały uciec. Później obudziłem Willa waląc głośno w drzwi.

- Przyjedzie – powiedziałem.

- He? Kktoo? – jego głos był jeszcze otumaniony od snu.

- Szszsz – wyszeptałem. – Usłyszysz cię. Linda przyjdzie na nasze sesje.

- Wspaniale – powiedział Will. – I dlatego-budzisz-mnie-pięć-godzin-wcześniej?

- Trzy. Powiedziałem jej, że zaczynamy o dziewiątej. Nie mogłem czekać ani chwili dłużej. Ale wcześniej potrzebuję twojej pomocy.

- Pomocy z czym, Adrian?

- Musisz mnie nauczyć wszystkiego, o czym będziemy dzisiaj mówić.

- Co... i dlaczego miałbym to robić, zamiast położyć się spać?

Znów zapukałem w drzwi.

- Will otworzysz? Nie mogę tutaj stać i prowadzić z tobą konwersacji przez drzwi. Ona może nas usłyszeć.

- Mam świetny pomysł: wracaj więc do łóżka.

- Proszę, Will – dramatycznie wyszeptałem. – To jest ważne.

W końcu usłyszałem, jak wygrzebuje się z łóżka i w następnym momencie pojawił się w drzwiach.

- Co jest takiego ważnego?

Za nim Pilot przykrył łapami swoją głowę.

- Musisz mnie teraz pouczyć.

- Czemu?

- Nie słyszałeś mnie? Ona przychodzi dzisiaj na nasze lekcje.

- Tak. O dziewiątej. Prawdopodobnie teraz nadal śpi.

- Ale nie chcę żeby myślała, że oprócz tego, iż jestem brzydki to też i głupi. Musisz nauczyć mnie wszystkiego, co będziemy przerabiać bym mógł wyjść na mądrego w jej oczach.

- Adrian, bądź sobą. Wszystko będzie w porządku.

- Być sobą? Może zapomniałeś, ale w moim przypadku bycie sobą oznacza bycie bestią. – Słowo bestia przeszło w gorączkowy ryk, mimo, że starałem się nad sobą panować. – To jest pierwszy raz, kiedy zobaczy mnie w świetle dziennym. Wcześniej zabrało jej to tydzień. Ostatecznie chcę być przynajmniej mądry.

- Jesteś mądry. Ale ona też jest mądra. Przecież chcesz być zdolny do rozmowy z nią, a nie do powtarzania tego, co ci powiedziałem.

- Ale ona była specjalnym uczniem w Tuttle. Miała stypendium. A ja byłem tam tylko dzięki pieprzonym pieniądzom ojca.

- Zmieniłeś się od tego czasu, Adrian. Podrzucę ci kilka dyskretnych wskazówek, jeśli będzie wyglądało na to, że ich potrzebujesz, ale wątpię w to. Jesteś mądrym dzieciakiem.

- Po prostu chcesz wrócić do łóżka.

- Tak, chcę wrócić do łóżka. Ale nie chcę po prostu wrócić do łóżka.

Zaczął zamykać drzwi.

- Wiesz, wiedźma powiedziała, że przywróci ci twój wzrok, jeśli złamię tą klątwę.

Zatrzymał się.

- Poprosiłeś ją o to?

- Tak. Chciałem coś dla ciebie zrobić, ze względu na to, że byłeś dla mnie taki dobry.

- Dziękuję.

- Tak więc sam możesz zobaczyć, jak to jest naprawdę ważne. Możesz mi coś dać w takim razie, jakąś wskazówkę? Linda mówiła, że jeśli okażę się za głupi, będzie chciała się uczyć oddzielnie. A dla ciebie byłaby to podwójna harówka.

Musiał się nad tym zastanowić, bo powiedział:

- Okej, sprawdź Sonet 54. Myślę, że ci się spodoba.

- Dzięki.

- Ale, Adrian, czasami będzie miło dać się jej również wykazać, by pokazała jaka jest mądra.

Zamknął drzwi.

Ustawiłem moje krzesło naprzeciwko francuskich drzwi prowadzących do ogrodu, czekając na jej

przyjście. Chwilę mi zajęło zastanawianie się, czy pośród róż będę wyglądał korzystnie, czy może wręcz przeciwnie, tylko podkreślą moją brzydotę. W końcu zdecydowałem, że coś w pokoju musi być piękne i z pewnością nie byłem to ja.

Mimo, że był lipiec, założyłem niebieską bluzę od Ralph'a Lauren'a z długimi rękawami, zapinaną pod szyją, jeansy, trampki. Uczeń-bestia. Trzymałem w ręce książkę z sonetami Szekspira czytając Sonet 54, po raz dwudziesty z rzędu. W tle leciało Cztery Pory Roku Vivaldiego.

Gdy usłyszałem jak puka, wszystko zostało zrujnowane. Willa jeszcze nie było, więc musiałem wstać, burząc moją malowniczą (będąc bardziej szczerym widziałem to na filmie) aranżację. Ale nie mogłem pozwolić na to by tam stała, więc pospieszyłem otworzyć drzwi. Bardzo powoli. By jej nie zszokować.

W porannym świetle, dużo bardziej niż w nocnym, mogłem poczuć jak stara się na mnie nie patrzeć. Było to spowodowane tym, że w jej oczach byłem zbyt ohydny, jak zdjęcie z miejsca zbrodni? Czy po prostu chciała być uprzejma i się nie gapić? Ponadto przypuszczałem, że jej nienawiść przemieniła się litość. Ale jak mogłem zmienić to w miłość?

- Dziękuję, że przyszłaś – powiedziałem wskazując by weszła do pokoju, ale nie dotykając jej. – Pomyślałem, że pouczymy się w pobliżu szklarni.

Przesunąłem stół, z ciemnego drewna w pobliże francuskich drzwi. Przyniosłem kolejne krzesło, by mogła usiąść. W moim wcześniejszym życiu nigdy nie zrobiłbym czegoś takiego dla dziewczyny. Ale ona była już w drzwiach prowadzących do ogrodu.

- Oh! Jakie to piękne! Mogę wejść?

- Tak. – Byłem już za nią sięgając do klamki. – Proszę. Nigdy wcześniej nie miałem gościa, nikogo z kim mógłbym się podzielić moim ogrodem, oprócz Willa i Magdy. Mam nadzieję...

Zatrzymałem się. Już była w środku. Dźwięki utworu Vivaldiego wznosiły się dookoła niej, grając partię „Wiosna”, dokładnie wtedy, gdy stanęła pośród kwiatów.

- To wspaniale! Tylko powąchaj – Mieć w swoim domu takie bogactwa!

- To również twój dom. Proszę, przychodź kiedy tylko chcesz.

- Kocham ogrody. Kiedyś po szkole chodziłam na Strawberry Fields w Central Park. Mogłam tam siedzieć godzinami, czytając. Nie lubiłam wracać do domu.

- Rozumiem. Chciałbym móc iść do tego ogrodu. Wiedziałem jego zdjęcia na Internecie. – I mijałem tysiące razy w moim poprzednim życiu, ledwie zerkając w tamtym kierunku. Teraz pragnąłem tam iść i nie mogłem.

Linda klęczała pośród róż-miniaturek.

- Są takie drogocenne.

- Zgaduję, że dziewczyny zawsze lubią małe rzeczy. Ja wolę te z rodzaju pnących. Zawsze dążą do światła.

- Tak, również są piękne.

- Ale te... - uklęknąłem w jaśniejszym punkcie, pośród żółtych miniaturek, które zasadziłem przeszło tydzień temu. – Te róże tutaj nazywają się Little Linda.

Posłała mi zdziwione spojrzenie.

- Wszystkie twoje kwiaty posiadają imiona?

Zaśmiałem się.

- Nie nazwałem ich. To ogrodnicy, gdy wynajdują nową krzyżówkę rośliny, nazywają ją. I tak się zdarzyło, że te tutaj nazywają się Little Linda.

- Są takie perfekcyjne, takie delikatne.- Przybliżyła się do róż. I gdy to zrobiła mogłem wyczuć prąd przebiegający pomiędzy naszymi ciałami.

- Ale silne – wziąłem moją rękę zanim mogłaby ją napełnić wstrętem. – Niektóre z miniaturek są bardziej urocze róże herbaciane. Chciałabyś bym ściał kilka to twojego pokoju, skoro to twoje imienniczki?

- To byłoby wielkie marnotrawstwo, ścinać je. Może... - Zatrzymała się, trzymając w placach mały płatek.

- Co?

- Może przyjdę znowu je zobaczyć.

Powiedziała, że przyjdzie je zobaczyć. Ale może.

Właśnie wtedy przyszedł Will.

- Zgadnij kto tu jest, Will. – Powiedziałem, jakbym w ogóle z nim o tym nie rozmawiał jeszcze kilka

godzin temu. – Linda.

- Wspaniale – powiedział. – Miło cię widzieć, Lindo. Mam nadzieję, że ożywisz trochę atmosferę. Z Adrianem jest tutaj dosyć nudno.

- Musi być dwóch, by było nudno – powiedziałem.

Później, tak jak się spodziewałem, powiedział:

- Dzisiaj będziemy mówić o sonetach Szekspira. Pomyślałem, że zaczniemy od utworu pięćdziesiąt cztery.

- Przyniosłaś książkę? – Spytałem ją. Kiedy pokręciła głową, ciągnąłem. – Możemy poczekać aż po nią pójdziesz. Prawda, Will? Albo możesz korzystać z mojej?

Jej oczy nadal wędrowały w kierunku różanego ogrodu.

- Och, w sumie możemy korzystać z twojej. Jutro przyniosę już własną książkę.

Powiedziała „jutro”.

- W porządku. – Przesunąłem książkę, tak, że była bliżej niej niż mnie. Nie chciałem, żeby pomyślała, że starałem się używać wobec niej jakiś chwytów. Lecz nadal byłem bliżej niej niż kiedykolwiek. Mogłem dotknąć ją z taką łatwością, że wyglądałoby to na przypadek.

- Adrian, chcesz przeczytać to na głos? – Spytał Will.

Dyskretna wskazówka, jak powiedział. Nauczyciele zawsze chwalili moją umiejętność czytania. Na dodatek ten poemat czytałem w kółko i w kółko.

- Jasne – powiedziałem.

" Ach, ile piękno zyskuje piękności,

Gdy słodka prawda ozdobnie je kryje!

Śliczna jest róża, lecz więcej śliczności

Ma dzięki woni słodkiej, w której żyje."

Oczywiście z nią siedzącą w pobliżu musiałem spieprzyć i zająknąć się na "piękno zyskuje piękności", ale ciągnąłem dalej.

" Barwę podobną mają róże dzikie

Do swej siostrzycy otoczonej wonią,

Kolce podobne, podobnie z wietrzykiem

Wiosennym skryte swe pąki odsłonią.

Lecz wygląd jest ich wartością jedyną ;

Nikt ich nie lubi, więdną nie kochane,

Giną samotnie. Róże tak nie giną,

Po śmierci wonie ich będą zebrane.

Wiersz mój przechowa, chłopcze ukochany,

Wierności twojej eliksir różany."³⁰

Skończyłem s spojrzałem do góry. Linda nie patrzyła w moją stronę. Podążyłem za jej wzrokiem i zobaczyłem, że wpatruje się przez francuskie drzwi na róże. Moje róże. Czy ich piękno wynagradzało przynajmniej częściowo moją brzydotę?

- Adrian? – Will coś mówił, może już po raz drugi lub trzeci.

- Przepraszam, co?

- Pytałem się, co w poemacie symbolizują róże.

Czytałem utwór dwadzieścia razy, więc było logicznie, że wiedziałem, co oznaczają, ale wstrzymałem się. Uświadomiłem sobie, że chciałem dać szansę Lidzie, by pokazała, jaka jest mądra.

- Co o tym myślisz, Linda?

- Myślę, że oznaczają prawdę – powiedziała. – Szekspir mówił o tym, iż róże posiadają zapach, który czyni je pięknym od wewnątrz. I zapach ten pozostaje nawet wtedy, kiedy kwiaty umrą.

- Co to jest kwitnąca szypszyna³¹, Will? – Spytałem.

- Dzika róża. Wygląda jak róża, ale nie pachnie.

- Więc jest ładna, ale nie tak prawdziwa? – Powiedziałem. – Jak mówiła Linda. Tylko dlatego, że coś jest piękne, nie oznacza, że jest dobre. O to chodziło Szekspirowi.

Linda spojrzała na mnie jakbym był mądry, a nie po prostu brzydki.

- Ale coś co posiada wewnętrzne piękno będzie żyć wiecznie, jak zapach róż.

- Ale czy zapach róż żyje wiecznie? – Zapytał Lindę Will.

Wzruszyła ramionami.

- Raz miałam różę, która mi ktoś podarował. Włożyłam ją do książki. Zapach nie przetrwał.

Gapilem się na nią, wiedząc, jaką różę ma na myśli.

Ten ranek minął szybko. Choć nie przerobiłem kolejnych tematów, zdołałem nie zrobić z siebie totalnego idioty i zawsze pozwalałem jej być troszkę mądrzejszą. To nie było trudne.

O dwunastej trzydzieści Will powiedział:

- Dołączysz do nas podczas lunchu, Lindy?

Byłem wdzięczny, że to on zadał to pytanie a nie ja. Wstrzymałem oddech. Myślę, że obaj to zrobiliśmy.

- Coś jak szkolna kafeteria? – Rzuciła Lindy. – Tak, to byłoby miłe.

Jeśli ktoś myśli, że nie przygotowałem Magdy na taką ewentualność, to się grubo myli. Obudziłem ją o szóstej, tak jak Willa – i rozmawialiśmy o możliwościach menu, które nie zawierało by zup, sałatek i drobnych potraw, które mógłbym porzucić moimi szponiastymi dłońmi. Nienawidziłem faktu, że bycie bestią zmuszało mnie do jedzenia jak bestia. Ale muszę się pochwalić, że nie zrobiłem z siebie pokraki, więc wieczorem również wzięliśmy się za planowanie.

Tej nocy leżąc w łóżku, rozpamiętywałem moment, gdy jej ręka dotknęła mojej. Zastanawiałem się jakby to było gdyby dotknęła mnie nie przez przypadek, lub gdyby pozwoliła mi dotknąć siebie.

Mr. Anderson: Dziękuję za przybycie. W tym tygodniu będziemy mówić o transformacji i jedzeniu.

BeastNYC: Ale ja chciałbym porozmawiać o tej dziewczynie. Mam dziewczynę. Jesteśmy przyjaciółmi, ale myślę, że moglibyśmy być kimś więcej.

Grizzlyguy dołączył do czatu.

Froggie: Hej, grizz.

Grizzlyguy: Mam wieści! Jestem człowiekiem! Nie jestem już niedźwiedziem!

BeastNYC: Człowiekiem?

Froggie: Gratulacje

BeastNYC: <- Bardzo zazdrosny o Grizz.

Grizzlyguy: Dziewczyna o imieniu Śnieżka (nie *ta* Śnieżka), śledziła mnie gdy szedłem do lasu, ponieważ opuszczali swój letniskowy domek. Zobaczyła złego karła, który rzucił na mnie klątwę i pomogła mi go zabić.

Froggie: Zabłes arła.

Grizzlyguy: *Złego* karła.

Froggie: Al nadal...

Grizzlyguy: Zabijając karła nie popełniłem przestępstwa, ponieważ byłem jeszcze wtedy niedźwiedziem.

SilentMaid dołączyła do czatu.

SilentMaid: Obawiam się, że mam kilka naprawdę złych wiadomości.

Froggie: Grizzlyguy jes znow facetem!

SilentMaid: To wspaniale. Ale obawiam się, że u mnie nie jest tak kolorowo.

BeastNYC: Co się stało Silent?

SilentMaid: Coż, wydawało mi się, że idzie naprawdę dobrze. Powiedział, że przypominam mu dziewczynę, która uratowała mu życie (którą oczywiście byłam) i choć jego rodzice chcieli by poznał tą inną dziewczynę, której rodzice są bogaci, powiedział, że woli być ze mną.

Grizzlyguy: To świetnie, Silent. Jestem pewny, że wszystko się ułoży.

BeastNYC: Tak, ona go nie obchodzi!

SilentMaid: Ale problem w tym, że obchodzi. Jego rodzice powiedzieli, "Cóż, ostatecznie *ona* może mówić" i wysłali na randkę w ciemno. I nie uwierzycie, ale teraz on myśli, że *ona jest* tą, która uratowała mu życie. A z powodu tego, że nie mogę mówić to i nie mogę mu powiedzieć, że się myli.

Mr. Anderson: Tak mi przykro, Silent.

SilentMaid: I widziałam jak się całują. On jest z nią. Zawiodłam.

BeastNYC: #@*!

BeastNYC: Przepraszam. Nie ma jakiegoś innego wyjścia, by złamać zaklęcie, Silent?

SilentMaid: Moje siostry spróbowały poprosić Morską Wiedźmę o pomoc, by zdjęła ze mnie urok.

Dały jej włosy i wszystko. Ale ona powiedziała, że jedynym sposobem by przełamania klątwy jest zabicie go.

Froggie: Zamirzasz to zrobić?

BeastNYC: Poproś Grizzlyguy by ci pomógł. On i jego dziewczyna zabili karła..

Grizzlyguy: To nie jest śmieszne, Beast.

BeastNYC: Przepraszam, Grizz. Sarkazm jest moim sposobem na radzenie sobie ze smutkiem.

SilentMaid: Rozumiem, Beast. Wszyscy byliście bardzo dobrymi przyjaciółmi.

Froggie: Byłmy? To znaczy, że nie zamierasz tego zrobić?

SilentMaid: Nie mogę, Froggie. Nie mogę go zabić. Za bardzo go kocham. To był mój błąd, podjęcie takiej decyzji. I poniosę konsekwencje.

BeastNYC: Pozwól mi to uściślić – zamierzasz zmienić się w pianę morską

SilentMaid: Powiedziano mi, że jeśli poczekam 300 lat pod postacią piany morskiej, to ulecę do nieba.

Froggie: 300 lat! To jet nic.

Grizzlyguy: Frog ma rację. Złeci jak dzień czy dwa. Sama zobaczysz.

SilentMaid: Myślę, że muszę już iść. Dziękuję za wszystko. Pa.

SilentMaid opuściła chat.

BeastNYC: Wow. Nie mogę w to uwierzyć.

Froggie: Ja też.

Grizzlyguy: Nie czuję się już w nastroju do dalszej dyskusji.

Mr. Anderson: Może powinniśmy zrobić przerwę do następnego razu.

Rozdział 5

~Upływ czasu, jesień i zima~

~*~I~*

Na zewnątrz, w pobliżu okien, zaczęły opadać liście, ale w środku wszystko trwało takie samo. Wszystko z wyjątkiem Lindy i mnie. Zmieniliśmy się. Razem się uczyliśmy i zobaczyłem, że mimo tego, iż jest mądra, ja wcale nie okazałem nie mądry. Już nie uważałem, że mnie nienawidzi. Może. Może mnie nawet polubiła.

Pewnej nocy była burza, ta z tych wielkich z piorunami, podczas której niebo wyglądało jak drąca się pościel, a grzmoty uderzały stanowczo za blisko. Wstrząsnęło moim łóżkiem, świat zadrżał, a ja obudziłem się. Powlekłem się na górę na salonu i zobaczyłem, że nie jestem sam.

- Adrian! – Lindy siedziała w ciemności na sofie, oglądając z bezpiecznej odległości, jak pioruny przecinają niebo za oknem. – Przestraszyłam się. Brzmiało, jakby gdzieś była strzelanina.

- Strzelanina – zastanawiałem się, czy tam skąd pochodziła, w nocy słyszała właśnie takie odgłosy. – To tylko burza, a ten stary dom jest naprawdę solidny. Jesteś bezpieczna.

Zdałem sobie sprawę jak szalenie to zabrzmiało. Mówiłem jej, że jest bezpieczna, podczas gdy trzymałem ją tu jak więźnia. Ale powiedziała:

- Nie każde miejsce w którym wcześniej żyłam, było bezpieczne.

- Zauważyłem, że zajęłaś możliwie jak najdalsze miejsce od okna.

- Myślisz, że jestem niepoważna.

- Nie. Przecież ja też tutaj jestem, nieprawdaż? Ten hałas mnie obudził. Miałem zamiar zrobić popcorn i zobaczyć, czy jest cokolwiek w TV. Też chcesz?

Ruszyłem w kierunku kuchni. Byłem ostrożny. Zdecydowałem, że najbezpieczniej będzie się oddalić, by nie wystraszyć jej moją zbyt bliską obecnością. To był pierwszy raz, od pamiętnego dnia w różanym ogrodzie, gdy byliśmy sami. Zawsze gdy się uczyliśmy, w pobliżu był Will, a podczas posiłków i Magda. Teraz gdy byliśmy sami i wszyscy inni spali, chciałem by wiedziała, że może mi zaufać. Nie zamierzałem tego spieprzyć.

- Tak, poproszę. Mógłbyś zrobić dwie paczki? Naprawdę bardzo lubię popcorn.

- Jasne.

Wszedłem do kuchni i znalazłem popcorn, który się wkłada do mikrofalówki. Lindy skakała po kanałach i znalazła stary film, Narzeczona Księcia³².

- Ten jest świetny – powiedziałem gdy popcorn zaczął strzelać.

- Nigdy go nie widziałam.

- Spodoba ci się, tak myślę. Każdy znajdzie w nim coś dla siebie – walki na miecze dla mnie, księżniczki dla ciebie. – Pierwsza paczka już się uprzyżyła więc ją wyjąłem. – Przepraszam. To zabrzmiało chyba trochę seksistowsko.

- W porządku. Jestem dziewczyną. A każda dziewczyna udawała kiedyś, że jest księżniczką, bez względu na to, jak daleko odbiegało to od prawdy. I podoba mi się opcja „Żyli długo i szczęśliwie”,

Odłożyła pilota, nie zmieniając kanału. Stałem tam oglądając, jak nadyma się następna paczka popcornu i rozważając co z nimi zrobię – wsypię do miski, tak jak robiła Magda dla dziewczyn, które znałem, czy zostawię w torebkach. W końcu spytałem:

- Powinienem wsypać go do miski? – Nawet nie wiedziałem, gdzie Magda je trzyma. Czy to nie było smutne?

- Och, nie, nie rób sobie kłopotu.

- To nie jest kłopot. – Ale wyciągnąłem paczkę, otworzyłem i chwytając następną poszedłem do salonu.

Prawdopodobnie poprosi o swoją własną paczkę, więc nasze ręce się nie dotkną. Nie winięm jej za to. Usiadłem od niej na odległość stopy, oglądając film. To była scena w której Westley, pirat, wyzywał zabójcę, Vizzini, na pojedynek dowcipu.

- Dałeś się nabrać jak ofiara klasycznej pomyłki! – powiedział Vizzini na ekranie.

- ... Nigdy nie występuj przeciwko Sycylijczykom, gdy widzisz śmierć na horyzoncie!

Po pewnym czasie Vizzini upadł martwy, a ja skończyłem popcorn i zgmiotłem pustą torebkę. Chciałem więcej. Wyglądało na to, że bestia była zawsze głodna. Zastanawiałem się, czy jak wrócę do dawnej postaci to będę gruby?

- Chcesz jeszcze trochę? – Spytała.

- Nie. Powiedziałaś, że naprawdę lubisz popcorn.

- Tak, to prawda. Ale mogę się z tobą podzielić. – Wyciągnęła torebkę w moim kierunku.

- Okej – przysunąłem się o kilka cali. Nie zaczęła krzyżeć ani się odsuwać. Wziąłem garść popcornu, mając nadzieję, że żadnego nie upuszczę. I w tym właśnie momencie za oknem rozległ się przerażający grzmot, a Lindy podskoczyła, rozsypując połowę z tego, co jej zostało.

- Och, przepraszam – powiedziała.

- Nic się nie stało – Pozbierałem największe kawałki i wrzuciłem do mojej pustej torebki. – Resztę możemy pozbierać rano.

- Po prostu naprawdę bardzo się boję błyskawic i grzmotów. Kiedy byłem mała, mój tata zwykł wychodzić po tym jak zasnęłam. I wtedy gdy zbudził mnie jakiś hałas, nigdzie go nie było. Bardzo się wtedy bałam.

- Musiało być ci ciężko. Moi rodzice zwykle na mnie krzyczeli, gdy wstawałem w nocy. Mówili, że mam być dzielny, co naprawdę znaczyło, że mam ich zostawić w spokoju. – Podałem jej popcorn.

- Możesz wziąć resztę.

- Dzięki – wzięła torebkę. – Lubię...

- Co?

- Nic. Po prostu... dzięki za popcorn.

Byłam tak blisko, że mogłem usłyszeć jak oddycha. Pragnąłem się przybliżyć, ale powstrzymałem się. Siedzieliśmy w niebiesko-białym świetle telewizji, oglądając w milczeniu film. Dopiero gdy się skończył zauważyłem, że zasnęła. Burza się uspokoiła, a ja chciałem po prostu tam siedzieć, patrzeć jak śpi, przyglądać się jej tak, jak przyglądałem się moim różom. Ale gdyby się obudziła, na pewno pomyślałaby, że to dziwne. Jak gdyby już nie wystarczająco wydawałem się jej dziwny.

Wyłączyłem więc telewizor. Pokój pograżył się w mroku. Podniosłem ją by zanieść do pokoju, lecz obudziła się w połowie drogi, na schodach.

- Co do...?

- Zasnęłaś. Niosłem cię właśnie do pokoju. Nie bój się. Nie skrzywdzę cię. Obiecuję. Możesz mi zaufać. I nie upuszczę cię. – Jej ciężar był niczym w moich ramionach. Bestia też była silna.

- Mogę sama iść – powiedziała.

- Okej, jeśli chcesz. Ale nie jesteś zmęczona?
- Tak. Trochę.
- Zaufaj mi więc.
- Wiem. Gdybyś chciał mnie skrzywdzić, już dawno być to zrobił.
- Ale nie skrzywdzę cię – powiedziałem, wzdrygając się na fakt, że mogła tak pomyśleć. – Nie mogę ci wyjaśnić, dlaczego chcę, żebyś tu była, ale to nie z tego powodu.

- Rozumiem.

Oparła głowę z powrotem na mojej klatce piersiowej. Wniosłem ją do po schodach do jej pokoju, próbując chwycić za klamkę. Złapała ją. Jej głos rozległ się w ciemnościach.

- Nikt mnie tak nigdy nie niósł. Przynajmniej nikt, kogo pamiętam.

Chwyciłem ją mocniej.

- Jestem bardzo silny – odpowiedziałem.

Nie powiedziała nic więcej. Ponownie zasnęła. Zaufała mi. Przemierzałem w ciemności jej pokój myśląc, że dla Will zawsze musi to tak wyglądać. Bycie ostrożnym, mając nadzieję, że nie napotka się żadnej przeszkody.

Kiedy dotarłem do łóżka, położyłem ją delikatnie i opatuliłem miękką kołdrą. Chciałem ją pocałować, tutaj w ciemności. Minęło tyle czasu odkąd kogoś dotykałem, naprawdę dotykałem. Ale wykorzystywanie okazji kiedy Lindy spała, byłoby złe, a kiedy by się obudziła, mogłaby już nigdy mi nie wybaczyć. W końcu powiedziałem:

- Dobranoc, Lindy – i ruszyłem w stronę drzwi.

- Adrian? – Usłyszałem za plecami jej głos. – Dobranoc.

- Dobranoc, Lindy. Dziękuję, że dotrzymałaś mi towarzystwa. To było miłe.

- Miłe... - usłyszałem szelest pościeli. Prawdopodobnie, szukała wygodnej pozycji. – Wiesz co, w ciemności twój głos wydaje mi się być znajomy.

~*~

Robiło się coraz bardziej zimno i wilgotno, a ja w końcu mogłem rozmawiać z Lindy nie martwiąc się o każde wypowiedziane słowo. Pewnego dnia po lekcjach Lindy zapytała:

- Więc, co jest na piątym piętrze?

- Hę? – Słyszałem co powiedziała, ale chciałem sobie kupić trochę czasu, by zastanowić się nad odpowiedzią.

Odkąd tu zamieszkała, nie odwiedzałem już piątego piętra. Kojarzyło mi się ono z beznadziejnością, desperacją, oznaczało siedzenie koło okna i czytanie Dzwonnika z Notre Dame, w skutek czego czułem się tak samotny jak Quasimodo. Nie chciałem tam wracać.

- Piąte piętro – ciągnęła Lindy. – Ty mieszkasz na pierwszym, kuchnia i salon są na drugim, ja na trzecim, a Magda z Willem zajmują czwarte. Ale gdy tu przyszedłem widziałam pięć poziomów okien.

Teraz byłem gotowy.

- Och, nic takiego. Stare pudła i rupiecie.

- Wow, to brzmi interesująco. Możemy tam zajrzeć? – Lindy skierowała się w kierunku schodów.

- To tylko pudła. Co jest w tym interesującego? Od kurzu zaczniesz tylko kichać.

- A wiesz, co jest w tych pudłach? – Kiedy pokręciłem głową, ciągnęło. – Właśnie to jest w tym tak interesujące. Mogą być tam ukryte skarby.

- Na Brooklynie?

- Okej, może nie prawdziwe skarby, ale innego rodzaju – stare listy i zdjęcia.

- Masz na myśli śmieci.

- Nie musisz iść jak nie chcesz. Mogę przejrzeć je sama, jeśli nie ma tam nic z twoich rzeczy.

Ale poszedłem. Nawet jeśli obraz piątego piętra napawał mnie strachem, który zalegał w moim brzuchu jak zepsute mięso, poszedłem, ponieważ chciałem spędzić z nią więcej czasu.

- Och, spójrz. Przy oknie jest sofa.

- Tak, całkiem fajnie jest siedzieć tam i przyglądać się przechodzącym ludziom. To znaczy ten co tutaj wcześniej mieszkał, musiał uważać to za coś fajnego.

Wdrapała się na siedzenie przy oknie, moje siedzenie. Poczułem ukłucie. Musiała tęsknić za światem zewnętrznym, wychodzeniem na dwór.

- Tak, jasne. Mogę stąd zobaczyć całą drogę prowadzącą do metra. Która jest to stacja?

Ale ja ciągnąłem dalej.

- Możesz obserwować ludzi idących na pociąg by dostać się do pracy i wracających z niej późnym wieczorem. – Kiedy na mnie spojrzała, powiedziałem: - Nie, żebym kiedykolwiek to robił.

- Ja bym robiła. Założę się, że ludzie robią tak cały czas. Przez to okno możesz zobaczyć całe toczące się życie.

Pochyliła się do przodu, gapiąc się na ulicę. Natomiast ja gapiłem się na nią, na sposób w jaki jej rudy warkocz ułożył się na plecach, zmieniając kolor na brąz w promieniach zachodzącego słońca. Na jej białą skórę i piegi. A tak w ogóle to o co z nimi chodziło? Pojawiał się jeden co jakiś czas czy od razu wszystkie naraz? Na końcu przyjrzałem się jej oczom, blado szarym, otoczonym białawymi rzęsami. Pomyślałem, że jej oczy są pełne życzliwości, ale czy czyjekolwiek byłyby dostatecznie życzliwe by wybaczyć mi moją potworność?

- Więc jak będzie z tymi pudłami? – Wskazałem na stos w kącie.

- Och, masz rację – ale wyglądała na rozczarowaną.

- Obraz za oknem robi się ciekawszy około piątej. Wtedy ludzie zaczynają wracać z pracy. – Spojrzała na mnie. – Cóż, może siedziałem tu... raz czy dwa.

- Och, rozumiem.

Pierwsze pudło jakie otworzyła, wypełnione było książkami i mimo, że Lindy miała ich już setki, była bardzo podekscytowana.

- Spójrz! Mała Księżniczka!³³ W piątej klasie była to moja ulubiona książka!

Podszedłem do niej by spojrzeć. Jak dziewczyny mogą ekscytować się takimi głupstwami?

Następny pisk jaki wyrwał się Lindy był głośniejszy. Popędziłem do niej by sprawdzić czy się przypadkiem nie zraniła, ale ona powiedziała:

- Jane Eyre!³⁴ To moja ulubiona książka!

Pamiętałem, że gdy pierwszy raz ją zobaczyłem, czytała właśnie tę książkę.

- Widzę, że twoja lista ulubionych książek jest długo. A nie masz już przypadkiem tej powieści?

- Tak, ale spójrz na nią.

Wziąłem od niej książkę. Pachniała trochę jak metro. Rok wydania był datowany na 1943 i znajdowały się w niej czarno-białe ilustracje zajmujące całe strony. Otworzyłem akurat na obrazie całującej się pod drzewem pary.

- Nigdy wcześniej nie widziałem książki dla dorosłych z obrazkami. Są ekstra.

Wzięła książkę.

- Kocham się powieść. Kocham sposób, w jaki pokazane jest przeznaczenie ludzi, którzy do siebie należą i będą należeć, nawet jeśli coś ich rozdzieli. W tym jest magia.

Pomyślałam o tym jak Lindy i ja spotkaliśmy się na tańcach, później jak zobaczyłem ją w lustrze i w końcu o tym, że była tutaj. Ze mną. Czy to była magia? Magia Kendry? Czy po prostu fart? Wiedziałem, że na świecie istniała magia. Nie wiedziałem tylko, czy działa też w dobrych celach.

- Wierzysz w to? – Spytałem. – W tą całą sprawę z magią?

Jej twarz spochmurniała, jakby myślała o czymś innym.

- Nie wiem.

Znów spojrzałem do książki.

- Podobają mi się ilustracje.

- Czy nie oddają perfekcyjnie treści książki?

- Nie wiem. Nigdy jej nie czytałem. Czy to nie jest jedna z tych „dziewczyńskich” książek?

- Nigdy jej nie czytałeś? Naprawdę? – Wiedziałem co za chwilę się stanie. – Cóż, w takim razie musisz ją przeczytać. To jest najcudowniejsza książka na świecie – opowieść miłosna. Czytałam ją za każdym razem, gdy mieliśmy przerwę w dopływie prądu. Perfekcyjnie nadaje się do czytania przy blasku świecy.

- Przerwa w dopływie prądu?

Lindy wzruszyła ramionami.

- I tak wydaje mi się, że powodziło nam się lepiej od innych ludzi. Czasami po prostu gdy ojciec miał płacić rachunki, coś mu w tym przeszkadzało.

Coś jak wciąganie lub wstrzykiwanie koki. Ma gość priorytety. Znowu pomyślałem o tym jak podobni byliśmy ja z Lindy. I jak podobni byli nasi ojcowie – gdzie u mojego taty narkotykiem była praca.

Wziąłem od niej książkę. Wiedziałem, że spędzę nad nią dzisiejszą noc, nawet jeśli miałbym w ogóle nie spać. W końcu przejrzeliliśmy resztę pudeł. W drugim znaleźliśmy pełno albumów i wycinków gazet,

wszystkie o jakiejś aktorce Ida Dunleavy. Znalazłem również plakaty: Ida Dunleavy jako Portia w *The Merchant of Venice*. Ida Dunleavy w *The School for Scandal*. Były załączone nawet recenzje.

- Posłuchaj tego – powiedziała Lindy. – Ida Dunleavy zostanie w naszej pamięci jako jedna z największych gwiazd sceny naszych czasów.

- Chyba jednak nie. Nigdy o niej nie słyszałem – spojrzałem na datę wycinka, 1924.

- Spójrz jaka była ładna.

Lindy pokazała mi kolejny wycinek, na którym widniała piękna ciemnowłosa kobieta w starodawnej sukni. Następny wycinek był o ślubie. „ Aktorka Ida Dunleavy poślubia wybitnego bankiera, Stanforda Williamsa.” Później wycinek o poświęceniu kariery dla dzieci. Eugene Dunleavy Williams urodzony w 1927, Wilbur Stanford Williams w 1929. Storna była zapisana notatkami starym, fantastycznym charakterem pisma. Wycinek z 1930 głosił, „Bankier Stanford Williams odbiera sobie życie.”

- Zabił się – mówi Lindy, czytając. – Skoczył z okna. Biedna Ida.

- Musiał być jednym z tych kolesi, którzy stracili cały swój majątek w Czarny Czwartek.³⁵

- Myślisz, że tutaj mieszkali? – Lindy dotykała żółto-złotego papieru. – Albo może ich dzieci lub wnuki? To takie smutne.

Przejrzała resztę albumów. Było jeszcze kilka artykułów o Stanfordach, zdjęcie dwóch chłopców w wieku trzech lub czterech lat i nic więcej. Lindy odłożyła album na bok sięgnęła w głąb po następne pudło. Otworzyła jedno z nich i usunęła skrawki cienkiego papieru, w skutek czego na jej rękach został kurz. W końcu jej oczom ukazała się zielona, atłasowa sukienka, coś pomiędzy kolorem mięty a złota.

- Spójrz! To jest sukienka Idy, ze zdjęcia. – Przyłożyła ją do siebie. Wydawała się być dokładnie w jej rozmiarze.

- Powinnaś ją przymierzyć.

- Och, nigdy nie będzie na mnie pasować.

Ale zauważyłem, że ciągle ją trzyma dotykając pozłacaną lamówkę na przedzie. Kilka oderwanych paciorków zwisało na pojedynczych nitkach, ale poza tym suknia była w dobrym stanie.

- Włóż ją – powiedziałem. – Idź na dół, jeśli obawiasz się, że będę podglądał.

- Nie o to chodzi.

Ale podniosła wysoko sukienkę, obróciła się z nią dookoła i znikła na schodach. Poszedłem do skrzyni. Chciałem znaleźć coś fajnego, by móc jej pokazać jak wróci. W pudle na kapelusze znalazłem cylinder. Przymierzyłem go, ale ciągle zjeżdżał z mojej zwierzęcej głowy. Schowałem więc go za sofą. Były tam również rękawiczki i peleryna do kompletu. Te pasowały już trochę lepiej. Stanford musiał mieć wielkie dłonie. Otworzyłem kolejne pudło i znalazłem stary gramofon oraz kilka płyt. Właśnie chciałem je wyciągnąć, gdy wróciła Lindy.

Miałem rację co do sukni. Była uszyta jakby specjalnie na jej sylwetkę. Wcześniej zakładałem, że jej ciało nie było specjalnych kształtów, ponieważ kryła je pod bluzami i luźnymi spodniami. Ale teraz, w satynowo-koronkowej sukni, przylegającej w każdych właściwych miejscach, nie mogłem oderwać od Lindy wzroku. A jej oczy, o których myślałem, że są szare, teraz były dokładnie tego samego odcienia zieleni co suknia.

Może powodem był mój ostatnio mały kontakt z dziewczynami, ale wyglądała gorąco. Zmieniła się aż tak bardzo jak ja? Czy zawsze wyglądała w ten sposób, tylko wcześniej tego nie zauważyłem?

- Rozpleć warkocz – rzuciłem zanim zdążyłem pomyśleć. Czy to było dziwne?

Zrobiła dziwną minę, ale nie sprzeciwiła się. Ściągnęła gumkę i jej włosy spłynęły kaskadą na plecy niczym wodospad płomieni.

Gapiałem się na nią.

- Boże! Lindy, jesteś piękna. - Wyszeptałem.

Zaśmiała się.

- Tak, jasne. Uważasz, że jestem piękna tylko dlatego, że... - zatrzymała się.

- Dlatego, że jestem brzydki? – Dokończyłem za nią.

- Nie zamierzałam tego powiedzieć – ale jej twarz zrobiła się czerwona.

- Nie przejmuj się tym, że możesz zranić moje uczucia. Wiem, że jestem brzydki. Jak mógłbym nie być?

- Ale naprawdę nie o to mi chodziło. To co chciałam powiedzieć to to, że myślisz iż jestem piękna, ponieważ nie znasz żadnych innych dziewczyn, pięknych dziewczyn.

- Ty jesteś piękna – powtórzyłem, wyobrażając sobie jakby to było ją dotknąć, objąć ramionami wokół

śliskiej, zimnej satyny i poczuć przez nią ciepło jej ciała. Musiałem przestać o tym myśleć. Zachować kontrolę.

Gdyby się dowiedziała jak bardzo jej pragnę, mogłoby ją to przerazić. Podałem jej lustro – to lustro. I gdy studiowała swoje odbicie, przyglądałem się jej dyskretnie. Włosy falami spływały jej na jej plecach. Nałożyła również makijaż, wiśniowy błyszczak i trochę różu. Nigdy wcześniej się nie malowała. Ale, oczywiście, wmawiałem sobie, że to ze względu na suknię a nie na mnie.

- Widziałem stary gramofon w jednym z pudeł – powiedziałem. – Możemy zobaczyć czy działa.

- Naprawdę? Ekstra – klasnęła w ręce.

Pokazałem jej stare nagranie. Mała etykiетка głosiła: „Nad pięknym modrym Dunajem”.³⁶

- To chyba się wkłada tak – umieściłem płytę pod igłą.

- Więc puść ją – ale gdy to zrobiłem nic się nie stało.

Lindy wyglądała na rozczarowaną, a później zaczęła się śmiać...

- I tak nie wiem jak się tańczy walca.

- Ja wiem. Mój przy... - urwałem. Chciałem powiedzieć, że gdy miałem jedenaście lat mój przyjaciel Trey zaciągnął mnie na kurs tańca o klubu country bo zmusiła go jego matka. Ale powiedziałem: - W TV puszczali lekcje tańca. Mógłbym ci pokazać. To proste.

- Proste dla ciebie.

- Dla ciebie też. – Wziąłem z pudła rękawiczki i szalik. Chciałem jej dotknąć, ale jednocześnie nie chciałem jej odstręczyć moimi zwierzęcymi łapami. Wyciągnąłem do niej rękę w rękawiczce. – Mogę prosić o ten taniec?

Wzruszyła ramionami.

- Co mam zrobić?

- Wziąć moją rękę.

Zrobiła to. Stałem tam przez sekundę ogłupiały.

- A co z drugą ręką? – Zapytała.

- Och, um połów ją na moim ramieniu. A ja swoją... - objąłem ją w tali, wpatrując się w okno. – A potem po prostu rób to co ja. – Na początek pokazałem jej podstawowe kroki. – Do przodu, w bok, do siebie.

Spróbowała, ale nie wychodziło jej.

- Chodź.

Przyciągnąłem ją bliżej niż powinienem, więc jej nogi były zaraz koło moich. Czułem każdy nerw, każdy napięty mięsień w moim ciele i miałem nadzieję, że nie może poczuć przyspieszonego bicia mojego serca. Zacząłem nią kierować i po kilku próbach załapała o co chodzi.

- Jednak wciąż nie mamy muzyki – powiedziała.

- Nieprawda.

Zacząłem nucić „Nad pięknym modrym Dunajem” i sunąć z nią między pudłami przemierzając pokój. Mieliśmy jednak ograniczone miejsce, więc byliśmy zmuszeni przybliżyć się jeszcze bardziej do siebie. Nie, żebym miał coś przeciwko. Zauważyłem, że pachniała perfumami i, pomiędzy tym a nuceniem, poczułem lekkie zawroty głowy. Ale tańczyłem dalej, obracając ją tak, jak uczył nas nauczyciel tańca, jednocześnie pragnąc znać więcej melodii, by przedłużyć tą chwilę. Ale w końcu skończyły mi się nuty i musiałem przestać.

- Bosko tańczysz, moja droga Ido – powiedziałem. Ale ze mnie osioł!

Zachichotała i uwolniła rękę, ale nie odsunęła się.

- Nigdy nie znałam kogoś takiego jak ty, Adrian.

- Huh. Domyślam się.

- Nie. Miałam na myśli, że nigdy nie miałam takiego przyjaciela jak ty, Adrian.

Przyjaciel. Powiedziała przyjaciel, co było lepsze od słów, które używała wcześniej. Porywacz. Strażnik. Ale i nie było wystarczająco dobre. Chciałem więcej i nie tylko ze względu na kłótnię. Chciałem całej jej. Czy jedyny powód przez który się nie całowaliśmy, jedyny powód przez który mnie nie chciała to dlatego, że wyglądam jak wyglądam? Mogę się założyć. Ale może jeśli będę pracował ciężiej, ujrzę prawdziwego mnie. Z wyjątkiem tego, że tak naprawdę nie wiem już, kim jest „prawdziwy ja”. Zmieniłem się – nie tylko moje ciało ale i cały ja.

- Nienawidziłam cię za to, że zmuszałeś mnie to przebywania tutaj – kontynuowała Lindy.

- Wiem. Ale musiałem, Lindy. Nie mogłem już więcej być sam. To jedyny powód...

- Myślisz, że tego nie widzę? Musiałeś być taki samotny... Rozumiem to.

- Naprawdę?

Pokiwała głową, ale marzyłem by tego nie robiła, prawie tak samo jak pragnąłem by gdy pozwolę jej odejść, powiedziała: „Nie. Zostanę. Nie dlatego, że mnie zmuszasz, albo jest mi Ciebie żal, ale dlatego, że chcę być tutaj z tobą.” Ale wiedziałem, że tego nie zrobię, ale ona nie wypowie tych słów. Zastanawiałem się, czemu nie poprosiła mnie, bym ją uwolnił. Czy może dlatego, że już więcej tego nie pragnęła, że była tutaj szczęśliwa? Nie miałem odwagi mieć nadziei. Nadal czułem jej perfumy, perfumy których nigdy wcześniej nie używała. Prawdopodobnie.

- Adrian, czemu taki... jesteś?

- Jaki?

- Nieważne – odwróciła się. – Przepraszam.

Ale pamiętałem moją historyjkę-przykrywkę.

- Zawsze taki byłem. Jestem zbyt okropny, by można było na mnie patrzeć?

Przez chwilę nic nie mówiła, nie patrzyła na mnie. Przez minutę było tak jakbyśmy oboje zapomnieli jak się oddycha i wszystko było zniszczone, zrujnowane.

Ale w końcu odezwała się.

- Nie.

Znów zaczęliśmy oddychać.

- Twój wygląd nic dla mnie nie znaczy – ciągnęła. – Przywykłam do niego. Byłeś dla mnie bardzo dobry, Adrian.

Przytaknąłem.

- Jestem twoim przyjacielem.

Zostaliśmy tam do wieczora, opuszczając zajęcia.

- Poproszę Willa, byśmy jutro zaczęli trochę później – powiedziałem Lindy.

Pod koniec dnia, Lindy ściągnęła zieloną suknię i umieściła ją z powrotem w pudle. Ale tej nocy w świetle księżyca zakradłem się na poddasze i wziąłem suknię. Schowałem ją pod moją poduszkę. Nikła woń jej perfum dla moich zwierzęcych instynktów była wyraźna, więc wdychałem ją, starając się jednocześnie zapamiętać zapach. Zasnąłem z suknią przy mojej twarzy śniąc o tym, że trzymam Lindy w ramionach, że mnie pragnie tak jak ja jej.

Wiem, że to było niemożliwe. Powiedziała, że jestem jej przyjacielem. Ale następnego poranka, kiedy Lindy zeszła na śniadanie, jej włosy były rozpuszczone, wyszcotkowane i lśniące. Wyczułem na niej perfumy.

I zacząłem mieć nadzieję.

~*~*~

Pokój Lindy znajdował się dwa piętra nad moim. Fakt, że tutaj była, w tym samym domu, śpiąca samotnie, czynił mnie niespokojnym, a noc bezsennością. Wieczorami mogłem niemalże wyczuć jej ciało, które muskały zimne, białe prześcieradła. Chciałem poznać każdy złoty pieg na jej skórze.

Ale teraz byłem rozdrażniony. Moja własna pościel była gorąca, czasami mokra od potu i drapiąca. Torturowałem się obrazami - jej, leżącej obok mnie, w moich ramionach. Zasnęłam myśląc o niej i budziłem się obłany potem, z prześcieradłem zaplątanymi wokół moich nóg. Chciałem jej dotknąć. Dostrzegłem jej łagodność w dniu, kiedy przymierzyła suknię. W jakiś sposób wiedziałem, że łagodnieje na tyle, by się do mnie przekonać.

- Chciałabym, żebyśmy mogli razem chodzić do szkoły – powiedziała pewnego dnia Lindy, kiedy kończyliśmy zajęcia. – Mam na myśli, żebyś mógł chodzić do mojej starej szkoły.

Uświadomiłem sobie, że wciąż chciała odejść, ale razem ze mną.

- Spodobałaby mi się?

Było późne popołudnie. Odśloniłem żaluzje i światło padło wprost na jej włosy, zabarwiając na złoty kolor. Pragnąłem ich dotknąć, ale nie zrobiłem tego. Pomyślała nad moim pytaniem.

- Prawdopodobnie nie. Dzieciaki które tam chodzą, są bogate i zachowują się jak snoby. Ja tam nie pasowałam.

A jak tak. Teraz mnie to zadziwiało.

- Co by powiedzieli twoi przyjaciele, gdyby zobaczyli tam kogoś takiego jak ja?

- Nie mam przyjaciół – uśmiechnęła się. – Ale jestem pewna, że dla niektórych rodziców stanowiłbyś

wielki problem.

Zaśmiałem się, wyobrażając to sobie. Oczywiście, wiedziałem dokładnie, czyich rodziców ma na myśli – oczywiście, żadnego spokrewnionego ze mną, ale byli rodzice którzy chodzili na każde spotkania Rady Szkoły i uczestniczyli w życiu szkoły oraz związanych z nią przedsięwzięciach.

Pomogłem jej zebrać książki.

- „Nie chcę żadnych bestii w szkole do której chodzi moje dziecko!” Tak brzmiałyby ich odpowiedź na jednym ze spotkań. „Zapłaciłem wielkie pieniądze za tą szkołę. Nie możecie jej teraz zmienić z zwierzyniec.”

Wybuchnęła śmiechem.

- Dokładnie.

Zostawiła książki na stole i skierowała się w stronę szklarni. To już był nasz zwyczaj. Gdy lekcje dobiegały końca jedliśmy lunch, później czytaliśmy i dyskutowaliśmy co przeczytamy następane – zadania ludzi, którzy nigdy nie opuszczali domu. Następnie szliśmy do szklarni, gdzie Lindy pomagała mi w podlewaniu i tego typu rzeczach.

- Zrobiło się już zimniej, więc mogliśmy zacząć uczyć się tutaj – zaoferowałem.

- Z przyjemnością.

- Potrzebujesz jakichś kwiatów? – Zadawałem jej to pytanie każdego dnia. Kiedy kwiaty w jej pokoju opadały, wybieraliśmy nowe. To były jedyny prezent, który mogłem jej ofiarować, jedyna rzecz, którą ode mnie chciała. Gdy proponowałem coś innego, zawsze mówiła: nie.

- Tak, byłoby wspaniale. Jeśli nie będzie ci ich brakować.

- Będzie mi ich brakować. Ale jestem szczęśliwy, gdy mogę ci je dać, Lindy, gdy mam kogoś, komu mogę je dać.

Uśmiechnęła się.

- Rozumiem, Adrian. – Zatrzymała się przed biało-herbacyanymi różami. – Wiem jak to jest być samotnym. Przez całe moje życie byłem sama, póki... - zatrzymała się.

- Póki co? – spytałem.

- Nieważne. Zapomniałam, co chciałam powiedzieć.

Uśmiechnąłem się.

- W porządku. Jaki kolor chcesz tym razem? Wydaje mi się, że ostatnim razem miałaś czerwone, ale nie wytrzymują długo, prawda?

Dotknęła opuszkami delikatnie płatków białej róży.

- Wiesz, w mojej starej szkole zakochałam się raz w pewnym chłopaku.

- Naprawdę? – Jej słowa były jak igły lodu i zastanawiałem się, czy znam tego kolesia. – Jaki był?

- Perfekcyjny – zaśmiała się. – Przypuszczam, że typowy chłopak, w którym może się zakochać każda dziewczyna. Przystojny, popularny. Myślałam, że jest również mądry, ale może tylko chciałam, żeby taki był. Ciągle się zadręczam, jak mogłam polubić kogoś tylko ze względu na jego wygląd. Wiesz, jak to jest.

Odwrociłem wzrok, żeby nie patrzeć na moją zwierzęcą rękę dotykając róż. Między różami a jej wspomnieniami o tym wspaniałym kolesiu, czułem się szczególnie ohydnie.

- To jednak dziwne – ciągnęła. – Ludzie przywiązują tak wielką uwagę do wyglądu, ale po pewnym czasie, gdy kogoś poznać, nie zwracasz już na to uwagi, prawda? Po prostu wyglądają jak wyglądają.

- Tak myślisz? – Przynalęm się bliżej, wyobrażając sobie jakby to było narysować linię moim pazurem na jej szyi, wciągnąć w nozdrza zapach jej włosów. – Więc jak miał na imię ten koles?

- Kyle. Kyle Kingsbury. Czy to nie wspaniałe imię? Jego ojciec jest ważnym gościem w przemyśle telewizyjnym. Kiedy go oglądałam, przypominał mi Kyle. Są bardzo do siebie podobni.

Skrzyżowałem ręce, mając jednocześnie nadzieję, że powstrzymam wydostające się na zewnątrz uczucia.

- Więc lubiłaś tego Kyla, tylko dlatego, że był przystojny, miał bogatego ojca i wspaniałe imię?

Zaśmiała się, jakby właśnie sobie uświadomiła, jak płytko to zabrzmiało.

- Cóż, nie tylko dlatego. Był bardzo pewny siebie, nieustraszony, wprost przeciwnie do mnie. Mówił to co myślał. Oczywiście, nawet nie wiedział, że istnieję, z wyjątkiem tego jednego razu... to było głupie.

- Nie. Powiedz mi. – Ale wiedziałem, co zamierzała powiedzieć.

- Pomagałam podczas Balu Wiosennego. Nienawidziłam pomagać w balach. Czułam się głupio i biednie, ale to było... obowiązkowe, jeśli byłeś tam na stypendium. W każdym razie ten chłopak był tam razem ze swoją dziewczyną – przesiąkniętą złem do szpiku kości -Sloane Hagen. Pamiętam, że dał jej

bukieciak z wspaniałych, białych róż. – Dotknęła róże naprzeciwko niej. – Sloane wpadła w szałaś, ponieważ nie były to orchidee, nie były wystarczająco drogie. Ale pamiętam, że pomyślałam wtedy, iż gdybym to ja dostała róże od takiego faceta jak Kyle Kingsbury, byłabym szczęśliwa do końca życia. I jak tylko tak pomyślałam, podszedł do mnie i mi je dał.

- Tak? – O mało się nie zakrztusiłem.

Pokiwała głową.

- Wiem, że dla niego to nie było nic wielkiego, ale w całym moim życiu nikt nigdy nie podarował mi róży. Nigdy. Całą noc spędziłam na wpatrywaniu się w kwiat, w sposób w jaki płatki jego kielicha układały się w małą piąstkę. Był tam nawet mały flakonik z wodą, by nie zwiędł zbyt szybko. I ten zapach – w metrze podczas drogi powrotnej wdychałam go przez cały czas, a w domu włożyłam róże do książki, bym nigdy już nie zapomniała tego zapachu.

- Nadal ją masz?

Skinęła głową.

- Na górce, w książce. Wzięłam ją ze sobą. W tamten poniedziałek chciałam znaleźć Kyle'a by znowu mu podziękować, ale nie było go w szkole. Dowiedziałam się, że zachorował i opuścił resztę semestru. Później wyjechał do szkoły prywatnej za granicą. Nigdy go już nie zobaczyłam.

Wyglądała tak smutno i wtedy pomyślałam jakbym ją wyśmiała, gdyby znalazła mnie w poniedziałek by podziękować za starą, zwiędłą róże. Zaśmiałyby się jej prosto w twarz. Po raz pierwszy byłem wdzięczny losowi, że w tamten poniedziałek nie poszedłem do szkoły. Kendra ochroniła ją przede mną.

- Zetniemy więc kilka? – spytałem.

- Kocham róże, które mi dajesz, Adrian.

- Naprawdę?

Pokiwała głową. (tłum. Kim ona jest? Samochodowym pieskiem z kiwającą głową? >irytacja< Autorka nie zna innych słów? Ehh, muszę zrobić sobie przerwę)

- Nigdy nie miałam ładnych rzeczy. A gdy patrzę jak kwiaty umierają, robi mi się smutno. Żółte róże wytrzymują najdłużej, lecz i tak stanowczo za krótko.

- Dlatego zbudowałem tą szklarnię, bym mógł je podziwiać cały rok. Tutaj nigdy nie panuje zima, choć niedługo zima pokryje świat śniegiem.

- Ale ja lubię zimę. Już prawie Gwiazdka. Brakuje mi wychodzenia na zewnątrz i dotykania śniegu.

- Przepraszam, Lindy. Chciałbym móc dać ci wszystko czego pragniesz.

I robiłem to. Bardzo się starałem, by wszystko co jej dotyczyło, było perfekcyjne: przynoszenie róż, czytanie poezji. Wszystkim co musiał zrobić Kyle Kingsbury by się w nim zakochała, było chodzenie po planecie Piękność. Jeśli byłaby z nim uwięziona, jeśli wiedziałaby o tym, na pewno byłaby szczęśliwa. Ale tkwiąc tu z mną myślała o nim. Na dodatek nie mogłem być dawnym sobą, w ogólnym tego słowa znaczeniu, nawet jeśli byłoby to możliwe. Żyłbym wtedy jak mój ojciec, który w swoim życiu nie miał nic poza wyglądem i kasą. Byłbym nieszczęśliwy, ale nawet nie wiedziałbym dlaczego.

Gdybym nie został przemieniony, nigdy nie dowiedziałbym się, co tracę. Teraz przynajmniej wiedziałem. Jeśli na zawsze pozostanę bestią, będę na pewno o wiele lepszym sobą, niż kiedykolwiek byłem.

Wyciągnąłem nożyce z kieszeni, wybrałem najbardziej perfekcyjną białą róże i podałem Lindy. Chciałem podarować jej wszystko, nawet wolność.

Kocham cię, pomyślałem.

Ale nie wypowiedziałem tych słów na głos. Nie chodziło o to, iż bałem się, że mnie wyśmieje. Była na to za miła. Mój strach był o wiele większy – że nie odwzajemni moich słów.

- Ona nigdy mnie nie pokocha – powiedziałem do Willa, jakiś czas później w jego pokoju.

- Czemu tak mówisz? Przecież wszystko idzie dobrze. Spędzamy wspaniale czas podczas naszych zajęć i mogę wyczuć pomiędzy wami chemię.

- Pewnie dlatego, że to jest klasa chemiczna. Ale ona mnie nie chce. Chce normalnego faceta, kogoś z kim mogłaby spędzać długie spacerki w czasie zimy, kogoś kto może opuścić dom. Jestem potworem. A ona chce kogoś ludzkiego.

Will poklepał Pilota i szepnął mu coś. Pies podbiegł do mnie.

- Adrian, mogę się zapewnić, że jesteś bardziej ludzki niż większość ludzi. Bardzo się zmieniłeś.

- Ale to nie wystarczy. Nie wyglądam jak człowiek. Jeśli wyszedłbym na zewnątrz, ludzie zaczęliby krzyknąć na mój widok. Wygląd ma znaczenie dla większości ludzi. Takie są realia tego świata.

- Nie mojego świata.
Poklepałem pilota.
- Lubię twój świat, Will, ale nie ma w nim zbyt wielkiej liczby ludności. Pozwolę jej odejść.
- I wierzysz, że to jest to, czego ona chce?
- Wierzę, że nigdy mnie nie pokocha i ...
- Co?
- Wiesz, jak to jest, chcieć dotknąć kogoś tak bardzo i nie być do tego zdolnym? Jeśli Lindy nigdy nie zamierza mnie pokochać, nie powinienem się torturować.

Will westchnął.

- Kiedy zamierzasz jej powiedzieć?
- Nie wiem. - Moje gardło bolało tak bardzo, że z ledwością cedziłem słowa. To byłoby niesprawiedliwe z mojej strony, gdybym poprosił ją, by mnie odwiedzała. Mogłaby to zrobić z litości, a ja miałem swoją szansę, by się we mnie zakochała i zawiodłem. – Ale wkrótce.

- Pozwolę jej odejść – powiedziałem Kendrze, której twarz widniała w lustrze.

- Co? Obiło ci?

- Nie. Puszczę ją wolno.

- Ale dlaczego?

- To nie w porządku trzymać ją tu jako mojego więźnia. Nie zrobiła nic złego. Powinna być wolna, cieszyć się swoim własnym życiem i chodzić pośród głupiego, śmierdzącego śniegu.

Pomyślałem o dziewczynie, którą kiedyś widziałem i o plakacie, który miała w swoim pokoju – plakacie motyla na którym widniały słowa: jeśli coś kochasz, zwróć mu wolność. Chyba nie muszę mówić, że wcześniej uważałem to za super głupie.

- Śnieg? – Spytała Kendra. – Mógłbyś zlikwidować szklarnię i wtedy byłby tam śnieg.

- Tak, pewnie. Ona tęskni do wychodzenia na zewnątrz. Do prawdziwego świata.

- To twoje życie, Kyle. Jest dużo ważniejsze niż...

- Nie Kyle, Adrian. I nic nie jest dla mnie bardziej ważne niż to, czego ona chce. Zamierzam to zrobić dziś wieczorem, podczas kolacji.

Kendra wyglądała na zamyśloną.

- To oznacza, że możesz nigdy nie złamać klątwy.

- Wiem. I tak nigdy bym jej nie złamał.

Tej nocy, przed kolacją, przywiązywałem większą uwagę podczas czesania swoich włosów i ogólnej toalety. Słyszałem, jak Magda mnie woła, ale ciągle odwlekałem chwilę zejścia na dół. Nie chciałem, by kolacja się odbyła, ponieważ mogła to być nasza ostatnia.

Miałem nadzieję, że Lindy będzie chciała spędzić tutaj jeszcze jedną noc i odejdzie rano, albo jeszcze lepiej za kilka dni, w ciągu których będzie pakować swoje rzeczy – książki, ubrania, perfumy - które jej kupiłem. Co bym zrobił gdyby odeszła bez nich? Tylko by mi o niej przypominały, tak jakby umarła.

Oczywiście, naprawdę, naprawdę, naprawdę miałem nadzieję, że powie:

- Och, nie, Adrian, nie mogłabym nawet myśleć o tym, by cię zostawić. Za bardzo cię kocham. Ale to takie słodkie i bezinteresowne z twojej strony, iż pozwalasz mi odejść, że chyba cię pocałuję.

I wtedy byśmy się pocałowali, klątwa zostałaby złamana, a ja miałbym Lindy już na wieczność. Co było tym, czego najbardziej chciałem. Być z nią już do końca życia.

Ale nie mogłem na to liczyć.

- Adrian! – Magda pukała. Miałem pięć minut spóźnienia.

- Wejdz.

Weszła w pośpiechu.

- Adrian. Mam pomysł. – próbowałem się uśmiechnąć. – Nie musisz odsyłać panny Lindy. Wydaje mi się, że wiem co możesz zrobić, by czuła się bardziej wolna i dać jej więcej tego czego chce.

- Nie mogę wyjść na zewnątrz. – Przypomniałem sobie dziewczynę z przyjęcia Halloween. – To niemożliwe.

- Nie tutaj – powiedziała. – Ale posłuchaj. Wymyśliłam sposób.

- Magda, nie.

- Kochasz ją, prawda?

- Tak, ale to bezsensowne.

- Ta dziewczyna również potrzebuje miłości. Widzę to. – Wskazała bym usiadł na krześle koło drzwi. –

Najpierw mnie wysłuchaj.

~IV~

Cztery dni później, o czwartej nad ranem czekałem na dole, podczas gdy Magda budziła Lindy. Było ciemno, więc wyglądałem przez okno wiedząc, że nikt mnie nie zobaczy. Wokół nas Miasto, które Nigdy Nie Śpi spało. Ulice były puste. Koło północy spadł świeży śnieg, więc na chodnikach nie było śladów stóp. Nawet śmieciarki nie wyjechały jeszcze w trasę.

- Gdzie się wybieramy? – Spytała Lindy, gdy zeszła na dół.

- Ufasz mi? – Wstrzymałem oddech czekając na odpowiedź.

Miała wiele powodów, by jej odpowiedź była negatywna. Byłem przecież porywaczem, przetrzymywałem ją, chociaż mimo wszystko wolałbym zginać, niż skrzywdzić ją w jakikolwiek sposób. Miałem nadzieję, że mieszkając ze mną przez te pięć miesięcy, była tego świadoma.

- Tak – odpowiedziała, wyglądając na tak zaskoczona swoją odpowiedzią jak ja.

- Jedziemy w jedno niesamowite miejsce. Myślę, że naprawdę ci się spodoba.

- Muszę się spakować?

- Mam wszystko, czego będziesz potrzebowała.

Przyjechał Will, więc poprowadziłem Lindy przez strzeżone wejście na tyłach budynku. Trzymałem ją za nadgarstek, ale nie używałem siły. Nie była już moim więźniem. Gdyby uciekła, pozwoliłbym jej.

Jednak nie zrobiła tego. Moje serce miało nadzieję, że nie uciekła, ponieważ nie chciała odchodzić, ale prawdopodobnie po prostu nie pomyślała, że nie będę jej ścigał. Podążyła za mną do czekającej limuzyny.

Oczywiście, załatwiłem ją przez ojca. Po tym jak odbyłem rozmowę z Magdą, zadzwoniłem do niego do pracy. Zajęło mi trochę czasu, nim przedarłem się przez wszystkie ochronne przeszkody, ale w końcu usłyszałem ten znany głos, pełen ojcowskiej troski.

- Kyle, jestem prawie na wizji. – Była piąta piętnaście.

- Nie zajmę ci dużo czasu. Potrzebuję twojej pomocy. Jesteś mi to winien.

- Jestem ci to winien?

- Słyszałeś mnie. Zamknąłeś mnie w jakiejś chacie pośrodku Brooklynu na ponad rok i nie narzekałem. Nie zwróciłem się również z moją historią o synu-bestii Rob'a Kingsbury'ego do gazety Fox. Sam widzisz, jesteś mi coś winien.

- A co byś chciał, Kyle?

Wytłumaczyłem. Kiedy skończyłem, powiedział:

- Chcesz powiedzieć, że mieszka z tobą dziewczyna?

- To nie jest tak, że to robimy.

- Pomyśl o odpowiedzialności.

Wiesz, tato, gdy porzuciłeś mnie jedynie z pokojówką, straciłeś jakiegokolwiek prawo, by robić mi wywody na temat moralności.

Ale nie powiedziałem tego. Mimo wszystko czegoś od niego chciałem.

- Wszystko jest w porządku, tato. Nie krzywdzę jej. Wiem, że zależy ci tak samo jak mnie, bym pozbył się tej klątwy. – Starłem wyobrazić sobie, co powiedziałaby Will. Will był mądry. – Dlatego tak bardzo mi zależy, żebyś mi z tym pomógł. Im szybciej się stąd wydostanę, tym jest mniejsza szansa, że kto się w końcu zorientuje.

To do niego przemówiło.

- Okej – powiedział. – Zobaczą, co da się zrobić. Muszę wracać na wizję.

Zajął się wszystkim – miejscem, transportem, wszystkim z wyjątkiem ogrodnika, który miał się zająć moimi różami. To była moja sprawa.

Teraz obserwowałem jak Lindy drzemie opierając głowę blisko mojego ramienia, a samochód przekraczał właśnie Manhattan Bridge. Czułem się jak ktoś, komu zrzucili linę na skraju klifu. Była szansa, że się uda, ale jeśli spadnę, to będzie bolesny upadek. Mimo, że Lindy spała, ja nie umiałem. Przyglądałem się oddalającej się panoramie miasta. Nie było tak zimno. Koło południa jaskrawy śnieg zamieni się w błotną breję, ale wkrótce się to zmieni i nadejdą długo oczekiwane Święta.

Magda i Will spali po drugiej stronie limuzyny. Kierowca dostał lekkich drgawek, gdy zobaczył Pilota.

- To pies przewodnik – wyjaśnił Will.

- Czy to oznacza, że nie załatwi się na siedzeniach?

Skwitowałem to śmiechem. Znów ubrałem się jak Beduin, ale teraz, gdy pomiędzy nami a kierowcą była podniesiona ściana, ściągnąłem moje przebranie. Pogłaskałem Lindy po głowie.

- Powiesz mi teraz, dokąd się wybieramy? – Spytała, kiedy wjeżdżaliśmy do Holland Tunnel.

Zastygłem.

- Nie wiedziałem, że się obudziłaś – zabrałem rękę z jej włosów.

- W porządku. To było miłe.

Wiedziała, że ją kocham?

- Widziałaś kiedykolwiek wschód słońca? – Wskazałem w kierunku wschodu, gdzie kilka promieni przedzierało się przez wysokie budynki.

- Piękny – powiedziała. – Opuszczamy miasto?

- Tak. – Tak, moja ukochana. – To jest mój pierwszy raz. Możesz w to uwierzyć?

Nie spytała po raz kolejny, gdzie się wybieramy, zwinęła tylko poduszkę, którą wziętem ze sobą i ponownie zapadła w sen. Obserwowałem ją w słabym świetle poranka. Jechaliśmy powoli na północ, ale mimo wszystko nie zamierzała wyskoczyć z auta. Nie chciała odchodzić. Kiedy minęliśmy George Washington Bridge, ja również pogrążyłem się we śnie.

Gdy się obudziłem, była prawie dziewiąta i dojechaliśmy do Northway. Śnieg pokrywał wzgórza, które lśniły w blasku słońca. Lindy wyrzała przez okno.

- Przepraszam, że nie możemy zatrzymać się na śniadanie – powiedziałem. – Ale mogłoby to wywołać panikę. Magda wzięła kanapki i kilka rzeczy.

Lindy potrząsnęła głową.

- Popatrz na te wzgórza. Wyglądają tak jak w tym filmie – The Sound of Music³⁷.

- Właściwie to są góry, a my zmierzamy w ich kierunku.

- Naprawdę? Nadal jesteśmy w Stanach Zjednoczonych?

Zaśmiałem się.

- Jesteśmy w Nowym Jorku, jeśli jesteś w stanie uwierzyć. Zabieram cię, byś zobaczyła śnieg, Lindy – prawdziwy śnieg, nie breje rozrzucone po ulicy. A tam gdzie się wybieramy, możemy wyjść na zewnątrz i się w nim tarzać.

Nie odpowiedziała, patrzyła się na widniejące w oddali góry. Co jakąś milę widzieliśmy farmę, czasami z krowami lub końmi. Jakiś czas później powiedziała:

- Ludzie żyją w takich domach?

- Jasne.

- Łał. Szczęściarze z nich. Mają tyle miejsc do wędrówek.

Poczułem ukłucie na myśl, że przetrzymałem ją przez tyle miesięcy w zamknięciu. Ale wynagrodzę jej to.

- Będzie wspaniale, Lindy.

Godzinę później zjechaliśmy z drogi Route 9 i znaleźliśmy się pod domem, najlepszym domem, moim zdaniem, otoczonym przez śnieg – biały puch.

- To tu.

- Co?

- Tutaj zostajemy.

Gapiła się na śnieg, który pokrywał skośny dach i czerwone okiennice. Za domem było wzgórze, gdzie jak wiedziałem, leżało zamrożone jezioro.

- Jest twój? – Spytała. – Cały?

- Właściwie to mojego ojca. Byliśmy tutaj kilka razy, gdy byłem jeszcze mały. To było zanim zaczął się zachowywać jak „jeśli opuści jeden dzień w pracy, zostanie zastąpiony.” Po tym, ferie świąteczne spędzałem na nartach z przyjaciółmi.

Zatrzymałem się nie mogąc uwierzyć, że wspominałem o nartach z przyjaciółmi. Bestie nie jeździły na nartach. Bestie nie miały przyjaciół, jeśli ja miałem, to następnym razem kolejne pytania, mnóstwo pytań. To było dziwne, ponieważ czułem, że mógłbym jej powiedzieć wszystko, nawet to, czego nigdy nikomu nie mówiłem, do czego nawet się nie przyznawałem. Choć tak naprawdę niczego nie mogłem jej powiedzieć.

Ale Lindy zdawała się nic nie zauważać. Wyszła już z auta i stała na świeżo odśnieżonym ganku, w różowym szlafroku i włochatych kapciach.

- Och, jak ktokolwiek mógłby nie chcieć wrócić do tej... tej bajecznej krainy?

Zacząłem się śmiać, gramoląc się z limuzyny przez Willem i Magdą. Pilot wyglądał jakby miał ześwirować oraz zacząć biegać i szczebrać na wszystkie płatki śniegu.

- Lindy, nie możesz wychodzić na dwór jedynie w szlafroku. Jest za zimno.

- Nie jest zimno!

- To dlatego, że ogrzałaś się w samochodzie. Jest poniżej zera.

- Naprawdę? – Obracała się w kółko, pokrywając się białymi kropkami. – Więc domyślałam się, że tarzanie się w tym wspaniałym, puchatym śniegu, będzie złym pomysłem?

- Bardzo złym. – Powlokłem się w jej kierunku. Nie było mi zimno, a przynajmniej nie na tyle, by się przeziębici. Mój cienki płaszcz dawał mi wystarczająco ciepła. – Wspaniały i puchaty wkrótce będzie zimny i mokry, a jeśli się rozchorujesz, nie będziemy mogli bawić się na zewnątrz.

Ale ja mógłbym cię ogrzać.

- Wziąłem odpowiednie ubrania.

- Odpowiednie?

- Ciepłą bieliznę.

Zauważyłem, że kierowca wyciąga nasze walizki, więc naciągnąłem na głowę kaptur. Wskazałem na czerwoną torbę.

- Ta jest twoja. Zaniosę ją do twojego pokoju.

- Jest taka duża. Jak długo zamierzamy tutaj zostać?

- Jeśli chcesz to nawet całą zimę. Nie mamy pracy, ani szkoły. To jest wakacyjna okolica. Niektórzy ludzie przyjeżdżają tu w weekendy by pojeździć na nartach, ale przez resztę czasu jest tu pusto. Jestem bezpieczny.

Spojrzała na mnie, jakby na chwilę zapomniała, z kim ma do czynienia. Naprawdę mogło tak być? Potem znów zaczęła krążyć w kółko.

- Och, Adrian! Całą zimę! Spójrz na sople zwisające z drzewa. Wyglądają jak diamenty.

Przystanęła, wzięła w ręce trochę śniegu, uformowała kulkę, po czym rzuciła nią we mnie.

- Ostrożnie. Nie zaczynaj bitwy śnieżnej, jeśli nie możesz jej wygrać – powiedziałem.

- Och, mogę wygrać.

- W szlafroku?

- Czy słyszę wyzwanie?

- Na razie żadnych wyzwań – powiedział Will, idąc z Pilotem w stronę domu. – Wnieśmy walizki, przeberzmy się w coś przyzwoitego i zjedzmy jakieś śniadanie.

Podniosłem walizkę Lindy.

Wymówiła bezgłośnie: przyzwoitego ?

Wymruczałem:

- Ciepła bielizna.

I zaczęliśmy się śmiać.

Mój ojciec przygotował wszystko, o co poprosiłem. Dom był czysty – drewno lśniło i wszystko pachniało Pine-Sol³⁸. Ogień trzaskał w kominku.

- Jak ciepło! – powiedziała Lindy.

- Och, zmarzałaś, młoda damo? – Drażniłem się.

Zaniosłem walizkę do jej pokoju, co doprowadziło do jej dalszych okrzyków i skakania, ponieważ był tam osobny kominek i ręcznie robiona pościel, nie wspominając o okienku, z którego rozciągał się widok na staw.

- Tu jest tak pięknie, a nikt tu nie mieszka. W obrębie kilku mil nikogo nie widziałam.

- Hmm. – Czy rozglądała się za kimś na wypadek, gdyby chciała uciec? Jakby w odpowiedzi na moje niewypowiedziane pytania odpowiedziała:

- Mogłabym tutaj żyć szczęśliwie do końca życia.

- Chcę, żebyś była szczęśliwa.

- Jestem.

Po śniadaniu założyliśmy kurtki i buty, po czym wyszliśmy na dwór.

- Powiedziałem Willowi, że będziemy się uczyć głównie w weekendy – poinformowałem ją – skoro wtedy zjeżdżają się tutaj ludzie. Teraz dalej jesteś chętna, by rozegrać bitwę na śnieżki?

- Tak. Ale możemy najpierw zrobić coś innego?

- Co tylko chcesz. Jestem do twoich usług.

- Nigdy nie miałam nikogo, z kim mogłabym ulepić bałwana. Możesz mi pokazać, jak to się robi?
- Minął jakiś czas, odkąd jakiegoś zrobiłem – powiedziałem. To była prawda. Ledwie mogłem sobie przypomnieć dni, kiedy miałem przyjaciół. Jeśli miałem. – Najpierw musisz zrobić małą kulkę i – to najtrudniejsza część – nie możesz jej we mnie rzucić.

- Okej – mimo grubych rękawic ulepiła kulkę. – Uups! – I trafiła mnie w głowę.

- Mówiłem ci, że to najtrudniejsza część.

- Miałaś rację. Spróbuję jeszcze raz. – Zrobiła kolejną i znowu rzuciła. – Przepraszam.

- To oznacza wojnę. – Wziąłem trochę śniegu. Nie potrzebowałem rękawiczek, a moje łapy były wprost stworzone do robienia kulek. – Jestem mistrzem świata w bitwie na śnieżki.

Rzuciłem jedną w jej stronę. Skończyło się na tym, że sytuacja rozwinęła się na dobre – jeśli chodzi o bitwę śnieżną- którą, tak przy okazji, wygrałem. Ale w końcu zrobiła kulkę i podała mi ją, bym ulepił bałwana.

- Perfekcyjnie – powiedziałem. – Pod koniec zimy będziemy mistrzami w rzeźbieniu z lodu.

Ale to co chciałem powiedzieć to: Kocham cię.

- Więc teraz musisz kulać ją po ziemi, by stała się większa – ciągnąłem. – Wtedy gdy będzie już tak duża, że nie dasz rady jej kulać, będzie to nasza dolna część.

Zaczęła kulać. Jej twarz zaróżowiła się i zielone oczy lśniły, jak zielona kurtka, którą dla niej wybrałem.

- Tak?

- Dokładnie. Musisz zmieniać kierunki, bo w innym wypadku będzie wyglądać jak zrolowana galaretka. Posłuchała zmieniając stronę, prawie turlając kulę na kolanach – w głębokim śniegu. Kiedy kulka miała rozmiary plażowej piłki, dołączyłem do niej, pchając ramię w ramię.

- Świetnie nam to razem wychodzi – powiedziała.

Wyszczrzyłem się.

- Tak.

Zmieniliśmy kierunek w tym samym czasie, dopóki kula nie była skończona.

- Środkowa kula jest podstępna sprawą. – powiedziałem jej. – Musi być wystarczająco duża, ale jednocześnie musisz ją umieścić na dolnej kuli.

Ulepiłszy perfekcyjnego bałwana, potem drugiego, bałwanek, ponieważ nikt nie powinien być samotny. Poszliśmy do Magdy po marchewki oraz resztę rzeczy i gdy Lindy wsadziła marchewkowy nos na swoje miejsce, powiedziała:

- Adrian?

- Tak?

- Dziękuję, że mnie tu zabrałeś.

- To było jedyne, co mogłem zrobić.

Ale to co naprawdę chciałem powiedzieć to: Zostań. Nie jesteś moim więźniem. Możesz odejść kiedy chcesz, ale zostań bo mnie kochasz.

Tej nocy poszedłem spać nie zamykając frontowych drzwi. Nie powiedziałem o tym Lindy, ale mogła sama zobaczyć, jeśli by chciała. Leżałem w łóżku, nad słuchując jej kroków, wiedząc, że jeśli podeszłyby do drzwi i otworzyła je, nie podążyłbym za nią. Jeśli miała być moja, będzie moja na jej własnych warunkach i nie dlatego, że ją do tego zmusiłem.

Zmieniłem pozycję, patrząc na cyfrowy wyświetlacz zegara. Minęło dziesięć minut. Cyfry wskazały północ, potem pierwszą. Nie usłyszałem żadnych kroków. Kiedy zegar wskazał drugą, wślizgnąłem się tak cicho, jak tylko zwierzę potrafi na korytarz i stanąłem pod jej drzwiami.

Nacisnąłem klamkę. Nie miałem żadnego usprawiedliwienia ani wymówki, którą bym mógł się posłużyć, gdyby mnie przyłapała. Jej drzwi miały zamek, więc byłem przekonany, że będą zamknięte.

Na początku, w Brooklynie, robiła wielkie przedstawienie z zamykania drzwi, na wypadek gdybym zamierzał wkroczyć i zrobić jak mówiła „pewne niewypowiedziane rzeczy”. Po jakimś czasie zaprzestała tej szopki, ale założyłem, że te drzwi będą zamknięte.

Nie były. Zamek nie zatrzymał mojej ręki, a moje serce spadło na dół brzucha ponieważ wiedziałem, że jeżeli drzwi były otwarte, mogło to oznaczać, że uciekła. Mogła się wymknąć, gdy na chwilę zmrużyłem oko. Jeśli otworzę drzwi, przekonam się, że jej nie ma. Moje życie było skończone.

Wszedłem i pośrodku tej śnieżnej krainy, gdzie w najbliższej okolicy nie było ludzkiej istoty, usłyszałem oddech miękki jak sam śnieg. Jej oddech, pogrążonej we śnie. Stałem tak przez chwilę bojąc

się poruszyć i jednocześnie chcąc ją obserwować. Nadal tutaj była. Mogła odejść, ale nie zrobiła tego.

Ufałem jej, a ona ufała mnie.

W łóżku Lindy pociągnęła nosem i zamarłem. Słyszała, jak się otwierają drzwi? A może to moje walące serce robiło tyle hałasu? Z jednej strony chciałem, by

mnie zobaczyła, jak ją obserwuje. Ale nie zrobiła tego. Jej ręka przyciągnęła bliżej kołdrę. Było jej zimno. Wycofywałem się powoli na korytarz i znalazłem

szafę, gdzie trzymaliśmy dodatkowe koce. Wybrałem jeden, wślizgnąłem się z powrotem do pokoju i okryłem ją szczelnie kocem. Wtuliła się w niego.

Przeglądałem się jej jeszcze przez dłuższy czas, poświata księżycy padająca na jej rude włosy sprawiała, że lśniły jak złoto.

Wróciłem do pokoju, zasypiając w ciepłym łóżku otoczony przez śnieg na zewnątrz.

Rano nadal tu była. Przyszła trzymając dodatkowy koc z pytającym spojrzeniem na twarzy, ale nic nie powiedziała. Od tej nocy już nigdy nie zamykałem frontowych drzwi. Każdego wieczoru leżałem na łóżku zastanawiając się, co robi. I każdego poranka nadal tutaj była.

~*~*~

Byliśmy już tam tydzień, gdy znaleźliśmy sanki. A tak dokładniej to znalazła je Lindy. Pewnego wczesnego poranka w rozległ się pisk, który wywabił nas wszystkich ze swoich pokoi, przekonanych, że dziewczynę zaatakowało jakieś zwierzę.

Zamiast tego ujrzeliśmy Lindy, podskakującą by dosięgnąć najwyższej półki w szafie.

- Spójrz!

Popatrzyłem.

- To sanki.

- Wiem. Nigdy nie miałam sanek! Jedynie o nich czytałam.

Podskakiwała do góry i na dół, dopóki nie ulitowałem się nad nią i nie ściągnąłem sanek. Oboje na nie spojrzeliśmy. To były wielkie sanie z jasnego, wypolerowanego drewna, na których widniały nikiłe ślady używalności oraz wymalowane słowa flexible flyer.

- Flexible Flyer. Musi się na nich niesamowicie zjeżdżać ze wzgórza. Pewnie jakby się autentycznie leciało.

Uśmiechnąłem się. W minionych dniach ulepiliśmy armię bałwanów („Śniegowych ludzi”, jak mówiła Lindy), a ledwie wczoraj wstałem wczesnie by usunąć śnieg ze zamarzniętego stawu, pod lodowisko. Godzinę później zeszła Lindy, zastając mnie nadal z szuflą w rękach. Oczyszczanie stawu ze śniegu to ciężka praca. Ale było warto, gdy usłyszałem jak woła:

- Lodowisko na stawie! Czuję się jak Jo March³⁹!

I wiedziałem dokładnie, co ma na myśli, ponieważ tydzień wcześniej zmusiła mnie do przeczytania Little Women⁴⁰, mimo, że była to książka dla dziewczyn.

Teraz wpatrywałem się w sanie, wspominając. Mój tata kupił je, gdy byłem mały, miałem pięć może sześć lat. To były wielkie sanie, takie, które pomieszczą więcej niż jedną osobę.

Stałem na szczycie wysokiego wzgórza, bojąc się samemu zjechać na dół. Był weekend, więc byli tam również inni chłopcy, lecz każdy starszy ode mnie. Zobaczyłem kolejnego ojca z synem. Ojciec usadowił się na saniach, później wskazał na chłopca, by usiadł przed nim i objął go pasie.

- Pójdiesz ze mną? – Spytałem.

- Kyle, to nic takiego. Są tam przecież inni chłopcy, którzy radzą sobie sami.

- Ale oni są duzi. – Zastanawiałem się, czemu mnie tu przyprowadził, skoro nie chce zjeżdżać.

- A ty jesteś lepszy, silniejszy. Możesz zrobić wszystko to, co oni.

Zaczął ładować mnie na sanki, a ja rozplakałem się. Inne dzieciaki zaczęły się gapić. Ojciec powiedział, że to dlatego, iż byłem takim beksą, ale ja wiedziałem lepiej. Było im mnie żal. Odmówiłem chodzenia tam samotnie. W końcu tata zaoferował jednemu ze starszych chłopaków pięć dolarów w zamian, że pójdzie ze mną na sanki. Przeżyłem i nawet mi się podobało. Ale nie byłem na sankach od lat. Teraz poklepałem je.

- Ubieraj się. Za chwilę wychodzimy.

- Pokażesz mi jak się zjeżdża?

- Oczywiście. Nic nie uczyniłoby mnie szczęśliwszym.

Nic nie uczyniłoby mnie szczęśliwszym. Odkąd zacząłem przebywać w jej towarzystwie zauważyłem,

że mój sposób mówienia zmienił się, jest elegancki i wytworniejszy, niczym w książkach, które Lindy tak kocha, albo niczym u Willa.

Ale tak, to była prawda! Nic nie mogło uczynić mnie szczęśliwszym niż pomysł stania z Lindy na pokrytym śniegiem wzgórzu, pomagania jej wsiąść na sanie i – jeśli mi pozwoli – zjechania razem z nią.

Wkładała swój różowy kombinezon i zaczęła polerować płozy.

- Dalej, chodź. – Powiedziałem.

Godzinę później byliśmy na szczycie tego samego wzgórza, na którym byłem kiedyś z ojcem. Na początek pokazałem jej pozycję na brzuchu. Poinstruowałem jak ma położyć głowę.

- To jest najzabawniejszy sposób.

- Ale straszny.

- Chcesz, żebym pojechał z tobą?

Wstrzymałem oddech czekając na odpowiedź. Jeśli powie tak, gdy z nią pojedę będę mógł objąć ją ramionami. Nie było innego wyjścia.

- Tak. – Jej oddech zostawił w powietrzu małą chmurkę dymu. – Proszę.

Wziąłem oddech.

- Okej.

Zaciągnąłem sanki na ostatni prosty odcinek przed zjazdem i usiadłem. Wskazałem, by usiadła przede mną. Oplotłem ją rękami w pasie i czekałem, chcąc zobaczyć, czy nie zacznie krzyczeć. Nie zaczęła. Zamiast tego bardziej się we mnie wtuliła i w tym momencie poczułem, że niemalże mógłbym ją pocałować, a ona niemalże by mi na to pozwoliła.

Zamiast tego powiedziałem:

- Siedzisz z przodu, więc kierujesz.

Nosem czułem miękkość jej włosów, cytrynowy szampon do włosów i perfumy. Przez kurtkę mogłem wyczuć bicie jej serca. Byłem szczęśliwy wiedząc, że żyje, jest prawdziwa. Jest tutaj.

- Gotowa? – Spytałem.

Jej serce zabiło szybciej.

- Tak.

Odepchnąłem nas nogami od ziemi i objąłem ją mocniej w pasie. Ruszyliśmy w dół zbocza, wrzeszcząc jak opętani.

Taj nocy rozpałem w kominku. Była to jedna z wielu rzeczy, której się nauczyłem, odkąd jestem bestią. Wybrałem miękkie drzewo sosnowe na podpałkę i pociąłem w malutkie paski. Ułożyłem je w stos, a do środka wepchnąłem kilka stron starych gazet i podpaliłem patrząc jak ogień pożera białe-czarne kartki. Stałem tak przez chwilę, po czym zająłem miejsce obok Lindy, na sofie.

Dzień wcześniej wziąłem sobie pewnie osobne krzesło. Ale założyłem ręce na oparcie za naszymi plecami. Nadal jednak siedziałem jakąś stopę od niej, czekając na jej reakcję. Nie narzekała.

- Jakie to cudowne – powiedziała. – Zima, śnieg i trzeszczący ogień w kominku. Zanim cię spotkałam, nawet nie marzyłam o własnym ogniu w kominku.

- To specjalnie dla ciebie, o pani.

Uśmiechnęła się.

- Gdzie jest Will i Magda?

- Byli zmęczeni, więc poszli spać.

Tak naprawdę zasugerowałem im, że powinni zostać w swoich pokojach. Chciałem pobyc z Lindy trochę sam na sam. Pomyślałem, że może, tylko może, dziś była właśnie ta noc.

- Hmm. – powiedziała. – Jest tak cicho. Nigdy wcześniej nie byłam w miejscu, gdzie byłoby tak cicho.

Odwróciła się i uklękła na kanapie wyglądając za okno.

- I jest ciemno. Mogę się założyć, że można zobaczyć stąd każdą gwiazdę, jaka jest na świecie. Spójrz!

Też się odwróciłem, przez co byłem bliżej niż kiedykolwiek.

- Są piękne. Wydaje mi się, że mógłbym tu żyć już do końca życia i nigdy nie zatęskniłbym za miastem. Lindy?

- Hmm?

- Już mnie nie nienawidzisz, prawda?

- A jak myślisz? – Spojrzała na gwiazdy.

- Myślę, że nie. Ale byłbyś szczęśliwa gdybyś miała zostać ze mną już na zawsze? – Wstrzymałem

oddech.

- W pewien sposób jestem teraz szczęśliwsza niż kiedykolwiek wcześniej byłam. W przeszłości moje życie było ciągłą walką. Mój ojciec nigdy się mną nie zajmował. Odkąd sięgam pamięcią, brakowało nam pieniędzy, a kiedy podrosłam, jeden z moich nauczycieli powiedział, że mam potencjał i dzięki nauce mogę się wyrwać od tego życia. Więc pracowałam ciężko, osiągnąć ten cel.

- Naprawdę jesteś mądra, Lindy. – Było ciężko mówić jednocześnie wstrzymując oddech.

- Ale tutaj, z tobą, pierwszy raz mogłam się naprawdę odprężyć i zabawić.

Uśmiechnąłem się. Drewno w kominku zaczęło się jarzyć ogniem. Odniosłem sukces.

- Więc jesteś szczęśliwa? – zapytałem.

- Bardzo szczęśliwa. Z wyjątkiem...

- Z wyjątkiem czego? Jeśli jest coś, czego chcesz, Lindy, wszystko co musisz zrobić to poprosić, a ja ci to dam.

Spojrzała na jakiś punkt w oddali.

- Mój ojciec. Martwię się o niego. Czy coś mu się nie stało, jeśli nie ma mnie przy nim i nie mogę interweniować. On jest chory, Adrian, a ja byłam jedyną osobą, która się nim opiekowała. I tęsknię za nim. Wiem, iż pewnie myślisz, że to głupie tęsknić za kimś to był dla mnie taki okrutny, kto mnie zostawił nawet się nie oglądając.

- Nie, rozumiem. Rodzice są rodzicami, bez względu na wszystko. Nawet jeśli nie odwzajemniają twojej miłości, są wszystkim co masz.

- Masz rację. – Odwróciła się od okna i usiadła z powrotem, patrząc na ogień. Zrobiłem to samo. – Adrian, jestem tutaj szczęśliwa. Tylko po prostu... gdybym mogła się dowiedzieć, czy nic mu nie jest.

Czy to wszystko zostało ustawione? Była dla mnie miła tylko dlatego, że chciała coś w zamian? Przypomniałem ją sobie na sankach, gdy tuliła się do mojej piersi. To wszystko nie mogło być tylko na pokaz. Nadal jednak czułem, jak moja głowa pulsuje, jakby miała wybuchnąć.

- Gdybym choć przez chwilę mogła go zobaczyć...

- Wtedy tutaj ze mną zostaniesz?

- Tak. Chcę tego. Jeśli tylko...

- Możesz. Poczekaj tutaj.

Zostawiłem ją, czując na sobie jej wzrok. Drzwi wyjściowe nie były zamknięte. Musiała to zauważyć. Mogła zniknąć którejs nocy i pozwoliłbym jej na to. Ale została. Powiedziała, że jest szczęśliwa. Że będzie szczęśliwa móc ze mną zostać, gdy tylko dowie się, że z jej ojcem wszystko w porządku. Gdy tylko zobaczy, że jej ojciec wie szczęśliwe, hulankowe życie ze swoimi koleżkami-ćpunami, wszystko będzie okej.

Wiedziałem, jak się czuła. Oglądałem mojego ojca w TV więcej razy, niż mogłem zliczyć. Ona również powinna móc zobaczyć swojego.

Gdy wróciłem, nadal siedziała na swoim miejscu. Podałem jej lustro.

- Co to jest? – Spojrzała na odwrotną stronę lustra, pokrytą srebrem, a później obróciła odbiciem do siebie.

- Jest magiczne – powiedziałem. – Zaczarowane. Patrząc w nie, możesz ujrzeć kogokolwiek i gdziekolwiek tylko chcesz.

- Tak, jasne.

- Naprawdę. – Wziąłem je od niej i przytrzymałem. – Chcę zobaczyć Willa.

Odbicie w lustrze zmieniło moją zwierzęcą twarz na Willa, czytającego w swoim pokoju, do którego wpadało jedynie światło księżyca. Podałem je Lindy. Gapiła się w nie i chichotała.

- To naprawdę działa? Wystarczy, że poproszę i pokaże mi kogokolwiek będę chciała?

Kiedy przytaknąłem, powiedziała:

- Chcę zobaczyć... Sloane Hagen.

Na widok mojego pytającego wzroku, powiedziała:

- To ona była tą snobistyczną dziewczyną z mojej szkoły.

Odbicie natychmiast się zmieniło, ukazując Sloane, która również patrzyła się w lustro, wyciskając krostkę. To była jedna z tych dużych, z których wychodzi biała maź.

- Faj!

Zaśmiałem się. Lindy również.

- To dopiero zabawa. Mogę zobaczyć kogoś innego?

Chciałem powiedzieć tak, lecz zaraz przypomniałem sobie jak mówiła, że się jej podobałem. Co się stanie, jeśli powie lustru, by pokazało jej mnie? Zobaczysz wtedy ten pokój?

- Powiedziałaś, że chcesz zobaczyć swojego ojca. Później będziemy mieli jeszcze czas. Będziesz mogła nawet zobaczyć prezydenta. Raz widziałem go w łazience w Gabinetcie Owalnym⁴¹.

- Łał, jesteś zagrożeniem dla bezpieczeństwa narodowego. – Zachichotała. – Dobrze. Zrobimy to później. A teraz... - spojrzała na lustro – chcę zobaczyć mojego ojca.

Jeszcze raz obraz zmienił się. Tym razem ukazując uliczny zaułek, ciemny i brudny. Leżały tam ćpyny, praktycznie niczym nie różniące się od innych bezdomnych z Nowego Jorku. Lustro ukazało zbliżenie. Jeden z facetów kaszlał i trząsał się. Wyglądał na chorego.

- O, Boże. – Liny płakała. – Co mu się stało? Oto do czego doszło, gdy mnie przy nim nie ma!

Łkała. Chciałem ją przytulić, ale odepchnęła mnie. Wiedziałem dlaczego. Obwiniła mnie za całą sytuację. To była moja wina, moja wina, za to, że kazałem jej zostać.

- Powinnaś do niego iść – powiedziałem.

Tak szybko jak to powiedziałem, chciałem wepchnąć słowa z powrotem do moich ust. Ale nie mogłem. Powiedziałbym cokolwiek by powstrzymać jej płacz, by się na mnie nie złościła. Nawet to.

- Iść do niego? – Spojrzała na mnie.

- Tak. Jutro rano. Dam ci pieniądze i będziesz mogła pojechać pierwszym autobusem.

- Iść? Ale.. – przestała płakać.

- Nie jesteś moim więźniem. Nie chcę, żebyś tu została, ponieważ nie masz wyboru. Chcę żebyś tu została, ponieważ... - zapatrzyłem się w ogień. Palił się szybkim, jasnym płomieniem, ale wiedziałem, że jeśli nic nie zrobię, zgaśnie. – Chcę żebyś odeszła.

- Odeszła?

- Idź do niego. To twój ojciec. Wróć, kiedy będziesz chciała, jeśli będziesz chciała – jako mój przyjaciel, nie jako mój więzień.

Ja również płakałem, lecz mówiłem bardzo powoli, by głos mi nie drżał. Nie zobaczy łez na mojej twarzy,

- Nie jesteś moim więźniem. Musiałaś jedynie poprosić o odejście. Zrobiłaś to.

- Ale co z tobą?

To było dobre pytanie, jedyne na które nie mogłem odpowiedzieć. Ale musiałem.

- Poradzę sobie. Zostanę tutaj na resztę zimy. Lubię wychodzić na dwór nie przejmując się, że ktoś mnie zobaczy. A wiosną wrócę do miasta, do moich róż. W kwietniu. Przyjdiesz mnie odwiedzić?

Nadal wyglądała na niepewną, ale po chwili powiedziała:

- Tak. Masz rację. Mogę cię wtedy zobaczyć. Ale będę za tobą tęskniła, Adrian. Będę tęskniła za chwilami, które razem spędzaliśmy. Te miesiące... Jesteś najprawdziwszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałam.

Przyjaciel. Świat zadawał mi uderzenia niczym siekiera, którą rąbałem drewno na rozpałkę. Przyjaciel. To było wszystko, kim mogłem dla niej być.

Ale miałem rację, pozwalając jej odejść. Przyjaźń nie była wystarczająca by złamać klątwę. Nadal jednak Ignąłem to tej przyjaźni.

- Musisz odejść. Jutro. Zadzwońię po taksówkę, by zabrała cię na przystanek autobusowy. Będiesz w domu przed wieczorem. Ale proszę... - odwróciłem wzrok.

- O co chodzi, Adrian?

- Nie oczekuj, że jutro się pożegnają. Jeśli zajdę by powiedzieć do widzenia, mogę już cię nie puścić.

- Nie powinnam odchodzić. – Spojrzała uspakajający ogień, potem na mnie. – Jeśli to sprawi, że będziesz smutny, nie powinnam.

- Nie. Byłem samolubny trzymając cię tutaj. Wracaj do swojego ojca.

- To nie było samolubne. Byłeś dla mnie miłszy niż ktokolwiek, kogo kiedyś znałam.

Ujęła moją rękę, moją odrażającą łapę. Widziałem, jak w jej oczach wzbierają łzy.

- Więc odwdzięcz mi się, szybko opuszczając ten dom. Jedyne tego pragnę.

Wyswobodziłem delikatnie rękę z jej uścisku. Napotkała mój wzrok, chcąc coś powiedzieć, lecz pokiwała tylko głową i uciekła do pokoju.

Kiedy znikła, wyszedłem na zewnątrz, na śnieg. Miałam na sobie jedynie jeansy i podkoszulkę, a na dworze panował mróz. Tak ostry, że w jednej sekundzie przeniknął mnie do kości, mimo mojej extra

izolacji. Nie dbałem o to. Chciałem, żeby było mi zimno, bo przynajmniej w taki sposób mogłem cokolwiek czuć, coś innego niż tę nagłą bezgraniczną pustkę i poczucie straty.

Spojrzałem w górę, czekając aż w pokoju Lindy zapalą się światła. Widziałem jej cień prześlizgujący się po zasłonach, gdy poruszała się po swoim pokoju. Jej okno było jedynym światłem pośród tej ciemnej, mroźnej nocy.

Uniosłem głowę wyżej, szukając księżycy. Był ukryty pośród drzew, ale zobaczyłem gwiazdy – gwiazdy i jeszcze więcej gwiazd nad nimi, dalej jeszcze więcej za tamtymi, miliony gwiazd, więcej niż widziałem w ciągu całego mojego życia w Nowym Jorku, więcej niż wszystkie światła miasta. Nie chciałem oglądać gwiazd. Nie mogłem znieść ich piękna i ilości. Pragnąłem jedynie samotnego księżycy.

W końcu światła w pokoju Lindy zgasły. Zaczekałem, póki nie miałem pewności, że zasnęła. Nie mogłem sobie wyobrazić jakby to było, zasnąć u jej boku. Nie mogłem już więcej znieść próby wyobrażenia sobie tego.

Oderwałem oczy od okna i znalazłem za drzewem księżyc. Kucnąłem, odrzucając do tyłu moją głowę i zawyłem do niego. Zawylem, jak bestia którą byłem, bestia którą pozostanę już na zawsze.

~*~VI~*~

Następnego dnia była sobota, dzień w który zazwyczaj się uczyliśmy. Ale tym razem to był dzień, w którym Lindy odeszła.

Po tym jak dzwoniłem po taksówkę i sprawdziłem rozkład jazdy autobusów, zaszyłem się w moim pokoju i obserwowałem Lindę przez lustro. Myślałem nawet nad tym by go jej oddać, na pamiątkę mnie i wspólnych dni, które przeżyliśmy, ale ostatecznie nie mogłem się przemóc. Jeśli nie mogłem jej mieć, chciałem przynajmniej móc ją oglądać. Gdybym podarował jej lustro, mogłaby nawet na mnie nie spojrzeć. Zdecydować się wymazać mnie ze swojej pamięci. Nie mogłem się z tym pogodzić.

Tak więc obserwowałem ją, jak pakowała swoje rzeczy. Wzięła książki, które razem przeczytaliśmy i zdjęcie naszego pierwszego bałwana. Moich zdjęć nie miała.

W końcu przestałem się chować i zszedłem na śniadanie. Kiedy wróciłem do swojego pokoju, zastałem w nim Willa. Trzymał książkę, którą właśnie przerabialiśmy, ale powiedział:

- Właśnie wracam z pokoju Lindy, gdzie usłyszałem bardzo dziwną rzecz.

- Że odchodzi?

- Tak – Will spojrzał na mnie pytająco.

- Powiedziałem jej, by to zrobiła. Możemy teraz zmienić temat i zająć się czymś weselszym? Les Miserables⁴² była naprawdę zabawną książką – rzuciłem z ironią.

- Ale Adrian, przecież już tak dobrze się układało. Myślałem...

- Chciała odejść. Kocham Lindę zbyt mocno, by przetrzymywać ją tu na siłę. Powiedziała, że wróci. Na wiosnę.

Will wyglądał, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, ale w końcu otworzył książkę.

- Co więc sądzisz o Inspektorze Javert⁴³?

- Myślę, że byłby wspaniały jako postać w musicalu na Broadway'u – powiedziałem śmiejąc się, chociaż chciało mi się płakać.

Sprawdziłem godzinę. Lada chwila powinna przyjechać taksówka Lindy. Jej autobus natomiast odjeżdżał za godzinę. Jeśli to byłaby komedia romantyczna z serii wyciskaczy łez, w tej chwili pojawiłaby się dramatyczna scena, w której biegnę na przystanek i błagam Lindę by została, a ona w końcu uświadamia sobie co do mnie czuję i mnie całuje. Ja się zmieniam, a potem żyjemy długo i szczęśliwie.

W rzeczywistości Will zapytał mnie co sądzę o politycznym punkcie widzenia Victora Hugo w Les Miserable i odpowiedziałem mu, choć nie pamiętam, co to było. Ale pamiętam godzinę (9:42) w której taksówka wjechała na podjazd by zabrać Lindę. Wyczuwałem jak dojechała na dworzec autobusowy (10:27) i wiedziałem kiedy jej autobus opuścił przystanek (11:05). Nie oglądałem tych rzeczy przez lustro. Po prostu wiedziałem. Nie było żadnego filmowego zakończenia. Było tylko zakończenie.

Tej zimy nie wróciłem do miasta. Zamiast tego zostałem na wsi, odbywając każdego dnia długie spacerki, podczas których jedynie inne bestie, dzikie, mogły mnie zobaczyć. Zacząłem zapamiętywać każdy układ lotów wszystkich zimowych ptaków, kryjówek wiewiórek i królików. Pomyślałem nawet, że może będę to robił każdej zimy. Móc wychodzić na zewnątrz było wspaniałym uczuciem. Zastanawiałem się, czy to właśnie tak zaczynał Yeti. Wcześniej nigdy nie wierzyłem w takie rzeczy. Teraz byłem pewny, że to jest prawda.

Przyznaję, używałem lustra by szpiegować Lindy. Nie było tu moich róż, więc zajęcie to stało się moim życiem, moją obsesją, którą wcześniej były kwiaty.

Na swoją obronę mogę powiedzieć tylko tyle, że robiłem to w ciągu dnia, podczas jej codziennych obowiązków. Robiąc to dowiedziałem się, że odnalazła swojego ojca, przeprowadzili się do jeszcze bardziej podniszczonego mieszkania w jeszcze gorszej dzielnicy w Brownsville i zaczęła chodzić do publicznej szkoły. Wiedziałem, że to moja wina, iż utknęła w tej szkole. Zmuszając ją do zostania ze mną i zamykając spowodowałem, że straciła swoje stypendium w Tuttle.

Obserwowałem ją, jak szła do szkoły, między szarymi budynkami pokrytymi graffiti, rozbitymi autami i zdemoralizowanymi dziećmi. Widziałem jak przemierza szkolne korytarze, ciasne, zatłoczone, z obskurnymi szafkami i plakatami na ścianach głoszącymi, że możesz osiągnąć sukces! Myślałem, jak musi mnie nienawidzić w tej chwili.

Marzec – przestałem oglądać ją w czasie dziennych godzin. Ale obserwowanie jej wieczorami było o wiele gorsze, ponieważ nic nie wskazywało na to, by za mną tęskniła lub o mnie myślała. Pograżała się w książkach, tak jak robiła to zanim ją poznałem.

W końcu zacząłem zaglądać do niej jedynie w nocy, gdy spała. Każdej nocy, gdy zegar wybił północ, patrzyłem na nią. W tym czasie mogłem fantazjować, że o mnie śni. Ponieważ jaśniłem o niej cały czas.

W kwietniu, gdy się nie pojawiła, wiedziałem, że wszystko jest skończone.

Śnieg leżał gdzieśgdzieś pokrywając ziemię, a lód na jeziorze zaczął topnieć. Unosił się jak góry lodowe, budząc żaby spod ziemi. Topniejące góry przemieniły się w wodospady, a to oznaczało nurkowanie, spływy i sezon turystyczny.

- Myślałeś nad tym by wrócić do domu? – spytał pewnego dnia Will przy kolacji.

Była sobota. Przestałem wychodzić na zewnątrz i spędzałem dni na gapieniu się przez okno, gdzie samochody – prawdopodobnie pełne turystów – zakłócały spokój wiejskiej drogi.

- Jakiego domu? – powiedziałem. – Dom jest tam, gdzie twoja rodzina. Nie mam domu. Albo sam jestem sobie domem.

Spojrzałem na Magdę, która siedziała naprzeciwko mnie. W przeciągu ostatnich miesięcy przestała być tylko służącą.

- Przepraszam – zwróciłem się do niej. – Wiem, że nigdy nie widziałeś swojej rodziny. Musisz myśleć, że jestem niewdzięczny...

- Wcale tak nie myślę – przerwała mi. – Obserwowałam cię, zauważyłam jak się zmieniłeś w przeciągu tych dwóch lat.

Zesztywniałem na słowa „dwóch lat”. Nie minęły jeszcze dokładnie dwa lata, ale termin był coraz bliżej. Mój czas się kończył. Równie dobrze mógłby się zakończyć w tej chwili, ponieważ i tak nie było już nadziei.

- Wcześniej byłeś okrutnym chłopcem, chłopcem który żył by sprawiać ludziom smutek. Teraz jesteś dobry i troskliwy.

- Tak, dobry i troskliwy – wzruszyłem ramionami. – Samo dobro.

- Gdyby istniała jakakolwiek sprawiedliwość, ta straszna klątwa zostałaby złamana i nie musiałbyś robić tych niemożliwych rzeczy.

- To nie było niemożliwe – bawiłem się łyżką od zupy. Byłem już dobry w posługiwaniu się pazurami przy jedzeniu. – Po prostu nie byłem wystarczająco dobry.

Zwróciłem się do Willa.

- A co do twojego pytania, to myślałem nad tym, żeby tu zostać. W innym miejscu tkwię w zamknięciu jak więzień. A wracając do miasta sprawię tylko, że wrócą wspomnienia tego, co straciłem.

- Ale Adrian...

- Ona nigdy mnie nie odwiedzi, Will. Ja to wiem. – Nigdy nie powiedziałem mu o lustrze, więc nie mogłem teraz wytłumaczyć, że ją obserwowałem, że nie widziałem żadnego znaku, który świadczyłby o jej tęsknocie za mną. – Nie mogę wrócić i na nią czekać i czekać, jeśli i tak nie zamierza przyjść.

Tej nocy, kiedy jak co noc podniosłem lustro by oglądać śpiącą Lindy, zobaczyłem zamiast niej Kendrę.

- Więc kiedy wracasz do miasta?

- Czemu wszyscy mnie o to pytają? Podoba mi się tutaj. W mieście nic dla mnie nie ma.'

- Jest Lindy.

- Jak powiedziałem, w mieście nic dla mnie nie ma.

- Nadal masz jeszcze miesiąc.

- To jest niemożliwe. To koniec. Zawiodłem. Na zawsze pozostanę bestią.

- Kochałeś ją, Adrian?

To był pierwszy raz kiedy nazwała mnie Adrian. Wpatrywałem się w jej dziwne, zielone oczy.

- Zmieniłaś włosy, obcięłaś się? Pasuje ci.

Zaśmiała się.

- Stary Kyle Kingsbury nigdy by tego nie zauważył.

- Nie jestem Kylem Kingsbury w żadnym stopniu.

Pokiwała głową.

- Wiem. I dlatego jest mi smutno, że zmagasz się z klątwą Kyle'a Kingsbury'ego. – To było prawie dokładnie to samo, co powiedziała Magda. – Co sprowadza mnie z powrotem do mojego pytania – tego, które tak sprytnie unikasz. Kochałeś ją?

- Czemu niby miałbym ci powiedzieć?

- Ponieważ nie masz nikogo innego, komu mógłbyś się zwierzyć. Twoje serce jest złamane i nie masz nikogo, komu mógłbyś zaufać.

- A więc mam zaufać... tobie? Zniszczyłaś moje życie. Teraz chcesz i moją duszę? W porządku. Kochałem ją. Nadal ją kocham. Była jedyną osobą w moim życiu, która naprawdę ze mną rozmawiała, bez względu na mój wygląd, bogatego ojca. Przejmowała się mną – nawet mimo tego, że byłem bestią. Ale nie kochała mnie. Nie patrzyłem na lustro. Nie mogłem, bo mimo tego, że mój ton był sarkastyczny, słowa były szczerą prawdą. – Bez niej straciłem nadzieję, straciłem życie. Będę żył w niedoli i umrę w samotności.

- Adrian...

- Nie skończyłem.

- Wydaje mi się, że jednak tak.

- Masz rację. Jestem skończony. Gdybym był normalny, może miałbym jeszcze szansę. I nie chodzi mi o mój dawny wygląd, ale to za wiele by oczekiwać, że dziewczyna zainteresuje się kimś, kto nie jest nawet człowiekiem. To chore.

- Jesteś człowiekiem, Adrian. Masz miesiąc. Nie chcesz wrócić przynajmniej na ten miesiąc? Nie masz nawet tyle wiary w nią?

Zawahałem się.

- Wołałbym jednak zostać tutaj. Gdzie nie jestem dziwolągiem.

- Miesiąc. Co masz do stracenia, Adrian?

Myślałem nad tym. Podałem się i zdażyłem już pogodzić z tym, że na zawsze zostanę bestią. Wrócić do tego by znów mieć nadzieję, nawet na miesiąc, będzie bardzo trudne. Ale bez nadziei nie miałem nic. Nic poza byciem bestią, uwięzioną w domu do końca moich dni, zajmującą się różami by wyżej rosły, czytającą każdą książkę z Publicznej Biblioteki Nowego Jorku i czekającą na śmierć.

- Miesiąc – zgodziłem się.

~~VII~~

Wróciłem do Nowego Jorku. Facet, który miał zajmować się moimi różami spieprzył sprawę. Połowa roślin zwiędła, podczas gdy druga połowa ledwo zakwitła, na co składał się pojedynczy płatek.

- Inna bestia pożarłaby tego gościa – powiedziałem Willowi.

Ale naprawdę nie myślałem tak. Róże były moje i tylko ja mogłem się nimi opiekować, nikt inny. Całe to katastrofalne zajście jedynie potwierdziło, że byłem im potrzebny. To miłe uczucie, gdy czujesz się potrzebny.

Zastanawiałem się, jakby to było przygarnąć jakieś zwierzątko, może kota, ponieważ one nie musiały wychodzić na dwór. Oczywiście bardzo możliwe, że skończę jak jeden z tych stukniętych staruszków z jakimiś sześcioma kotami. I pewnego dnia sąsiedzi zaczną narzekać na smród, ponieważ okaże się, że umarłem, a koty mnie zjadły.

Mimo wszystko byłoby miło mieć kota. Tak długo póki nie dobierze się do moich róż. Na razie zdecydowałem się rozebrać szklarnię. Chciałem spędzać zimy na północy, a wiosną, gdy wrócę, siedzieć w otoczonym murami ogrodzie, w promieniach słońca.

Zacząłem planować czas na resztę życia jako bestia. Lecz nadal, każdej nocy, sięgałem po lustro i obserwowałem śpiącą Lindy. Zastanawiałem się, czy śni o mnie, tak jak ja o niej.

Zgaduję, że Will również był ciekawy, ponieważ pewnego dnia zapytał:

- Miałeś jakieś wieści od Lindy?

Odkąd wróciłem do miasta minął miesiąc, był czwarty maja, zostały niecałe dwa dni do tego dnia. Byłem w ogrodzie z Willem. Właśnie skończyliśmy czytać Jane Eyre⁴⁴. Nie powiedziałem mu, że przeczytałem to już kilka miesięcy wcześniej, po tym dniu, który spędziłem z Lindy na piątym piętrze. Myślałem o tym dniu przez całe czas, mimo że zapach Lindy na zielonej sukience, którą ciągle trzymałem pod poduszką, dawno już się ulotnił. To był perfekcyjny dzień, dzień w którym pomyślałem, że może mnie jednak pokocha.

- Nigdy bym nie przypuszczał, że spodobałaby mi się książka o tytule Jane Eyre – powiedziałem Willowi zmieniając temat. – Szczególnie, że jest o dzielnej, brytyjskiej guwernantce.

- Czasami sami się zadziwiamy. Co szczególnie polubiłeś w tej książce?

- Cóż, mogę ci powiedzieć, czego nie polubiłem – Jane była za dobra. Kochała Rochestera i nie miała nic na tym świecie, żadnej rodziny, przyjaciół, pieniędzy. Moim zdaniem powinna zostać z Rochesterem.

- Ale na strychu trzymał obłąkaną żonę.

- Nikt o tym nie wiedział. I był prawdziwą miłością Jane. Jeśli kogoś tak kochasz, nic nie powinno stać na twojej drodze.

- Czasami najpierw musisz się zająć sprawami priorytetowymi. Nie miałem pojęcia, że jesteś taki romantyczny, Adrian.

- Nie, żebym miał jakikolwiek powód.

Will położył swoją kopię Jane Eyre na kolanach, czekając.

- Odpowiedź brzmi: nie – powiedziałem. – Nie, nie miałem żadnych wieści od Lindy.

- Przykro mi, Adrian.

- Ale przypominam sobie, co spodobało mi się w tej książce – rzuciłem, podchodząc do miejsca gdzie zasadziłem róże-miniaturki. „Mała Linda” powoli wracała do życia. – Podobała mi się scena, gdy Rochester i Jane zostali rozdzieleni, a on podszedł do okna i wołał jej imię: 'Jane! Jane! Jane!' I wtedy ona go usłyszała i odpowiedziała mu. Tak powinna wyglądać prawdziwa miłość – ukochana osoba powinna być częścią twojej duszy i powinieneś wiedzieć, co ona czuje przez cały czas.

Urwałem z krzaka jedną różę i przyłożyłem do policzka. Pragnąłem zobaczyć w lustrze Lindy, nawet jeśli znaczyło to uwolnienie się od rozmowy z Willem, nawet jeśli mnie nie kochała, nie tęskniła za mną cały czas. Ale pogrążanie się w rozpamiętywaniu jej straty było na nic. Spojrzałem na Willa.

- Więc co następane będziemy czytać? Mam nadzieję, że coś na temat wojen. A może Moby-Dick⁴⁵?

- Przykro mi, Adrian.

- Tak, mnie też.

Kolejna noc. Piąty maj. Dziesiąta trzydzieści. Zostało mniej niż dwie godziny.

W ciągu tych dwóch lat straciłem wszystkich moich przyjaciół, dziewczynę, o której myślałem, że mnie kocha i ojca. Ale zyskałem i prawdziwych przyjaciół, Willa oraz Magdę. Znalazłem hobby. Poznałem też czym jest prawdziwa miłość, nawet jeśli wiedziałem, że uczucie to nie jest odwzajemnione.

Lecz moja twarz, potworna twarz, pozostała dokładnie taka sama. To nie było sprawiedliwe. Nie było sprawiedliwe...

Na niebie świecił księżyc w pełni, jak tej nocy, kilka miesięcy temu, kiedy powiedziałem Lindy, by odeszła. Ale to było miasto, więc nie dostrzegałem dalszych gwiazd za gwiazdami. Podszedłem bliżej do okna i otworzyłem je z zamiarem zawycia do księżycyca jak zrobiłem to tamtej nocy. Lecz teraz tym co wyszło z moich ust, było jej imię.

- Lindy!

Czekałem, lecz nie było żadnej odpowiedzi. Popatrzyłem na zegarek. Prawie jedenasta. I choć wiedziałem, że nie ma już żadnej nadziei, nie mogłem się powstrzymać przed podejściem do lustra ten ostatni raz. Podniosłem je.

- Chcę zobaczyć Lindy.

Zanim obraz zdążył się wyostrzyć i ukazać mi ją, powietrze przebił wrzask. To był jej głos. Rozpoznałbym go nawet gdyby minęły setki lat. Myślałem, że już nigdy go nie usłyszę. Tak blisko – podbiegłem do okna, rozglądając się za nią. Wtedy uświadomiłem sobie, że krzyk dobiega z lustra. Chwyciłem je z powrotem i podniosłem do oczu. Odbicie było ciemne, całe ciemne, więc ledwie mogłem dostrzec cokolwiek, okolicę czy dziewczynę, która, teraz zdałem sobie z tego sprawę, krzyczała moje imię.

- Pomóż mi! Och, proszę pomóż mi, Adrian!

Gdy moje oczy przyzwyczyły się do ciemności, mogłem rozróżnić kształty, budynki. Widziałem te ulice w ciągu dnia. W nocy również nimi chodziła? Tak. Ale gdy bardziej skupiłem wzrok, dostrzegłem, że nie była sama. Koło niej podążała ciemna postać. Trzymała jej ramię i zmusiła do wejścia po schodach prowadzących do ceglatego budynku.

Biegłem ulicą niewiele myśląc. W zasięgu wzroku nie było żadnej taksówki, jednak wiedziałem, że i tak nikt by mnie nie podwiózł. Ruszyłem więc w stronę metra, które tak często obserwowałem, lecz nie byłem w nim od roku. W rękę ciągle trzymałem lustro. Na ulicach było jasno, oświecał je księżyc w pełni i uliczne latarnie. Choć było późno, po drugiej stronie chodnika tłumy ludzi zmierzały w różnych kierunkach.

- Co to było? – Zawołał ktoś i wszyscy spojrzeli w moim kierunku, lecz ujrzeli jedynie cień, którym byłem.

Biegłem, biegłem szybko do tego głosu, do tej jedynej osoby na świecie, która wypowiedziała moje imię, bym mógł je usłyszeć.

Nie przejąłem się zakładaniem płaszcza, byłem więc jedyne w jeansach i koszulce, nie miałem niczego, co mogłoby mnie zakryć. Biegłem w dół ulicy jako bestia w oczach świata. Może pomyślą, że to tylko kostium. W tym mieście, działy się o wiele dziwniejsze rzeczy. Ale biegłem i ktoś krzyczał, ktoś wskazywał palcem. Nie zwalniałem i w końcu zniknąłem pod ziemią.

I to powinien być koniec. Godziny szczytu skończyły się i metra zazwyczaj nie były zatłoczone w czasie późnych, letnich godzin. Wbiegłem na peron. Miałem szczęście – metro czekało. Powinno być pusto, ale widniało w nim kilku kibiców Mets⁴⁶, wracających z meczu.

Wkroczyłem do przedziału i zobaczyłem, że roi się w nim od ludzi, to były tłumy, stali i siedzieli. Rodzice z dziećmi na kolanach, ludzie czepiający się metalowych uchwytów i oparcie siedzeń. Pomyślałem, że może powinienem zaszyć się w tłumie. Próbowałem wmieszać się w ludzi. I wtedy usłyszałem krzyk.

- Potwór!

To był mały chłopiec, jego twarz zastygła w strachu.

- Kochanie, spróbuj zasnąć – jego matka głąskała go po plecach.

- Ale mamusiu! To jest potwór.

- Och, nie bądź niemądry, głuptasie. Nie ma czegoś takiego jak...

Spojrzała w górę. Nasze oczy spotkały się. I w tej chwili, tuziny, setki par oczu spoczęło na mnie.

- To musi być maska – powiedziała matka.

Ktoś za mną chwycił moją twarz, moją głowę. Napierali na mnie. Nie miałem wyboru. Musiałem uwolnić moje pazury. Odwróciłem się do nich. I wtedy wszystko się zaczęło.

- Bestia!

- To jest potwór!

- Bestia w metrze!

- Zadzwońcie po władze metra!

- Zadzwońcie po policję!

I wkrótce wszystko zlało się w jeden wielki wrzask, wrzask przed którym ukrywałem się przez ostatnie dwa lata. Ludzie tłoczyli się naokoło mnie, próbując uciec. Trzymałem ich na odległość dzięki moim pazurom i zębom. Komórki poszły w ruch. Zostanę aresztowany? Zabranym do więzienia czy do zoo?

Nie mogło do tego dojść. Musiałem odnaleźć Lindy.

Lindy.

Lindy mnie potrzebowała. Naokoło mnie krzyk się wzmagił. Poczułem pięści okładające moje plecy. Spojrzałem w lustro, starając się zapamiętać ulice i budynek w którym była oraz dojrzeć adres. Ruszyłem w kierunku drzwi.

Więcej wrzasków, a ciała napierali na mnie w gorącą majową noc.

- Nie jedz mnie!

- Czy policja już tu jedzie?

- Nie mogę znaleźć wolnego połączenia. Zbyt dużo telefonów dzwoni z jednego miejsca.

- Nie pozwólcie mu się wydostać! – Zawołał męski głos.

- Jaja sobie robisz? Niech ktoś go wypchnie, zanim nas pożre!

- Tak. Wypchnijcie go na tory.

Zatrzymałem się, sparaliżowany strachem, pośród kotłującego się tłumu. Nie mogłem tak skończyć.

Nie mogłem umrzeć będąc tak blisko zobaczenia się z nią, uratowania jej. Wzywała mnie. Słyszałem ją, bez względu na to jak zwarłowanie to brzmiało. Musiałem ją odnaleźć. Gdy to się stanie, mogę żyć dalej lub umrzeć. Nie obchodzi mnie to.

Wiedziałem, co muszę zrobić.

Kiedy pociąg zaczął zwalniać, próbowałem przepchać się do wyjścia. Jeden facet chciał zatarasować mi drogę. Rozejrzałem się w poszukiwaniu jakiejś broni i znalazłem jedynie to, co trzymałem. Lustro. Uniosłem je wysoko, po czym opuściłem roztrzaskując na jego głowie. Słyszałem jak lustro się rozbija. Albo może to pękła jego czaszka. Lub jedno i drugie.

Szkoło rozsypało się po całym przedziale, a ludzie rozpierzchli się we wszystkich kierunkach jeszcze bardziej krzyżąc. Robili to tak głośno, że niemal niemożliwym było przypomnienie sobie ciszy, która gościła w moim życiu przez tyle ostatnich miesięcy.

Pozwoliłem by lustro upadło na podłogę, wiedząc, że pozbywając się go jednocześnie pozbywałem się jakiegokolwiek szansy, oprócz jednej, zobaczenia ponownie Lindy.

Tłum ponownie zaczął się zbierać dookoła mnie. Przepychając się, wydałem potężny ryk, który ich wystraszył. I wtedy znalazłem się na czterech łapach, w pozycji, która robiła mnie szybszym, dzikszym. Pobiegłem w kierunku wyjścia.

- Wypchnijcie go na tory! – Ktoś znowu krzyknął.

- Tak! Wypchnijcie potwora na tory.

Ciała kotłujące się, naciskające na mnie oraz ciepło i zapach bijący od nich. Drzwi zamknęły się, pociąg ruszył, a oni popychali mnie i popychali. Wiedziałem, że jak tylko pociąg odjedzie, uda im się wypchnąć mnie na tory i przetrzymają póki nie zjawi się policja.

Lub nie nadjedzie następny pociąg.

To wszystko nie miałooby znaczenia gdyby nie Lindy.

Wszystkie dotychczasowe noce spędziłem kontrolując moją bestialską naturę, chowając pazury, zakrywając zęby, do dziś. Obnażyłem kły. Wysunąłem pazury. Rzuciłem się w kierunku tłumu. Nie byłem już mężczyzną, byłem lwem, niedźwiedziem, wilkiem. Byłem bestią. Mój ogłuszający ryk przetoczył się echem po stacji metra zagłuszając każdy hałas pociągu i ludzi. Moje pazury napotkały mięso i tłum rozproszył się. Jeśli zostanę złapany, na pewno mnie zabiją. Naparłem na tłum i zacząłem biec – nie, pędzić.

Tak, pędziłem jak zwierzę, na czterech nogach, wypadając nagle na pustą ulicę. Na zewnątrz było cicho, lecz nie na długo. Ruszyłem, wciąż na czterech nogach, ponieważ tak było szybciej, pewniej. O tej godzinie, blisko północy, na ulicy było tylko kilka osób. Ale nawet podejrzenie wyglądający członkowie gangu usuwali się na mój widok.

Nie miałem lustra by zobaczyć drogę, jedynie pamięć, pamięć i zwierzęcy instynkt. Pamiętałem, gdzie była Lindy. Pamiętałem jej krzyki. Ponownie dotarły do moich uszy. Podążyłem za nimi. Blok. Następny. Nadal miałem wrażenie, że jestem ścigany. Lecz nie miało to znaczenia. Nikt nie mógł mnie złapać.

Podążyłem za krzykami Lindy przez alejkę, później w dół ulicy, do drzwi, w górę po schodach, do jej pokoju.

To było tutaj. Zatrzymałem się. Dotarłem na miejsce.

~~VIII~~

Spojrzałem na nich. Jakiś facet trzymał ją za przedramię.

- Żadnych pieniędzy, co? – Zagrzmiał. – Twój ojciec powiedział, że będziesz grzecznie współpracować. Ale jeśli nie masz pieniędzy, znajdą się inne sposoby zapłaty.

- Nie! Puść mnie!

- Lindy?

Mężczyzna i ofiara odwrócili się. W porządku, to była Lindy. Mój instynkt, mimo że zwierzęcy, nie mylił się. Mężczyzna-potwór złapał ją za włosy i przyłożył broń do jej głowy.

- Lindy! – Rzuciłem się w jej kierunku. – Znalazłem cię!

- Nie ruszaj się, albo ją zastrzelę.

Przycisnął broń do jej skroni. Nie mógł jej skrzywdzić. Nie po to przebyłem taką drogę, by mógł jej teraz coś zrobić. Bez żadnej kontroli z moich ust wydarł się zwierzęcy warkot.

- Mówię serio – powiedział. – Nie pod...

Urwał. Zobaczył mnie, a jego potworne oczy spotkały się z moimi potwornymi oczami, a zwierzę we

mnie wyczuło smród jego strachu.

- Co do...?

- Jeśli ją skrzywdzisz – powiedziałem głosem bardziej zwierzęcym niż ludzkim – zabiję cię.

- Nie pozeraj mnie! – Krzyknął.

I skierował broń z Lindy na mnie. To było to, na co czekałem. Skoczyłem. Moje zęby wbiły się w jego ramię, a pazury w szyję. W powietrzu rozbrzmiał wystrzał. Moje zęby przesunęły się do jego karku. I wtedy przestał się ruszać.

Odepchnąłem go od siebie i upadł na podłogę. Krwawiłem. Nie powinienem krwawić. Spojrzałem w dół. Krew nie przestawała płynąć. Może moja skóra nie mogła się zaleczyć, jeśli tym, co wyrządziło szkodę była kula. To miałby sens. Ale bolało.

Lindy podbiegła do mnie, potykając się o rannego faceta.

- Adrian, jesteś tutaj.

- Tak, jestem – przytaknąłem.

Świat stawał się rozmazany, bardzo rozmazany, rozmazany i ciemny, czysty, pachnący słodką wonią róż.

- Ale skąd wiedziałeś? – Spytała. – Skąd wiedziałeś gdzie mnie znaleźć?

- Wiedziałem – mój brzuch bolał w miejscu, gdzie przebiła go kula. – Wiedziałem dzięki... – Magii. Miłości. Zwierzęcemu instynktowi. Jak Jane wiedziała o Rochesterze. – Po prostu wiedziałem – wyciągnąłem rękę w jej stronę.

- Powinna wezwać policję. Albo karetkę. – zaczęła odchodzić.

Przypomniałem sobie tłum w metrze, pomyślałem o oficerze policji znajdującym mnie tutaj, zabierającym. Pomyślałem o tym, jak umieram w samochodzie, samotny, tracąc Lindy, gdy dopiero co ją w końcu odnalazłem. Złapałem ją za rękę.

- Proszę. Proszę, nie. Zostań ze mną. Bądź ze mną.

- Chcę z tobą być – zaczęła szlochać. – Powiedziałeś mi, żebym na wiosnę wróciła. I chciałam. Mój ojciec był na haju, jak zawsze, ale powiedział, że pójdzie na odwyk, znajdzie pracę. Tak było przez tydzień. Ale potem zrezygnował. Powiedział, że nie musi pracować tylko dlatego, że ja tego chciałam. To były tego typu rzeczy, które zawsze mówił, ale tym razem było inaczej.

- Dlaczego?

Starłem się, by mój głos brzmiał normalnie. Gdyby wiedziała, jak bardzo byłem ranny, odeszłaby wezwać policję. A byłem bardzo ranny. Tak bardzo, jakby życie wyciekało przez moją skórę. Nie spuszczałem wzroku wiedząc, że wszędzie było pełno mojej krwi.

- Ponieważ poznałam ciebie. Wcześniej wiedziałam jedynie, jak to jest być jego córką, żyć dzień po dniu i czekać, by to wszystko się skończyło. Ale teraz wiem jak to jest mieć kogoś, kto ze mną rozmawia, troszczy się o mnie... jest ze mną... i...

- Kocha cię? – Walczyłem o oddech, a przez półprzymknięte oczy mogłem zobaczyć, jak wskazówki zegarka na mojej ręce poruszają się. 11:59. Wiedziałem o tym już rano. To był koniec. Ale byłem z Lindy. To mi wystarczało. – Dlaczego nie wróciłaś?

- Chciałam wrócić, ale zgubiłam adres. Mój tata zaprowadził mnie do twojego domu siłą, a teraz nie chciał mi powiedzieć, gdzie to było. Kłamał, gdy go pytałam lub mówił, że nie wie. Ale pamiętałam, że twój dom był blisko stacji metra. Mogłam je zobaczyć przez okno, pamiętasz?

Przytaknąłem.

- Postanowiłam więc zwiedzić każdą stację w Brooklynie i poszukać w pobliżu domu ze szklarnią. Każdego dnia po szkole szłam na inną stację. Ale wszystko odbywało się za wolno, więc dzisiejszego wieczoru zdecydowałam, że cię znajdę. Nawet jeśli musiałabym przeszukać Brooklyn cal po cal, wołając twoje imię.

- Wołając moje imię?

- Tak jak Jane Eyre. Przeczytałam ją ponownie w zeszłym tygodniu i pomyślałam o tobie – jak kochankowie zostali rozdzieleni i ...

- Kochankowie?

Było tak ciężko utrzymać oczy otwarte. Była ze mną. Mogłem już sobie po prostu odpuścić.

- Nie! Powinna wezwać karetkę. Jeśli coś ci się stanie, ja...

Z trudem podciągnąłem się.

- Kocham cię, Lindy.

Wybiła północ. Wszystko było skończone. Na zawsze pozostaną bestią. Ale Lindy wróciła. Była tutaj.

- Wiem, że jestem dla ciebie zbyt brzydki, byś mnie pokochała – powiedziałem. – Ale zawsze będę...

- Ja też cię kocham, Adrian. Ale proszę, pozwól mi...

Znów chwyciłem jej rękę.

- Więc mnie pocałuj. Pozwól mi zachować w pamięci twój pocałunek, nawet jeśli umrę.

Było za późno. Za późno, ale i tak się pochylała i pocałowała mnie, moje oczy, policzki i w końcu moje usta. Traciłem przytomność, ale zasmakowałem jej, poczułem ją.

To było wszystko, czego potrzebowałem. Lindy. Teraz mogę umrzeć szczęśliwie.

Kątem oka zauważyłem cień, poruszał się.

- Lindy, uważaj! – Powiedziałem w nagłym przypływie sił.

Powietrze zaczęło nagle dziwnie pachnieć, niczym różę. Ale to musiała być tylko moja wyobraźnia.

- Za tobą! – Krzyknąłem.

Zobaczyłem mężczyznę. Starąłem się ruszyć w jego stronę, dorwać go, ugryźć, tak jak zrobiłem to wcześniej. Ale całe moje ciało było odrętwiałe, ciężkie, tak jakbym już umarł.

Dostrzegłem jak Lindy sięga po broń leżącą na podłodze. Później była samotana, dwie pary rąk chcące złapać jeden obiekt. Wystrzał, odgłos tłuczonego szkła. Cień uciekający przez drzwi.

Lindy odwróciła się do mnie. Z bronii unosił się dym.

- Adrian? – Wpatrywała się w mrok, jakby nie mogła mnie zobaczyć.

Zapadła ciemność, świat zaczął wirować. Powietrze stało się ciężkie, przesiąknięte wonią róż. A pod moimi rękami coś poczułem. Płatki róż. Były wszędzie, pod moimi dłońmi, na ciele, nawet we włosach Lindy. Skąd one się wzięły?

- Tutaj jestem, kochana. – Czy powiedziałem: kochana? Ja? Ale uczucie mojego ciała było takie przyjemne, jakby nic już nigdy nie mogło mnie zranić. Już nie bolało. Byłem martwy?

Nadal dziwnie się patrzyła. W końcu powiedziała:

- Kyle Kingsbury? Ale... gdzie jest Adrian?

Chyba się przesłyszałem.

- Jestem tutaj. Ale jak mnie nazwałaś?

- Kyle Kingsbury, prawda? Z szkoły Tuttle. Może mnie nie pamiętasz, ale kiedyś podarowałeś mi różę.

- Urwała rozglądając się na boki. – Róża... Adrian!

- Lindy... - Podniosłem do oczu rękę i to była ludzka ręka. Dłoń mężczyzny. Tak perfekcyjna.

Dotknąłem twarzy. Ludzka! – Lindy, to ja.

- Nie rozumiem. Gdzie jest chłopiec, który tu wcześniej był? Miał na imię Adrian i był...

- Brzydki? Ohydny.

- Nie! Był ranny. Muszę go odnaleźć! – Ruszyła w stronę drzwi.

- Lindy!

Poderwałem się na nogi. Moja siła wróciła, a gdy spojrzałem w dół nie było żadnej krwi, żadnego bólu. Byłem wyleczony w każdym tego słowa znaczeniu. Lindy biegła do drzwi, a ja biegłem za nią, na szczęście byłem szybszy. Żyłem i tryskałem energią. Złapałem jej dłoń w moją.

- Proszę, zaczekaj.

- Nie mogę, Kyle. Nie rozumiesz. Tutaj był chłopiec i był...

- Mną. – Złapałem jej drugą rękę. – To byłem ja.

- Nie! – Szarpnęła, by się uwolnić, ale trzymałem ją. – Nie, nie był tobą.

- Proszę – przyciągnąłem ją do siebie. Byłem wyższy niż wcześniejszy Kyle i silniejszy. Przyciągnąłem ją do siebie, by nie mogła uciec. Lecz ona wrywała się, bijąc i kopiąc. – Proszę Lindy, po prostu zamknij oczy a dowiesz się, że to co mówię, jest prawdą.

Oplotłem ją jedną ręką, a drugą przykryłem jej oczy. Po chwili poddała się, prawie. Powiedziałem:

- Pewnej nocy była burza z piorunami. Zesłaś na dół, przerażona, zrobiliśmy popcorn – dwie paczki – i oglądaliśmy Narzeczoną księcia – urwałem. Zesztywniała. – Poznajesz mój głos, Lindy? Kiedy film się skończył, zasnęłaś. Podniosłem cię i zaniósłem do twojego pokoju.

Oparła się o mnie, jakby nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Kontynuowałem:

- Obudziłaś się w ciemności i odezwałaś do mnie. Powiedziałeś, że mój głos wydaje ci się znajomy. Był znajomy. To byłem ja. Kyle. Adrian. Jesteśmy jedną i tą samą osobą. Do końca życia będę pamiętał ten dzień, ponieważ to był pierwszy raz kiedy miałem nadzieję, kiedy rozmawiałaś ze mną, nie widząc mojej potworności, tego jak bardzo nie przypominałem człowieka. Pierwszy raz kiedy pomyślałem, że

jednak możesz mnie pokochać.

Odwróciła się do mnie.

- Adrian? Ale jak?

- Magia. Wiedźma rzuciła na mnie urok – czy raczej powiedziałbym okrutną klątwę, która jednak wcale taka nie była, bo doprowadziła mnie do ciebie.

- Co złamało klątwę?

- Magia. To była magia, magia zwana miłością. Kocham cię, Lindy. – Pochyliłem się i pocałowałem ją. A ona oddała pocałunek.

- Adrian!

- Tak – śmiałem się. Nic nie mogłem na to poradzić.

- Możesz zabrać mnie teraz do domu? – Spytała. – Do twojego domu.

Przytaknąłem.

- Pojedziemy metrem – spojrzałem na dół na moje ciuchy, moje za duże ciuchy bestii. – Wiem, że wyglądam trochę dziwnie, ale prawdopodobnie nikt nie zauważy.

Mr. Anderson: Witam na dzisiejszym czacie.

Grizzlyguy: Cześć wszystkim. Jest tu kilka osób, które chciałbym wam przedstawić.

SnowGirl: Hej, Jestem Snow White. Ale nie *ta* Snow White.

RoseRed: Zawsze tak mówisz. To głupie.

SnowGirl: Jesteś po prostu zła, bo znalazłam faceta!

Mr. Anderson: Panie, panie...

Grizzlyguy: W każdym razie to jest Snow White. Jesteśmy zaręczeni.

BeastNYC: Hej, wszystkim. Ja też chciałbym, żebyście kogoś poznali. To jest Lindy. Złamała moją klątwę. Nie jestem już bestią!!!

LilLindarose: Witam wszystkich. Miło was poznać.

SnowGirl: Gratulacje.

RoseRed: To świetnie.

Mr. Anderson: Czekałem by z tobą porozmawiać, Beast. Słyszałem o bestii, która zgubiła się w stacji metra. To byłś ty?

BeastNYC: Oczywiście że nie!

LilLindarose: Wymysł ludzkiej wyobraźni ;)

BeastNYC: Ale złożyło się tak, że przypadkiem byliśmy tam tego samego dnia.

LilLindarose: Wyciągnij własne wnioski.

Froggie: Ja tz mam wieści.

BeastNYC: O co chodzi, Froggie?

Froggie: Spotkałam księżniczkę.

Grizzlyguy: Naprawdę? Pocałowała cię lub co tam potrzebujesz, by zdjąć urok?

Froggie: Jeszcze ni, ale mówi, ee to zrobi.

BeastNYC: To świetnie, Frog. Jak się poznaliście?

Froggie: Grała na swój GameBoy i upuściła go do mojego stwu. Wyciągnąłem go dla niej i wtedy powiedziała, że mnie pocałuje.

Mr. Anderson: Wspaniale, Froggie!

Froggie: Nie daje się ponieść nadziei, księżniczki mogą być zwodnicze.

Mr. Anderson: To brzmi interesująco. Wygląda na to, że wszyscy znaleźli prawdziwą miłość.

BeastNYC: Nie wszyscy.

Grizzlyguy: Ma na myśli SilentMaid. -> smutny

BeastNYC: Tak. Brakuje mi jej.

Mr. Anderson: Tak, ja mówiłem...

Froggie: OMG księżniczka tu jest, zycie mi szczęścia.

Froggie opuścił czat.

Mr. Anderson: Cóż, może już wszyscy powinniśmy iść spać. Gratuluję szczęśliwym parom. Czy

niedługo rozlegną się weselne dzwony?

SnowGirl: Z pewnością. To znaczy, jeśli pomogłaś facetowi zabić karła, powinien się z tobą ożenić.

RoseRed: Zawsze taka była, nic za darmo.

BeastNYC: Nie dla nas. Na razie. Nadal jesteśmy w szkole średniej. Ale któregoś dnia...

LilLindarose: Któregoś dnia...

BeastNYC: W każdym razie, dobranoc. I dzięki za wsparcie.

BeastNYC opuścił czat.

Rozdział 6

~I żyli długo i szczęśliwie~

~~I~~

Minutę później gdy wyszliśmy z budynku ujrzeliśmy policyjne samochody otaczające okolicę. Były tam również tłumy ludzi i reporterów z każdej stacji, włączając mojego ojca. A przed zbiegowiskiem stał tamten facet-diler, który groził Lindy. Rozmawiał z nim.

- To on! – krzyknął gdy mnie zobaczył. – Bestią, która mnie zaatakowała.

Przez tłum przeszedł pomruk niezadowolenia, gdy ujrzeli, że nie jestem żadną bestią.

- To jest bestia? – zawołała reporterka ze stacji telewizyjnej mojego ojca.

- Wcześniej wyglądał inaczej. Miał kły i pazury... i włosy na całym ciele.

Reporterka zwróciła się do Lindy, licząc na jakieś potwierdzenia.

- Panienko, widziałaś bestię?

- Oczywiście, że nie – Lindy spojrzała na mnie i dotknęła moich włosów. – Nigdy nie widziałam bestii. Ale ten człowiek... – zwróciła się w stronę lidera – zaatakował mnie. Mógł mnie nawet zabić, gdyby nie ten chłopak, który mnie uratował.

- Mówię wam – powiedział mężczyzna. – On jest bestią. To dzięki magia zmienił się z powrotem.

- Magia. – Śmiech Lindy był trochę wymuszony, trochę fałszywy. Tłum również się zaśmiał. – Magia i bestie istnieją jedynie w bajkach lub możliwe, że przyczyną były drugi, które wywołały halucynację. Za to bohaterzy i złoczyńcy są prawdziwi.

Teraz mikrofon znalazł się przy mojej twarzy.

- Widziałeś bestię?

- Nie, nie widziałem, żadnej bestii. – Wziąłem mikrofon od reporterki pokazując swój autorytet, tak jak zrobiłby to mój ojciec. – Ale jeśli istnieje tam gdzieś bestia, to może jest ona tylko zwykłym chłopcem, który ma problemy z cerą lub coś takiego. Może potrzebuję odrobiny zrozumienia. Może oceniamy ludzi zbyt pochopnie bazując jedynie na wyglądzie zewnętrznym ponieważ wydaje się nam to prostsze, niż dostrzeżenie tego co jego naprawdę ważne.

Reporterka porwał mikrofon z powrotem.

- Cóż, to było pouczające. – Odwróciła się do mnie i zaczęła mówić do kamery. – Nie ma żadnych poszlak w tajemniczej sprawie, która dotyczy człowieka-bestii, który dzisiejszej nocy sterroryzował Brooklyńskie metro i znajdujących się tam obywateli.

Tłum zaczynał rzednąć. Oficer chwycił dilera.

- Nie tak szybko, kolego. Sprawdziłem twoje akta. Zdaję się, że jesteś na warunkowym... i znaleźliśmy bron o której mówiła dziewczyna. – Zwrócił się do mnie Lindy. – Nie macie nic przeciwko, żeby wybrać się na komisariat i złożyć sprawozdanie z tego co tutaj zaszło?

- Oczywiście, że nie – powiedziałem, myśląc jak bardzo wkurzy to mojego ojca, nie mówiąc o tym jak już musiał bzikować, gdy usłyszał tą całą historię o „Bestii w metrze”, tym bardziej gdy zobaczył relację w swojej własnej stacji. Prawdopodobnie siedział już w moim salonie.

- Pójdę wszędzie – powiedziała Lindy – tak długo jak ty będziesz tam ze mną.

Oficer przewrócił oczami.

- Szczeniacka miłość. Szaleństwo.

Prawdopodobnie mruczał coś jeszcze, ale nie usłyszałem go. Byliśmy zbyt zajęci, całowaniem się.

Minęła godzina nim wróciliśmy do domu. Gdy to zrobiliśmy, ojciec już tam był oglądając CBS Morning News. Ekran za spikerem głosił: Bestia w metrze?, i pokazywał stworzenie podobne do wilka. Krawat ojca był rozwiązany. Wyglądał na wymiętoszonego.

- Wiesz coś na ten temat, Kyle? – wskazał w kierunku ekranu, zdając się nie zauważać mojej przemiany.

- A czemu by miał? – wzruszyłem ramionami. – Z pewnością, nie jestem bestią.

Podniósł wzrok.

- Nie, nie jesteś, nieprawdaż? Kiedy to się stało?

Miał na myśli, przed czy po newsach w wiadomościach. Nie odpowiedziałem na jego pytanie.

- Tato, to jest Lindy.

- Miło mi cię poznać, Lindy – posłał jej swój najlepszy uśmiech prezentera wiadomość, by zaraz potem zlustrować wzrokiem jej koszulkę z Jane Austin, stare tenisówki i pozbawione marki jeansy, kompletnie omijając jej twarz. Typowe. Czy to by go zabiło jakby nawiązał z nią kontakt wzrokowy? – Cóż, chyba powinniśmy to uczcić. Może zabiorę cię na śniadanie?

Również typowe. Teraz gdy byłem normalny, aż się rwał by spędzać ze mną czas. Spojrzałem na Lindy. Zmarszczyła swój nos.

- Nie wydaje mi się – powiedziałem. – Muszę iść porozmawiać z Willem i Magdą, skoro byli tutaj ze mną przez cały czas. A potem idę spać. Byłem na nogach przez całą noc. – Rozkoszowałem się widokiem jego twarzy gdy powiedziałem – Ale hej, musimy to wkrótce zrobić. – Za jakiś rok lub dwa.

Gdy wyszedł, udałem się do Willa. Była piąta rano, więc z pewnością Will jeszcze spał gdy zapukałem do drzwi. Zapukałem głośniej.

- Adrian, może mogło by to jeszcze poczekać. Przecież on śpi. – Lindy pochyliła się do mnie. – I przychodzą mi do głowy inne rozwiązania na zabicie czasu. Tak się za tobą stęskniła.

- Ja również – pocałowałem ją. Pomyślałem o zimie. Byłam tak martwy jak niektóre z Mocg róż, choć nie chciałem się do tego przyznać. – Ale muszę porozmawiać z Willem teraz. To ważne. Za niedługo się sama zobaczysz. On też.

Zapukałem jeszcze głośniej.

- Otwieraj, śpiochu.

Za drzwiami dobiegł stłumiony głos.

- Godzina?

- Godzina by zobaczyć trochę światła. Otwieraj!

- Naślę na ciebie Pilota.

- To pies przewodnika, nie obronny. Otwórz drzwi.

Na początku nie była żadnego dźwięki i pomyślałem, że znowu zasnę. Lecz po chwili gdy byłem gotowy by zacząć walić w drzwi, usłyszałem kroki. Drzwi otworzyły się. Zobaczyłem jak światło uderza Willa w oczy.

- Co do... - spojrzał w lewo, potem w prawo, jego oczy jak nigdy przedtem skupiły się na mnie. – Ale jak... kim jesteś?

- To ja, Adrian. A to jest Lindy. Widzisz nas, stary?

- Tak. Przynajmniej tak sądzę. Ale może to tylko sen. Wmawiałeś mi, że jesteś okropny, że jesteś potworem.

- A ty wmawiałeś mi, że jesteś ślepy. Rzeczy czasami się zmieniają.

Teraz Will się śmiał, tańcząc dookoła pokoju.

- Tak! Rzeczy się zmieniają. Nie mogę w to uwierzyć. I Lindy? To naprawdę ty? Więc wróciłaś do Adriana?

- Tak. Nadal tego do końca nie rozumiem, ale jestem szczęśliwa. Bardzo szczęśliwa.

Uściskała Willa a Pilota, który zazwyczaj popisywał się nienagranym zachowaniem, teraz zdawał się rozumieć, że jego usługi jako przewodnika nie są już potrzebne ponieważ skakał do góry i na dół, szczekał i lizał wszystkich po rękach. Lindy go również uściskała. Kiedy skończyliśmy skakać w kółko, i świętować powiedziałem:

- Gdzie jest Magda?

Jeśli Kendra dotrzymała słowa, Magdzie również powinno się coś przytrafić. Powinna wrócić do swojej rodziny. Ale teraz nie chciałem żeby odchodziła. Potrzebowałem jej, pragnąłem by została. Pobiegłem

korytarzem na dół do pokoju Magdy, Lindy podążała za mną. Zapukałem do drzwi. Żadnej odpowiedzi. Kiedy otworzyłem okazało się, że pokój jest pusty.

- Nie! – praktycznie zmiażdżyłem dłoń Lindy w moim uścisku. Posłała mi zdziwione spojrzenie i przypomniałem sobie jaki wspaniały był dzisiejszym dzień, jaki perfekcyjny. Powiedziałem jednak – Nie zdażyłem się z nią pożegnać. Odeszła nie mówiąc nawet 'dowiedzenia'.

- Magda? – kiedy przytaknąłem Lindy powiedziała – Oh, Adrian, tak mi przykro.

Już miałem zamiar opuścić pokój gdy dostrzegłem na łóżku jakich błysk. Podeszedłem. To było srebrne lustro, dokładnie jak to, które rozbiłem poprzedniej nocy w pociągu. Ale to lustro nie było popękane a patrząc w nie ujrzałem swoje odbicie, tak perfekcyjne jak pamiętałem – proste, blond włosy, niebieskie oczy, nawet opalenizna. Kiedy otworzyłem buzie, moje perfekcyjne usta poruszyły się odsłaniając białe zęby. A koło mego boku stała perfekcyjna dziewczyna, perfekcyjna dla mnie.

Powiedziałem:

- Chcę zobaczyć Magdę.

W jednej w odbiciu pojawiła się Kendra.

~III~

- Gdzie ona jest? – Spytałem Kendry.

- Spotkajmy się na dachu – zbyła mnie. – Słońce zaraz wzejdzie.

Poszliśmy na piąte piętro. Nie byłem tam już od dłuższego czasu. Teraz, będąc tu z Lindy, przypomniałem sobie wszystkie samotne dni, które spędziłem przesiadując na kanapie oraz dzień, gdy byliśmy tu razem. To jest niezwykle, kiedy życie podarowuje ci drugą szansę.

Otworzyłem okno i podciągnąłem się na dach. Potem wyciągnąłem rękę by pomóc Lindy. Dach był płaski, otoczony murkami ze wszystkich stron, więc bez przeszkód mogliśmy po nim chodzić.

Słońce wschodziło. Nowy Jork w promieniach wynurzającego się słońca jest jednym z najpiękniejszych miejsc na świecie. Ludzie robią wiele szumu na temat horyzontu, ale jest on niczym w porównaniu z obserwowaniem różowego słońca przenikającego przez budynki, szczególnie gdy trzymasz za rękę dziewczynę, którą kochasz. Pocałowałem tę dłoń.

- Spójrz. Czy to nie jest najbardziej niewiarygodny poranek?

Ale Lindy nie patrzyła na wschód słońca czy na mnie. Zamiast tego jej wzrok utkwiony był w coś za mną. Podążyłem za jej spojrzeniem i zrozumiałem. Kendra. To był pierwszy raz gdy ją widziałem, odkąd rzuciła na mnie zaklęcie. Była piękna, tak jak tamtego dnia, jej włosy o odcieniu czerni, zieleni i fioletu falowały wokół twarzy, ubrana była na czarno. Za nią widać było stado kruków, które rozbiegły się wzdłuż dachu. Ich skrzydła w promieniach wschodzącego słońca mieniły się tymi samymi odcieniami czerni, zieleni i fioletu co włosy Kendry.

- Kyle, wyglądasz wspaniale.

- Adrian. Wolę Adrian.

- Ja szczerze mówiąc też. Bardziej do ciebie pasuje. – Ruszyła w stronę Lindy. Lub raczej płynęła. Niemal wyglądało to tak, jakby leciała. – I Lindy, nie miałyśmy przyjemności się poznać. Jestem Kendra.

- Kendra, ta...

Zapoznałem Lindy z wszystkimi detalami na temat Kendry, kiedy czekaliśmy ubiegłej nocy na posterunku policji.

- Możesz to powiedzieć – rzekła Kendra. – Wiedźma. Wiesz czym jestem. Są nawet tacy, którzy wolą mnie nazywać nikczemną wiedźmą. To ja jestem odpowiedzialna za klątwę rzuconą na Adriana.

- I jesteś z tego dumna?

- Troszkę. Jest o wiele lepszą osobą niż był na początku.

Lindy nie wyglądała na przekonaną, ale ja przytaknąłem, wiedząc, że to prawda.

- Ale przyznaję, że moje wcześniejsze zaklęcia nie były tak udane. W młodości byłem skłonna do impulsywności – przemienić kogoś w żabę, pytania zadawać później. Inne wiedźmy mnie potępiały, mówiąc, że używając swych mocy zbyt często, mogę przyciągnąć uwagę łowcy czarownic i rozpocząć falę polowań na wiedźmy tak jak to miało kiedyś miejsce w Salem. Za karę zostałam wysłana do Nowego Jorku by pracować jako służąca. Dodatkowo nie mogłam używać mocy.

- Ale użyłaś – domyśliłem się.

Przytaknęła.

- Zrobiłam to, ponieważ zostałam umieszczona w domu nastoletniego chłopca tak okropnego i

niewrażliwego, że poczułam, iż muszę dać mu lekcję. Rzuciłam zaklęcie.

- Rany, dzięki.

Za mną, Lindy ścisnęła moją rękę.

- Inne więdźmy się przeraziły. Rzuciłam urok – duży, z pewnością jeden z tych, który mógłby się zakończyć wydarzeniem jak na przykład... och, no tak, zagubiona bestia w nowojorskim metrze. Dodatkowo szczególnie zaniepokoiło je to, że wybrałam na swoją ofiarę syna sławnego prezentera telewizyjnego.

- Tak, schrzaniłaś sprawę.

Kendra zmrużyła oczy.

- Powiedziały więc, że zostanę z nim na zawsze w tej samej formie, jako służąca.

- Magda? – Zgadłem. – Więc Magda nie jest prawdziwa.

- Jest. – Machnęła ręką i zmieniła się. Teraz była Magdą. – Ona to ja, ja to ona.

- Łał – powiedziałem. – To jest... Myślałem, że... Mam na myśli, Magda była moją przyjaciółką.

- Jestem, kochany – Kenda, teraz Magda, powiedziała. – Od początku się o ciebie troszczyłam i chciałam żebyś był szczęśliwy. Mogłam dojrzeć w tobie ten smutek, który nie pozwalał ci dojrzeć w życiu prawdziwego piękna. To dlatego zrobiłam to, co zrobiłam.

- A co z Willem? On też jest więdźmą?

Magda potrząsnęła głową.

- Nie. Wiedziałam, że Will będzie dla ciebie dobry i nauczy cię tego, co powinieneś wiedzieć. Więc ja, pokorna służąca, zasugerowałam twojemu ojcu, by znalazł niewidomego studenta, który by cię uczył. Will potrzebował pracy, a teraz dzięki twojemu bezinteresownemu życzeniu odzyskał wzrok.

- Ale była również druga część życzenia. Chciałem, żebyś ty... żeby Magda mogła wrócić do swojej rodziny.

- I tak zrobiłam – zeszłej nocy, gdy wybiła północ.

- Nie łapię tego.

- Życzę ci szczęścia, Adrian.

Położyła ręce na ramieniu moim oraz Lindy i poczułem iskierki elektryczności, tak jak wtedy, gdy przez przypadek włożysz palec pomiędzy wtyczkę a gniazdko. Zastanawiałem się, czy nie rzucała na nas jakiegoś zaklęcia. Spojrzałem na Lindy, czy nie przekształca się w hienę lub coś takiego, ale wyglądało, że wszystko jest okej.

- Szczęścia? – Spytałem.

- Nie żebyś go potrzebował. Zasłużyłeś na tę miłość o wiele bardziej niż większość ludzi w twoim wieku. I inaczej niż większość, naprawdę rozumiecie się nawzajem i troszczycie o siebie. Kiedy pozwoliłeś Lindy odejść i wrócić do ojca, wiedziałam, że wszystko się uda.

- Szkoda, że mnie nie wtajemniczyłaś.

Zignorowała to.

- A teraz, dzięki twojemu życzeniu dla Magdy, mogę ponownie połączyć się z moją rodziną.

- Co masz na myśli?

- Nie mogę już rozmawiać. Czekaają na mnie.

Machnęła rękami i zniknęła. Przynajmniej tak mi się wydawało. Ale Lindy wskazała w dół i zdałem sobie sprawę, że dokładnie w tym miejscu, w którym jeszcze przed chwilą stała Magda, znajdował się kruk. Był piękny, duży i szykowny, z czarnymi skrzydłami, w których odbijały się zielone i fioletowe refleksje w promieniach wschodzącego słońca. Wzleciała w górę, przyłączyła się do reszty, i w tym samym momencie wszystkie kruki zgodnym ruchem przeleciały nad naszymi głowami kierując się na wschód, w stronę świtu.

- Łał – powiedziała Lindy, gdy zniknęły z pola widzenia. - Cholera.

- Co się stało?

- Czekałam – grzecznie – aż przestanie mówić. Ale gdybym wiedziała, że ta miła pani ma zamiar zmienić się w kruka i odlecieć, pośpieszyłabym się i zapytała czy mogłaby spełnić moją prośbę.

- Jaką prośbę?

- Cóż, oczywiście bardzo się cieszę, że jesteśmy razem. Ale kochałam cię takim jak byłeś. Wcześniej. Myślałam, że Kyle Kingsbury jest słodki i w ogóle, ale to Adrian był tym, w którym się zakochałam. Nie widziałam cię jako potwora, przynajmniej po pewnym czasie. Dla mnie byłeś wyjątkowy. Specjalny. Wydaję mi się, że kochałam cię prawie od początku. Tylko po prostu tego nie wiedziałam.

- Więc chcesz, żebym był bestią? – Spytałem.
- Wzruszyła ramionami.
- Zgaduję, że to niezbyt praktyczne, co? Mam na myśli, łatwiej jest pójść do kina czy na randkę ze swoim chłopakiem, jeśli wiesz, że... um, to nie będzie tematem wieczornych wiadomości.
- Również łatwiej z przyjęciem na studia.
- Zgadzam się.
- Więc w czym problem? – Powiedziałem. – Jestem taki sam, bez względu jak wyglądam.
- Domyślałam się. Ale pomyślałam, że skoro jest wiedźmą to może mogłaby zmienić w tobie kilka rzeczy.
- Na przykład co?
- W zasadzie, jesteś wysokim, perfekcyjnym blondynem.
- Nie wiem nic na temat perfekcyjności.
- Dziesięć z dziesięciu płytkich dziewczyn ze szkoły które cię widziały, przyzna że jesteś perfekcyjny. Pomyślałem o Sloane.
- Okej, więc załóżmy dla dobra tej rozmowy, że jestem perfekcyjny. No i?
- Dlatego chciałam kilka zmian.
- Jakich? Powiedziałas, że jestem perfekcyjny.
- Och, nie wiem. Krzywy nos, albo kurzajkę. Dziesięć kilo więcej lub wielkiego pryszczu na środku czoła.
- Rozumiem – ująłem Lindy za rękę. – I dlaczego byś tego chciała?
- Ponieważ jesteś perfekcyjny. A ja... cóż, nie jestem. Faceci, którzy wyglądają perfekcyjnie generalnie nie chodzą z dziewczynami, które są, no wiesz, przeciętne. Może Adrian King mnie kochał, ale Kyle Kingsbury... może mieć kogoś lepszego.
- Lepszego? – Zamiast trzymać ją za rękę przytuliłem ją. – Lindy, kochałaś mnie, gdy nie byłem nawet człowiekiem. Całowałaś, choć nie miałem ust. Przeniknęłaś do mojego wnętrza, ujrzałaś to, czego nawet ja nie widziałem. Uwierz mi, nie ma nikogo lepszego od ciebie. Moim zdaniem jesteś perfekcyjna.
- Och, skoro tak mówisz – ale uśmiechała się.
- Tak. Będę wyglądał jakkolwiek będziesz chciała. Ale myślisz, że zdarza się to każdemu – przemienienie w bestię, a potem złamanie klątwy za sprawą prawdziwej miłości? Większość ludzi nawet by nie uwierzyła, że coś takiego się zdarzyło. Ale nam się to przytrafiło. Magia. Przez resztę naszego życia będziemy chodzić do szkoły, pracy, jeść śniadanie i oglądać TV, ale nawet jeśli nie będziemy jej widzieć to wiemy, że na świecie jest magia. Przyznaj, to jest szczęśliwe zakończenie, prawdziwa miłość, jak w bajkach.
- Znów ją pocałowałem, a ona oddała pocałunek. Staliśmy tam całując się, dopóki słońce w całości nie ukazało się na niebie, a w powietrzu zaczęły rozbrzmiewać poranne odgłosy budzącego się do życia miasta.
- Później zeszliliśmy na dół zrobić śniadanie.

~~Epilog~~

Klasa maturalna.

- Hej, na tym jest twoje imię. – Ton Lindy był złośliwy, gdy robiła dla Tuttle kopie list kandydatów na zbliżające się głosowanie.

Tak, Lindy i ja wróciliśmy do Tuttle. Ojciec musiał pociągnąć za kilka sznurków, by wręcić nas z powrotem, a nasi koledzy z klasy przywitali nas tak, jak się tego spodziewałem – czyli, szeptali za moimi plecami, że zostałem wyrzucony z poprzedniej szkoły, ponieważ byłem zamieszany w aferę z córką dyrektora, lub przeszedłem załamanie nerwowe, które skłoniło mnie do powrotu. Cóż, w Tuttle z pewnością mnie ono czekało.

- On musiał przejść załamanie nerwowe – usłyszałem pewnego dnia Sloane, gdy razem z Lindy minęliśmy ją na korytarzu. – Albo miał wstrząs mózgu. Bo jakie byłoby inne wyjaśnienie na to, że chodzi z kimś takim jak panna Nikt?

Widocznie mówiła serio o tym, bym zadzwonił do niej, gdy znowu będę dawnym sobą. Wspominała

milion razy, że wyczekiwała mojego telefonu. Nadal czekała. Teraz spojrziałem na kartę głosowań. Wyraźnie znajdowało się na niej moje imię.

- To musi być błąd w wydruku.

- Pewnie.

- Nie widziałem tych ludzi przez dwa lata. Dlaczego mieliby mnie nominować do zbliżającego się głosowania?

- To niemożliwe by opierali się jedynie na wyglądzie, prawda?

- Możliwe. Nieważne.

Zgniotłem kartkę w kulkę i spróbowałem trafić do kosza. Spudłowałem i wylądowała pod klasą. Nauczyciel dotarł tam pierwszy.

- Panie Kingsbury, wierzę, że to pańskie – powiedział. – W przyszłości proszę, by nie poniewierało się to po szkolnym korytarzu.

- Tak jest, proszę pana.

- Wszystkich traktujemy jednakowo, Kyle. Wszystkich.

- Tak jest. – zasalutowałem, schowałem kulkę w kieszeni i wszedłem do klasy zająć ławkę. – Palant – szepnąłem do Lindy.

Lindy spojrzała na nauczyciela.

- Kyle miał na myśli, że bardzo mu przykro i to się już nigdy więcej nie powtórzy.

Naokoło nas ludzie chichotali. Zauważyłem, że prawie nikt nie wypełniał karty głosowań. Naliczyłem trzy, które czekały zgniecione na wyrzucenie, jak tylko nauczyciel się odwróci, dwa samoloty, jedno orgiami, nie wliczając tych które płasko leżały na ławce, podczas gdy ich właściciele wysyłali wiadomości.

- Tak przy okazji, wcale nie musimy iść na bal – rzuciłem w stronę Lindy. – To obciach.

Ale Lindy powiedziała:

- Oczywiście, że idziemy. Chcę dostać od ciebie prawdziwy kotylion – różę w jakimkolwiek kolorze, który ci się spodoba – i mam już nawet perfekcyjną sukienkę.

Nauczyciel musiał stwierdzić, że spędziliśmy już wystarczająco dużo czasu na nie wypełnianiu kart, ponieważ zaczął lekcję, więc spędziliśmy godzinę nad angielską literaturą, którą razem z Lindy już dawno przerobiliśmy podczas naszych domowych lekcji z Willem.

Gdy zajęcia się skończyły, zwróciłem się z wyrzutem do nauczyciela.

- Bardzo miły z ciebie facet, by tak się nad nami znęcać, nie ma co.

Pan Fratalli wzruszył ramionami.

- Hej, chyba nie chcesz, żeby ludzie myśleli, że faworyzuję was tylko dlatego, iż mieszkamy pod tym samym dachem.

- Nie miałbym nie przeciwko. – powiedziałem żartując i machnąłem na pożegnanie. – Do zobaczenia później, Will?

- Znacznie później – odpowiedział pan Fratalli-Will. – Mam wieczorne zajęcia. Nie chcę uczyć takich małych smarkaczy jak ty do końca życia.

Will również chodził do szkoły. Szkoły wieczorowej, by mógł być profesorem angielskiego. Ale upewniłem się, żeby ojciec napisał mu dobre referencje, by jak na razie mógł uczyć w Tuttle.

- A, tak. – powiedziałem. – Cóż, zostawimy ci kawałek gorącej pizzy.

- Myślę, że będziesz się uczyć tak ciężko, iż nie znajdziesz nawet czasu by zamówić pizzę.

- Więc źle myślisz. Te zajęcia to bułka z masłem w porównaniu do tego, co zwykliśmy robić.

Po szkole Lindy i ja zazwyczaj jechaliśmy metrem do domu na Brooklynie, gdzie nadal mieszkaliśmy z Willem. Po mojej transformacji ojciec zaoferował, bym z powrotem przeprowadził się do apartamentu na Manhattanie, ale sądzę, że obojgu nam ulżyło, gdy odmówiłem. Chciałem mieć takie miejsce, w którym mogłaby zostać (i) Lindy. Więc wszyscy zostaliśmy razem.

- Chcesz odwiedzić Strawberry Fields? – Spytałem Lindy, gdy opuściliśmy Tuttle.

Robiliśmy to czasami, by popatrzeć na ogród. Ale dzisiaj Lindy potrząsnęła głową.

- Chcę iść do domu, by coś zobaczyć.

Przytaknąłem. Dom. To nadal dla mnie trochę dziwaczny a zarazem piękny świat mieć dom, do którego mogę wracać i ludzi którzy mnie lubią. Kiedy weszliśmy do domu, Lindy zniknęła na górce. Jej pokój wciąż jest na trzecim piętrze, więc słyszałem nad głową rozlegające się odgłosy. Wziąłem lustro, które stało na honorowym miejscu w salonie, to samo które strzaskałem, a które potem Kendra zostawiła nam w dniu, gdy urok został złamany.

- Chcę zobaczyć Lindy – powiedziałem.

I tak jak się tego spodziewałem, zobaczyłem jedynie moją twarz. Magia zniknęła, ale jej skutki będą trwać na wieki. W tym co połączyło mnie i Lindy zdecydowanie musiała być odrobina magii.

Kilka minut później Lindy zeszła na dół.

- Gdzie to jest? – Spytała.

- Gdzie jest co? – wcinałem właśnie miskę Cheetos z mlekiem. W końcu doszedłem do tego, gdzie znajduje się wszystko w kuchni.

- Suknia Idy – odparła Lindy. – Miałam zamiar założyć ją na bal.

- To jest to co chciałaś założyć?

- Tak. Co w tym złego?

- Nic. – wsypałem następną porcję Cheetos.

- Chodzi o to, że nie jest nowa?

Potrząsnąłem głową, przypominając sobie słowa, które powiedziałem do Kendry: „Tutaj ludzie kupują nowe sukienki na bal.” Chciałem walnąć tego kolesia z wyjątkiem tego, że – ach, no tak – to byłem ja.

- Po prostu... Nie jestem pewny czy chcę, by inni ludzie zobaczyli... by wiedzieli... nieważne. Wszystko w porządku.

- Jesteś pewny, że nie chcesz się wybrać z jakąś przyszłą królową balu lub coś w tym stylu?

- Ta, jasne. Nie. Nie. Przestań zadawać mi głupie pytania. Wszystko w porządku.

Uśmiechnęła się.

- Więc gdzie jest moja suknia?

Spojrzałem w bok.

- W moim pokoju, pod materacem.

Posłała mi zabawne spojrzenie.

- Dlaczego miałyby tam być? Nosileś ją? Dlatego nie chciałeś, bym ją włożyła?

Żartowała, ale nawet wtedy..

- Nie.

Ruszyłem na dół po sukienkę. Nie oczekiwałem, że pójdzie za mną, ale zrobiła to. Wszedłem do pokoju, minąłem różany ogród i sięgnąłem pod materac wyciągając zieloną, satynową suknię. Przypomniały mi się dni, gdy wdychałem zapach perfum Lindy, mimo, że nawet za milion lat nie przyznam jej się do tego. Nadal pamiętałem ten dzień, gdy zobaczyłem sukienkę, a potem Lindy w niej. Pamiętałem, jaki byłem przerażony zanim ją dotknąłem i jak jednocześnie miałem nadzieję, że może jednak mnie pokocha.

- Masz. Włóż ją.

Zmierzyła ją wzrokiem.

- Och, kilka paciorków się oderwało. Może miałeś rację mówiąc, bym jej nie wkładała.

- Możesz to naprawić. Zanieść do pralni. Ale najpierw włóż ją.

Nagle bardzo zapragnąłem znów ją zobaczyć w tej sukni. Chwilę później miała ją na sobie i wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętałem, zimna, zielona satyna kontrastowała z ciepłą, zaróżowioną skórą.

- Łał – wykrztusiłem. – Jesteś piękna.

Przejrzała się w lustrze.

- Masz rację. Jestem olśniewająca.

- I taka skromna. Teraz muszę cię o coś zapytać.

- Co takiego?

Wyciągnąłem do niej dłoń.

- Mogę prosić o ten taniec?

Notes

[←1]

tłum. Bestia z Centrum Nowego Jorku

[←3]

Chodzi tu o grę słów, silent – milczeć

[←4]

Chodzi tu o transformację w dziewczynę

[←6]

Różanolicca wraz z siostrą Śnieżnobiałą (SnowWhite) są postaciami z baśni braci Grimm

[← 8]

Postać z Gwiezdnych Wojen, przypominająca małpę.

Ubrania Dolce & Gabbana noszą m.in. Victoria Beckham, Madonna i Johnny Depp. Firma produkuje także kosmetyki i perfum, buty, dodatki, itp.

[←10]

Gra słów: witch – bitch.

[←16]

Musical z 1991, utrzymany w mrocznych klimatach, występują w nim postacie z bajek

[←19]

Pismo dla niewidomych.

[←21]

1 cal/ ok. 25cm

[←23]

Publiczna demonstracja podczas której uczestnicy obnażają swoje uczucia na oczach innych ludzi.

[←25]

Gra słów "dumb" oznacza niemy i głupi. Oni myśleli, że chodzi o to drugie znaczenie

[←26]

Gra słów „hop – hope”.

[←31]

W oryginale sonetu dzika róża jest nazwana kwitnącą szypszyną, stąd pytanie Adriana.

To film na podstawie znanej książki Williama Goldmana.

Powieść napisana przez [Charlotte Brontë](#). Ukazała się po raz pierwszy w październiku [1847](#) roku w trzech tomach i okazała się wielkim wydawniczym sukcesem.

[←35]

[24 października 1929](#) roku, dzień, w którym ceny [akcji](#) na [Nowojorskiej Giełdzie Papierów Wartościowych](#) gwałtownie spadły, co obecnie uznawane jest jako jeden z objawów rozpoczynającego się [Wielkiego Kryzysu](#).

[←36]

Walc autorstwa [Johanna Straussa II](#), skomponowany w [1867](#) roku.

[←37]

Dźwięki muzyki ([ang.](#) The Sound of Music, [1965](#)) – [amerykański musical](#) w reżyserii [Roberta Wise'a](#).

Małe kobietki (albo Meg, Jo, Beth i Amy) to powieść amerykańskiej pisarki [Louis May Alcott](#), opowiada historię Jo March i jej trzech sióstr.

[←42]

Nędznicy (oryg. [fr.](#) Les Misérables) – pięcioczęściowa [powieść Wiktora Hugo](#), napisana w czasie, gdy Hugo przebywał na wygnaniu na wyspie [Guernsey](#), opublikowana została w roku [1862](#).

[←43]

Inspektor policji, tropił Valjeana (główny bohater) przez 17 lat, wyznając zasadę, że najmniejsze przewinienie wobec nieomylnego w jego opinii prawa, czyni człowieka przestępcą bez szans poprawy. Zaczyna wątpić dopiero w sens swoich działań dopiero po tym, jak Valjean uratował mu życie. Popelnił samobójstwo skacząc do Sekwany.

Dziwne Losy Jane Eyre to powieść napisana przez [Charlotte Brontë](#), pokazuje losy Jane Eyre (która jest również narratorem powieści), sierocnej dziewczyny, która zostaje oddana na utrzymanie do pani Sary Reed, żony swego wuja. Opiekunka jak i jej trójka dzieci, nienawidzą dziewczynki. Ta w wieku lat 10 zostaje wysłana na naukę do Zakładu Lowood, gdzie spędza osiem lat. Ostatnie dwa lata pozostaje w Zakładzie jako nauczycielka. Jane Eyre postanawia opuścić szkołę i zamieszcza ogłoszenie w prasie w poszukiwaniu posady guwernantki. Otrzymuje posadę w posiadłości pana Edwarda Fairfaxa Rochester.

[←45]

Powieść amerykańskiego pisarza [Hermana Melville'a](#). Opowiada o losach Izmaela, który po kilku rejsach na statkach marynarki handlowej postanawia wyruszyć na wyprawę wielorybniczą. Razem z nowo poznanym przyjacielem, dzikim Queequegiem, zaciąga się na statek Pequod, dowodzony przez ponurego i tajemniczego kapitana [Ahaba](#), który w walce z [wielorybem](#) stracił nogę. Wkrótce okazuje się, że dla owładniętego szaleństwem dowódcy jedynym celem tej wyprawy jest zemsta na wielorybie, który go okaleczył, legendarnym białym kaszalocie, Moby Dicku.

New York Mets – drużyna baseballowa grająca we wschodniej dywizji National League, ma siedzibę w Nowym Jorku.